

NATHAN ASCH

DZIEŃ
ZAPŁATY



WYDAWNICTWO ALFA WARSZAWA

Autoryzowany przekład z angielskiego Janiny Zawisza-Krasuckiej.

Okladka projektu Jana Mucharskiego.

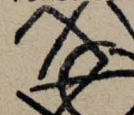
Ojcu mojemu poświęcam

Copyright 1931 by Wydawnictwo Alfa Warszawa.

Druk: „Monolit”, Warszawa Ogrodowa 1.

dos 40/

FUNDACJA



POGRANICZE

1849/KANCELARIA

I

W KOLEI PODZIEMNEJ

Coraz szybciej i szybciej biegł w stronę słonecznego światła, a Harry Grossman, nie mogąc mu nadążyć, przyspieszał wciąż kroku i wołał za nim:

„Czego tak pędzisz? Zaczekaj na mnie“.

Lecz on biegł coraz prędzej. Minął wielkie wejście, gdzie na otwartych drzwiach znaczył się blask słoneczny i począł schodzić po szerokich kamiennych schodach. Słońce z prawej strony rozjaśniało wielki Dom Handlowy, wysokie marmurowe postacie dokoła i zapalało się czerwonym refleksem w oknach budynku kolejowego. On szedł ciągle w kierunku tego słonecznego blasku. Chwilami sam mówił do siebie: „Takbym chciał być teraz w tej słonecznej jasności“, zaraz jednak nachodziło go dziwne zawstydzenie i myślał: „Przecież słońce jest mi niepotrzebne. Właściwie pragnę tylko dotrzeć do dworca kolei podziemnej, tam, gdzie słońce świeci. Idę na dworzec, a nie do słońca“.

Ze wszystkich stron ludzie wysypywali się na uli-

cę: z budynku Standard Oil, z Broadway'u, z budynku biur Linij Okrętowych i wszystko to szeroką falą parło za nim. Tłumy biegły w dół Broadway'u; byli to przeważnie urzędnicy, wypuszczeni na wolność po ukończonej pracy, naciągający w pośpiechu rękawiczki, stukający w asfalt chodnika długimi łaskami, łączący się parami i trójkami i biegnący coraz prędzej. Wszyscy zajęci byli rozmową, którą co chwila przerywał czyjś głośny śmiech. W tłumie byli i posłańcy, i gońcy biurowi, i młode urzędniczki w długich, lub krótkich sukienkach, a nogi wszystkich biegły w pospiesznym ruchu naprzód, do swego celu przeznaczenia. Przy dworcu było jeszcze tłoczniej, bo największy tłum zebrał się u wejścia na peron. Wszyscy byli podnieceni, rozgorączkowani, jak gdyby w najbliższej chwili miało się stać coś bardzo ważnego.

Takie same dziwne uczucie zrodziło się w duszy Jima. Był pewien, że za małą chwilę coś nadzwyczajnego stać się musi. Może to coś stanie się w przedziale kolei podziemnej, może w domu, a może kiedyś, później, wieczorem. Był przejęty myślą, że teraz, po wyjściu z biura, po ukończonej pracy, następna część dnia, aż do jutra, do dziewiątej rano należy tylko do niego. Coraz szybciej biegł w kierunku światła słonecznego, do zatłoczonej Bowling Green, która prowadziła do dworca kolei podziemnej. Miał to przeświadczenie, że za chwilę i on stanie w kręgu słonecznych promieni. Nie mógłby wejść na stację tylnymi drzwiami, skąd słońce widać było tylko zdaleka, nie mógłby przejść przez środek ulicy, wejść na schody Domu Handlowego, stanąć w pełnym blasku słonecznym i spojrzeć na mroczny Broadway z jego potężnymi budynkami po obu stronach i z chodnikami, przepelnionymi ludźmi, spieszącymi do domu. Nie, bo właśnie w tej chwili uczuł

ciepło słonecznego blasku od strony Jersey. Kupi jeszcze jakąś gazetę i zejdzie na dół.

Harry Grossman biegł ciągle za nim, wołając: „Hej, czekaj. Co ci się stało?“ W pewnej chwili dogonił go wreszcie i razem szli już dalej. U wejścia na dworzec stał mały kolporter, trzymając między kolanami ostatnie wydania dzienników i wywołując głośno ich nazwy. Jim poprosił o „Journal“, Harry o „Telegram“ i chłopak jednocześnie podał im obydwie żądane gazety. Drobną monetą zadzwięczała w zamkniętej dłoni kolportera. Jim i Harry zaczęli iść znowu przed siebie.

Na dole było zupełnie mroczno, a hałas był jeszcze większy, niż na ulicy. Głosy ludzkie mieszały się tutaj z dźwiękiem drobnej monety, wrzucanej do portmonek. Przed wejściem do przedziałów pasażerowie zmieniali w kiosku grubsze banknoty i śpieszyli znowu na swe miejsca w oczekiwaniu na pociąg. Wszędzie było tłoczno i gwarno. Jedni wrzucali drobną monetę do automatów z gumą do żucia, inni kupowali gazety i słodycze. Bardziej nerwowi biegali po peronie, opierając się co chwila o wysokie filary i usiłując odczytywać wiadomości zmrużonymi oczami, nieprzywykłymi do blasku słonecznego, wpadającego przez oszklony dach.

Przy kiosku gazetowym stały dwie dziewczyny. Z pewnością obydwie nie pracowały w dzielnicy handlowej. Czarny jedwab sukien przylegał gładko do ciała i związał się w miękkie fałdy przy każdym poruszeniu. Dziewczyny te zazwyczaj o szóstej wieczorem spacerowały po Broadway'u, spoglądając na przemykające auta, a gdy w którymś z aut ujrzały mężczyznę, przesyłały mu zachęcające spojrzenie, które mówiło: Chodź bliżej i zabaw się ze mną.

Spojrzenie Jima spotkało się na chwilę z wzro-

kiem Harry'ego, i nagle jedno oko Harry'ego przymrużyło się figlarnie. Poczęli iść wolno w stronę kiosku, w stronę dziewcząt, które ich nawet nie dostrzegły i które dostrzec ich nie miały zamiaru. Wzrok Jima spoczął na dziewczętach, zdawał się zdzierać z nich czarne jedwabne suknie i wreszcie Jim doszedł do wniosku, że jedna z dziewcząt podoba mu się bardziej. Obydwaj przystanęli i poczęli przyglądać się dziewczętom.

Pójdź tu, spójrz na mnie, mówiło spojrzenie Jima. Obdarz nas miłym uśmiechem, który ma w sobie tysiące obietnic. Jeżeli będziesz chciała, dam ci dużo rozkoszy. Dam ci rozkosz taką, którą lubisz. Będziesz wołała w nieprzytomnym spazmie: Daj jeszcze. Zapomnisz zupełnie o smagłych Hiszpanach i o tych wszystkich, którzy byli przede mną.

Dostarczę ci wszelkich rozrywek, mówiły oczy Jima. Zabiorę cię do kina, kupię nowe pończoszki, wniosę cię na własnych rękach na najwyższe piętra. Dam ci wszystko. Ale napewno masz już swego protektora, który cię prowadzi przez życie.

„Niech diabli wezmą protektora“, zawołał nagle głośno.

„Co ty mówisz?“ zapytał Harry z wzrokiem utkwionym w twarzy drugiej dziewczyny.

„Och, niech je diabli porwą“, zaklął Jim.

„Ładne są“, zauważył Harry, jeszcze ciągle nie spuszczając wzroku z dziewcząt.

Dziewczęta skierowały się w stronę peronu. Nie zwracając uwagi na Jima i Harry'ego, zdawały się mówić każdym ruchem: Nie możemy pójść z wami, bo nie macie pięknego Cadillaca. Jesteście wogóle niczem. Podróżujecie zwyczajną koleją podziemną. My tylko

dlatego jedziemy razem z wami, bo w niższej części Broadway'u niema o tej porze taksówek.

Tak, pomyślał Jim, o tej porze wszyscy się spieszą. Pojedziecie z nami, a my delikatnem dotknięciem rąk pieścić was będziemy, bo lubicie taką pieszczotę.

Nadszedł pociąg. Obydwaj zapomnieli o wszystkim, z wyjątkiem tego, że za wszelką cenę należy się dostać do przedziału. Pociąg był już przepełniony, konduktorzy wołali: „Wypuścić wysiadających. Proszę się usunąć“, lecz nikt nie słuchał wołania konduktorów. Niech sobie wysiadają, jeżeli chcą. My wsiadamy. Wszyscy torowali sobie drogę łokciami, usiłując wejść do wnętrza przedziału.

Dwie dziewczyny wsiadły także, a tuż przy nich stanęli Jim i Harry. Na twarzach dziewcząt malował się gniew i spoglądały na młodzieńców z pogardą. Dziewczyna, która wpadła w oko Jimowi, rzekła:

„Proszę się nie pchać“.

Jim uśmiechnął się. Co to znaczy, proszę się nie pchać? Gdzie pani jest właściwie?

„One nas dziwnie nie lubią“, szepnął do Harry'ego.

Konduktor wepchnął jeszcze kilku maruderów, poczem zamknął z trzaskiem drzwi. Głośny dzwonek i pociąg ruszył naprzód. Jim znalazł oparcie dla nóg i trochę miejsca dla całego ciała. Ulokowawszy się wygodnie, począł czytać plakaty.

Ma w kieszeni trzydzieści dolarów i pięćdziesiąt centów. Mamie trzeba dać dziesięć dolarów, Daisy jest winien trzy dolary, krawcowi trzeba zapłacić dwa dolary, a co dla niego? Poza tem trzeba zapłacić Joel Boże, za kilka paczek papierosów winien jest cztery dolary pięćdziesiąt. Żadnego pożytku. Pracujesz jak

pies przez cały tydzień, a potem w dniu wypłaty musisz oddać, coś winien i znowu nie masz centa.

Obliczmy. Daisy napewno będzie chciała swoje trzy dolary, bo gotowa powiedzieć, że nigdy mu już nie pożyczycy. Krawiec także nie wyda ubrania, jeżeli nie zapłaci przedtem długu. A Joe? Niech tam, da mu dwa dolary i będzie mógł dalej brać na kredyt. Czyli razem mamy już siedem dolarów. Potem mama...

Mamo, tak mało mam pieniędzy w tym tygodniu. Może dam ci teraz pięć dolarów? Ktoś pożyczył ode mnie i przyrzekł mi oddać na przyszły tydzień. Nie gniewaj się, zaczekaj parę dni. Dobrze, mamo?

Jednym słowem, wszystko w porządku. Zostaje mu dwanaście dolarów i osiemnaście centów, a gdzie drugie śniadania, gdzie garnitur, który wkrótce ma być gotowy? Ciekawe, ile Helena będzie kosztować dzisiaj wieczorem...

Wszyscy pochyłili się na bok, gdy pociąg zwalniał na zakręcie. Najprzód głowy opadły w jedną stronę, potem w drugą. Pociąg nagle przystanął i jedni poczęli deptać innym po nogach. Niektórzy szepnęli „przepraszam”, inni znów nic nie powiedzieli, tylko patrzyli na tamtych, co wysiadają. Gdy pociąg dotarł do Cortland Street, większość pasażerów zaczęła wysiadać. Ale inni wsiedli na ich miejsce i było coraz tłoczniej na ławkach, przy oknach i na środku przedziału. Niektórzy gniewnie wołali: „Proszę się nie pchać”. „Niech pan weźmie ten łokieć”. Znowu drzwi zamknięto z trzaskiem i pociąg ruszył dalej.

Harry Grossman zmęczony się czytaniem gazety, z nad której zerknął ustawicznie na stojącą obok dziewczynę i uśmiechał się do Jima. Jim uśmiechał się także.

Nie bądź zła, siostró. Przecież cię nie zjemy. Je-

steśmy tylko ludźmi. Lubimy czuć przy sobie kawałek ludzkiego mięsa, chociaż nie zawsze możemy je spróbować. Jesteśmy w zupełnym porządku. Dobrze z nas chłopaki. Bądź także dobra i uśmiechnij się.

Och, do diabła z niemi. „Nie patrz tak, Harry”. Pomyślałby kto, że dwie królowe rumuńskie jadą w przedziale. One są głupie. Mają tak bystry wzrok, że widzą pustki w twojej kieszeni. Jeszcze ci mało? Nic z tego nie będzie. Spójrz na te jedwabne suknie. Sądziś, że biedny urzędnik może sobie na takie jedwabie pozwolić? Zapomnij o nich.

Dzisiaj wieczorem Jim ma się z nią spotkać. Umówili się na Times Square u Liggett'a. Napewno uśmiechnie się, zawoła „Hallo”, wsunie mu rączkę pod ramię i pójdą oboje na Broadway. Wstąpią do kina i będą siedzieć tuż przy sobie w mrocznej sali. On ujmie jej rączkę, wyczuje błogie ciepło i jedwabistość delikatnej skóry. I siedząc tak ramię przy ramieniu, poznają się wzajemnie lepiej.

Jim mimowoli uśmiechnął się. Myślni był już przy niej w dużej sali kinematografu. Trzymał ją za rękę i przysuwał się blisko, bliźniutko, jak tylko mógł, jak ona na to pozwalała. I dziwił się, i rozmyślał o tem, co się stanie, gdy pozna ją bliżej, co będą robić, o czym będą mówić przy końcu wieczoru, gdy u bramy jej domu będzie ją całował na dobranoc.

A czy wogóle będzie ją kiedyś całował? Czy przy końcu wieczoru będzie jeszcze taka miła dla niego, jak w chwili, gdy się spotkają u Liggetta? Może będzie się gniewać na niego, przypomniawszy sobie jakiś niemiły zgrzyt, który miał miejsce na samym początku wieczoru i odejdzie od niego z krótkim „dobranoc”, a potem zatrzśnie bramę, pozostawiając go samego wśród

nocy? Może — w tym wypadku nie miał nadziei — podniecona wrażeniem wieczoru, zaprosi go do siebie, albo zgodzi się wsiąść z nim razem do taksówki i odwieźć się do domu? Ciekawe, czy mieszka sama, czy z rodzicami, czy też z jakąś przyjaciółką? Może spędzi z nią razem precudną noc w skromniutkiej dziewczęcej sypialni...

Harry coś mówił do niego.

„Czyż to nie wstyd?“ oburzał się podniesionym głosem.

„Co takiego?“ zapytał Jim.

Ponad głowę jakiejś kobiety Harry podał mu gazetę. Jim przeczytał nagłówek: SACCO I VANZETTI MUSZĄ DZISIAJ UMRZEĆ.

Patrzył na nagłówek i z początku nie rozumiał jego treści. Potem myśl jakaś zaświtała w jego głowie i oddał gazetę Harry'emu.

„Kogo to obchodzi?“ mruknął.

Harry znowu zagłębił się w gazecie. Dwie dziewczyny w czarnych jedwabnych sukniach spoglądały obojętnie w przestrzeń. Jakiś niski mężczyzna powtarzał uparcie:

„Proszę mnie puścić. Ja chcę tutaj wysiąść“. Rozpychał ludzi, stojących pośrodku przedziału i usiłował dotrzeć do drzwi. Pociąg się zatrzymał. Konduktor zawołał: Brooklyn Bridge. Mnóstwo ludzi poczęło wysiadać, inni znów wsiadali na ich miejsce. Dziewczyny w czarnych jedwabnych sukniach usiadły na wolnej ławce. Głośny dzwonek i pociąg ruszył naprzód.

Jim i Harry przysunęli się ku ławce, gdzie siedziały czarno ubrane dziewczyny. Stanęli tuż przy nich, trzymając się rzemiennych pasów, zwisających u sufitu. Przy każdym poruszeniu pociągu kolana mimowoli łączyły się

z kolanami, a potem znowu się oddalały. Spojrzenie Jima spoczęło na małym kapeluszu, osłaniającym twarz dziewczyny, otulonej w czarny jedwab. Zauważył w pewnej chwili, że jedna z dziewcząt miała niezwykle zgrabną figurę, a pochyliwszy się nieco nad nią, ujrzał jej piersi. Rozgniewany na nią, usiłował najprzód odwrócić wzrok w inną stronę, lecz nie mógł i obserwował dalej. Owładnęło nim dzikie pożądanie dotknięcia tych piersi w delikatnej pieśszczocie. Dłoń jego zacisnęła się mocniej na rzemiennym pasie, ale zaraz potem ocknął się, odzyskał równowagę i patrzył dalej.

Dziewczyna podniosła nagle głowę i dostrzegła, że Jim przygląda się jej piersiom. Nie zmieszała się, nie usiłowała nawet naciągnąć sukni bardziej na szyję, tylko patrzyła mu prosto w oczy, które zdawały się mówić: Ty, bestjo. Patrz sobie, jeżeli ci to sprawia przyjemność. Możesz wypatrzeć oczy. Taki cud widzisz napewno po raz pierwszy i po raz ostatni w życiu.

On patrzył dalej, jakby chcąc wytrzymać jej wzrok i zmusić ją do ustąpienia. Zdawał się rozpalonym wzrokiem przebijać jedwab sukni i wkracać aż tam, gdzie tylko przylegał miękki skrawek bielizny. Sine żyły wystąpiły mu na szyję, potem na czoło. Uszy mu płonęły, aż wreszcie odwrócił głowę, orjentując się w całej głupocie swego postępowania. Dziwnie nie lubił tej kobiety. Ręka mu drżała, bo był pewien, że za chwilę gotów ją uderzyć, uczynić jej jakąś krzywdę. Pocieszał się tylko myślą, że nikt nie zauważył tego wszystkiego, że nawet Harry nie dostrzegł krwawego rumieńca na jego twarzy. Teraz i siebie nienawidził za tę chwilę słabości. Chętnie przesunąłby się w przeciwny kąt przedziału, ale przedział był przepełniony ludźmi i Harry napewno zapytałby go o przyczynę.

Pociąg biegł coraz szybciej. Wszystko w przedziale drżało, ludzie się kołysali, chociaż wszyscy usiłowali stać spokojnie, wpatrzeni w przestrzeń i zajęci własnymi myślami. Kilku robotników rozmawiało po włosku. Jakiś mały chłopak w kącie czytał żydowską gazetę. Gdzieś, przy oknie dwie dziewczyny chichotały głośno. Opasły mężczyzna w cylindrze i szarych skórzanych rękawiczkach odczytywał sprawozdania giełdowe i niektóre ustępy podkreślał ołówkiem. Ktoś, siedzący na krawędzi ławki, czując zbliżające się kichnięcie, począł nerwowo szukać chustki po kieszeniach. Jakaś dziewczyna, mająca umówione spotkanie na Fourteenth Street, podniosła nagle głowę, wyjęła z brudnej torebki mały puszek i poczęła pudrować zaczerwieniony nos, przeglądając się w wyszczerbionem lusterku. Potem sięgnęła po karmin i zwilżywszy wargi językiem, poczęła przeciągać po nich skrupulatnie ołówkiem, trzymanym w dwóch palcach. Wreszcie włożyła drobiazgi zpowrotem do brudnej torebki i podniosła się z miejsca.

Jima ogarnęła nagle pasja, ale sam nie znał przyczyny. Wzrok jego błądził po twarzach pasażerów, natłoczonych w przedziale. Jedni czytali gazety, inni rozmawiali swobodnie. Przeniósł spojrzenie na plakaty ogłoszeniowe. Reklama kołnierzyków z ładną zaróżowioną twarzą młodego chłopca. Tam znów ogłoszenie mydeł toaletowych i fotografia kąpiącej się dziewczyny. Tutaj podwiązki: „Jeżeli chcesz mieć zawsze całe pończoszki, noś tylko podwiązki naszej firmy”. Jim wzruszył ramionami.

Rozłożył gazetę i począł przeglądać kronikę sportową. Tex Rickard przybył do Chicago. Napewno będzie transmisja przez radio. Pójdiesz na walkę, wydasz dziesięć dolarów na bilet, a wkońcu nic nie zobaczysz,

bo będziesz siedział o pół kilometra od ringu. Potem wrócisz do domu, przeczytasz sprawozdanie w gazecie i nazajutrz będziesz opowiadał w biurze z zachwytem, jaka to cudowna była emocja. Ten Tunney wygląda zupełnie, jakby przez całe życie czytał książki, a ludzie, zajmujący się literaturą nie mogą być przecież dobrymi bokserami. Co innego Dempsey, ten to jest bokser, proszę patrzeć.

Zagadnął Harry'ego. Zaczęli mówić o boksie. Jim powiedział to, a Harry tamto, potem Jim długo argumentował, lecz Harry przeszedł na inny temat. Mówili podniesionymi głosami, usiłując zagłuszyć turkot pociągu; wszyscy wokoło przysłuchiwali się rozmowie z mniejszym lub większym zaciekawieniem. Wreszcie Jimowi i to się znudziło i pragnął nadewszystko, aby Harry przestał już mówić. Znowu zagłębił się w gazecie. Harry mówił jeszcze przez chwilę, ale zamilkł wreszcie, dostrzegłszy, że Jim go nie słucha.

Jim począł czytać z kolei anegdoty. Czytał uważnie i nie uśmiechnął się nawet, dotarłszy do końca każdej anegdoty, tylko ze spokojem zaczynał czytać następną. Przeczytał całą kolumnę gazety, lecz ani razu nie zbierało mu się na uśmiech. Wreszcie złożył dziennik, wsunął go do kieszeni i zwilżywszy wargi językiem, począł cichutko gwizdać. Zdaleka przez okno ukazała się tabliczka z napisem „Fourteenth Street”. Pociąg się zatrzymał.

Harry rzekł: „Dowidzenia”, Jim odpowiedział: „Dowidzenia, do jutra” i Harry wysiadł. W kącie, gdzie siedziały dwie czarno ubrane dziewczyny, opróżniło się jedno miejsce. Jim jednym skokiem przesadził wąskie przejście między ławkami, usiadł i znowu wyjął gazetę.

Myślał teraz o tem, czy z pralni przysłano mu koszulę. Powiedział mamie, że koszule muszą być gotowe na dzisiaj wieczór. Nawet zaznaczył: „W poniedziałek wychodzę, muszę mieć koszule uprane”. Na to Daisy: „To dlaczego nie kupisz sobie więcej koszul, żeby ci starczyło od prania do prania?”, potem dodała: „Skąd ma wziąć pieniędzy na koszule, jeżeli co noc włóczy się z inną dziewczyną!” Daisy zarabiała tyle, co Jim, ale zawsze potrafiła coś odłożyć. Zawsze miała pieniądze. Często nawet, gdy jej opowiedział jakąś zręczną historyjkę, pożyczyła mu parę dolarów. „Ale oddasz mi w przyszły poniedziałek, bo więcej nie pożyczę ci ani centa”.

Tak, Daisy dawała mamie więcej, niż on dawał, oprócz tego jeszcze odkładała. Gdy pytał, czy zupełnie nie wydaje pieniędzy, wychodząc wieczorem z Filipem, odpowiadała: „Dlaczego nie znajdziesz sobie jakiejś przyzwoitej dziewczyny, któraby nie leciała na twoje pieniądze?”

Przyzwoitej dziewczyny! Daisy była młodsza od niego, ale wkrótce miała wyjść za mąż i gdyby nie to, że chciała kupić nowe meble, napewno nie odkładałaby pieniędzy.

Jakaś kobieta spojrzała nań z góry. Rozmyślając, wzrok miał utkwiony w gazecie i nagle uczuł na sobie jej spojrzenie. Widocznie chciała, żeby jej ustąpił miejsca. Możesz długo czekać, pomyślał. Nie mam najmniejszego zamiaru wstać. To moje miejsce. Jestem zmęczony. Dlaczego, u licha, nie spojrzysz na kogoś innego? Dlaczego właśnie na mnie? Zamierzał nawet z odwagą podnieść w górę głowę, ale zaniechał tego i dalej patrzył w gazetę. Za wszelką cenę chciał pochwycić wątek swych myśli, lecz wzrok tej kobiety mu

przeszkadzał. W każdym razie za żadną cenę nie wstanie.

Do licha z Daisy, z Filipem i z tą obrzydliwą babą tu obok. Właściwie zapragnął znienawidzić kogoś i spojrzał nagle w stronę młodej dziewczyny, o pięknych piersiach. Niestety, tłum ją zasłonił i Jim ujrzał tylko zgrabną nóżkę w jedwabnej pończoszce, odkrytą aż do kolana. Ładna była noga, ale niech to djabli porwą! I Simsona też mogą djabli wziąć. W najbliższych dniach Jim skończy z nim wszelkie porachunki. Bo kto to słyszał takie powiedzenia:

„Mr. Cowan, jeżeli kiedykolwiek odczuje pan, że jest pan niezbędny dla naszej firmy, lub że firma nie może się bez pana obyć, radzę w takiej chwili podać się do dymisji”.

Chętnie poprosiłby o dymisję natychmiast, lecz zaraz usłyszał gdzieś w głębi duszy głos Daisy: „Och, znowu bez pracy. Myślisz, że ja ci będę dawać na wszystko”. Łatwiej było nic nie odpowiedzieć Simsonowi i wyjść spokojnie z gabinetu, niż wysłuchiwać dzień po dniu tego gderania siostry, że jest próżniakiem. Mogłoby przejść kilka miesięcy bez pracy i cóż wtedy?

Właściwie zupełnie nie był przygotowany na jakąkolwiek odpowiedź dla Simsona. Zresztą przygotowywać się nie chciał. Pomyślał tylko: Dzięki mnie firma tak się rozwinęła. Dobrze sobie zdają z tego sprawę. Zdecydowanym krokiem podszedł znowu do drzwi gabinetu i zapukał. Usłyszał głośnie „Proszę”, wszedł. Simson siedział przy biurku, przerzucając jakieś papiery i nawet nie spojrzał nań. Nie podnosząc głowy, zapytał niechętnie: „Cóż znowu?” Przeglądał dalej leżące na biurku dokumenty. Jim nie miał odwagi powiedzieć, z czym przyszedł, więc milczał. Wreszcie Simson

ukończył przeglądanie papierów, ułożył je dokładnie na biurku i domyśliwszy się, że ktoś jednak jest w pokoju, podniósł głowę i powtórzył: „No, co tam nowego?” Jim zaczął argumentować, że pracuje w firmie od pół roku i uważa, że powinien dostać podwyżkę. Simson odparł zupełnie spokojnie: „Nie dostanie pan, Mr. Cowan”.

Więc Jim wrócił do swego biurka i natychmiast napisał dwa listy, jeden do firmy „Magrudder i Spółka”, drugi do „A. C. Wylie”, ofiarując swoje usługi. Gdyby tak Simson przyłapał te listy...

Myślał o tem zupełnie na zimno, bo przecież zasadniczo Simson mógł się o listach dowiedzieć. Wówczas straciłby pracę. Ale jakąż to satysfakcja móc przyjść do niego i powiedzieć: „Dostałem inne zajęcie”. Jak onby na to zareagował?

A może w domu jest już odpowiedź od Magruddera? Może komunikuje mu, że jest wolna posada. Może czterdzieści dolarów tygodniowo i prowizja? Miałby własny gabinet i własną sekretarkę. Zechce pan podpisać pocztę, Mr. Cowan, co mam powiedzieć, jak ktoś zatelefonuje? Simson tak się do niego zwracał. Wogóle wszystkich traktował zgóry. Mr. Cowan, musi pan poprosić o dymisję. Doszło do naszej wiadomości, że stara się pan o posadę u naszego konkurenta. Nie uważa pan, że będzie lepiej, jeżeli pan sam z pracy u nas zrezygnuje?

Byłoby straszne, gdyby Simson się o tem dowiedział. Zawołałby go do gabinetu, wypłaciłby należność i kazał natychmiast się wynosić. Oczywiście na pożegnanie powiedziałby Simsonowi to, co o nim myśli. Jednakże miałby pewną satysfakcję. Ale potem ten powrót do domu, jak codziennie kolejną podziemną...

Trzeba powiedzieć mamie. I nagle głos Daisy: „O, spodziewałam się tego”. A gdyby Filip był przy tem, nie omieszkałby wtrącić jakiegoś słówka. Z Filipem bezwzględnie trzeba skończyć.

Zauważył, że kobieta, czyhająca na jego miejsce, zniknęła gdzieś w tłumie. Może znalazła kawałek wolnej ławki, a może przeszła do innego przedziału i znalazła usłużniejszego pasażera. Ludzie podnosili się z ławek i kierowali się w stronę wyjścia. Ci, którzy stali, siadali teraz na opróżnionych ławkach. Dostrzegł, że dwie dziewczyny w czarnych jedwabnych sukniach wysiadły na ostatnim przystanku. Teraz już nie był na nie zły. Nawet w ostatniej chwili spojrzał im prosto w oczy, ale zdawały się go ignorować. Znowu dziwna pasja go ogarnęła.

Przystanek Grand Central. Przesiadka do New-York Central, Shuttle, Queensboro i West Side. Drzwi się otwały, opróżniło się prawie zupełnie, ale już po chwili napłynął do przedziału nowy tłum. Zaczęto rozpychać się łokciami, szukać wolnych miejsc, chwycić za rzemienne pasy, zwisające u sufitu, głośno rozmawiać i szeleścić wielkimi arkuszami gazet. Drzwi się zamknęły. Zadzwieczał dzwonek, pociąg stał jeszcze przez chwilę, aż wreszcie ruszył.

Najprzód do krawca, potem do domu, kąpiel, zmiana koszuli, oczywiście, jeżeli czyste przyniesiono z pralni. Gdyby nie, to będzie musiał włożyć tę samą. Potem kolacja i to znane już zrządzenie Daisy. „Dokąd idziesz? Dziwne, że nigdy nie możesz usiedzieć w domu”. Jim nie odpowie. I tak z tego nic nie będzie. Gdyby powiedział cośkolwiek, wywołałby na pewno awanturę. A potem pieniądze. O, tak, pieniądze. Schował kilka dolarów do małej kieszonki w kamizelce,

tak. Mama nie będzie wiedziała, ile przyniósł z sobą. Wreszcie wydostanie się z domu i przez Forty — Second Street pobiegnie na Broadway. Ona już będzie czekać, uśmiechnie się i pójdą razem.

Myślał, czyby nie zafundować jej ginu. To będzie tańsze, niż wszystko inne. Wejdą do jakiegoś taniego dancingu, każe podać butelkę ginu i spędzą mile czas. A potem wyjdą i on patrzeć będzie z triumfem na przechodzących mężczyzn, którzy mu będą zazdrościć. Może jednak lepiej pójść od razu do Paddy'ego i zapłacić więcej za wieczór, ale wytańczyć się przy dźwiękach elektrycznego fortepianu. U Paddy'ego zawsze było weselej.

Tak, bezwarunkowo. Będzie kosztować sześć, czy siedem dolarów, jutro Jim będzie bez grosza, ale się chociaż ubawi. Gdyby miał odwagę, poszedłby jeszcze dzisiaj do Simsona i powiedziałby: Do licha z pańską pracą. Mam już dosyć. Żegnam. Zgłosiłby się do wielkiego domu towarowego i stanąłby do pracy jako sprzedawca. Zawsze marzył o tem, aby podróżować z miasta do miasta i sprzedawać towary: rozmaite płótna, części do samochodów i inne drobne rzeczy. Człowiek jest chociaż od nikogo niezależny, jest sam własnym panem. Jeżeli, dajmy na to, jednego dnia opanuje go lenistwo, może robotę odłożyć na następny dzień. Można odwiedzać rozmaite sklepy i biura z poważną miną. „Chciałbym pomówić z właścicielem“. Można wiedzieć w jakiej sprawie? Mniejsza o to. Proszę powiedzieć, że przyszedł Cowan, z takiej a takiej firmy. Albo lepiej jeszcze. Nie zwraca się uwagi na woźnego, czy małego urzędnika. Prostu ignoruje się tych panów. Zdecydowanym ruchem usuwa się ich z drogi i kroczy się prosto do prywatnego gabinetu szefa. Jestem przedstawicie-

lem tej a tej firmy. Przyniosłem próby. Towar jest pierwszorzędny. Proszę obejrzeć. Lepszego towaru pan nie znajdzie. A przytem ceny konkurencyjne. Rzuciliśmy najtańsze towary na rynek. Czy ktoś mu odmówi? Z poważną miną wyciągnie z kieszeni wieczne pióro i powie: Radzę panu przyjąć moją ofertę. Zechce pan to podpisać. Zamówienie będzie niezwłocznie wykonane. Bardzo mi miło. Wstąpię do pana przy najbliższej okazji. I równym krokiem wyjdzie z gabinetu, zamykając za sobą drzwi niedbałym ruchem.

A potem wróci do hotelu. Zupełna swoboda. Ani mamy, ani Daisy. Może spędzić wieczór według własnej woli. Może się bawić, bo ma dużo pieniędzy. Ktoby tam dbał o głupie trzydzieści dolarów tygodniowo! Codzienne wydatki pokrywa firma, a przytem prowizja. W każdym mieście pełno pięknych kobiet, wyciągających doń ramiona. Tutaj ekspedjentka, tam manicurzystka. Po obiedzie, po kilku wypitych likierach z czarną kawą człowiek czuje się doskonale. Trzeba zwabić jakieś dziewczętko do eleganckiego hotelowego pokoju. A może w tym samym hotelu znajdzie się jakaś ładna pokojówka, która zgodzi się na wszystko i wejdzie doń pod pretekstem sprzątnięcia pokoju.

Sprzedawca podróżuje tylko sleepingiem. W sleepingach zdarzają się najrozmaitsze romantyczne przygody. Podróżują eleganckie kobiety i czekają tylko na jego uśmiech. Niema tu nikogo, ktoby patrzył złem okiem na ludzkie wybryki. Naprzykład on śpi na dole, a nad nim jakieś cudne stworzenie i oczywiście w atmosferze nocy musi się stać to coś. Najprzód krótki flirtik, a potem on wdrapuje się cichaczem na górę.

Westchnął. Cudowny był ten sen, który napewno nigdy się nie ziści, bo przecież on nigdy nie nabierze

odwagi, a jeżeli już nawet zdobyłby się na coś podobnego, to nigdy nie będzie miał dużo pieniędzy. Gdyby nawet pożyczył od mamy, czy od Daisy, to i tak byłoby niemożliwe. Poprostu nie zna żadnej branży. Przedewszystkiem trzeba kilka lat pracować w danej firmie, aby poznać branżę. Taka praktyka, to też rzecz nieprzyjemna. Mały pokój, przylegający do wielkiego składu i piętnaście dolarów tygodniowo.

Wiecznie ta obawa bezrobocia. Bo jeżeli Simson nie chce mu podwyższyć, to pewnie niedługo będzie chciał się go pozbyć. Może przy pomocy boskiej za kilka lat zdobędzie stanowisko kasjera. To byłby szczyt jego kariery. A onby tak chciał sprzedawać, pertraktować z różnymi ludźmi, podróżować sleepingiem, palić dobre cygara i mieszkać w pierwszorzędnym hotelu.

Po drodze bogate farmy i piękne farmerki, mające starych mężów, miękka pościel w sleepingu, noce przepędzane w eleganckich kabaretach, nowe znajomości, śniadania w restauracjach hotelowych, dobre likiery, powabne dziewczęta, gra w golfa... Toby było życie. Potem teatry, nocne kluby, piękne tancerki, szampan, a wreszcie naga kobieta w miękkim łóżku. Cudne piersi, westchnienia: Och, ty, mój jedyny.

Eighty-Sixth Street. Przystanek na Hundred Twenty — Fifth Street. „Proszę wysiadać”.

ANARCHIŚCI MUSZĄ UMRZEC TEJ NOCY.
WSZELKIE NADZIEJE STRACONE. SĄD NAJ-
WYŻSZY STANÓW ZJEDNOCZONYCH NIE
UZNAJE ŁASKI. PRZEWODNICZĄCY SĄDU PO
POWROCIE Z URLOPU TWIERDZI, ŻE SPRA-

WIEDLIWOŚCI MUSI SIĘ STAĆ ZADOŚĆ. WSZYST-
KIE PAŃSTWA EUROPEJSKIE INTERWENJUJĄ
W TEJ SPRAWIE. W ARGENTYNIE WYKRYTO
NOWE SPISKI. SACCO I VANZETTI MUSZĄ
UMRZEĆ.

Tak, to byli Czerwoni; niech ich djabli wezmą. Wszystko się miesza razem: Dempsey i Tunney, Sacco i Vanzetti, on, Simson i powabna Helena, z którą ma się spotkać dzisiaj wieczorem; wszystkie to postacie przesuwają się przed oczami wyobraźni i trudno je jakoś ujrzeć oddzielnie. Gazeta zsunęła się z ławki i upadła pod nogi. Co, u diabła? Kogo to obchodzi? Jim podniósł głowę, jakby szukając kogoś w tłumie, kogoby mógł polubić? Tuż nad nim stała młoda dziewczyna, trzymając mocno rzemienny pas. W drugiej ręce miała otwartą książkę, czytała. Patrzył w jej oczy, lecz ona nie podnosiła wzroku. Ignorowała go. Czytała dalej. Pomyślał: Czekać, ja ci pokażę. Podniósł się z ławki i rzekł grzecznie: „Może pani usiądzie”. Spojrzała nań, uśmiechnęła się blado i usiadła, pochylając znowu głowę nad książką. Była dla niego stracona.

Chciał się uśmiechnąć drwiąco, lecz nie mógł. Począł przepychać się przez tłum, nie przepraszając nawet. Był smutny. Cóż u diabła? Jaki z tego pożytek? Przez chwilę zapragnął uderzyć kogoś i zaczął rozglądać się, ktoby się do tego nadawał, ale nikt nań nie patrzył i nikt nie zdawał sobie sprawy z jego istnienia. Zaciśnął pięści. Mruknął pod nosem: Ja wam pokażę, bestje. Ja wam pokażę. Uczuł pragnienie zapalenia papierosa. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął papierosnicę, usiłował potrzeć zapalnik, lecz miejsca było tak mało, że nie miał swobody ruchów. Pomyślał: Muszę zapa-

lić. Zapalę papierosa. Niech mnie zaaresztują. Kto o to dbał

W przedziale był straszny gwar, który się mieszał z głośnym turkotem pociągu; na każdym zakręcie здавало się, że koła wyskoczą z szyn. Na twarzach kobiet malowało się zdenerwowanie. Jimowi przebiegło przez myśl, że za chwilę nastąpi katastrofa. Oczami wyobraźni widział już duży nagłówek w gazecie: KATASTROFA KOLEI PODZIEMNEJ. STU RANNYCH, STU ZABITYCH. Jak w Brooklynie pięć lat temu. Gdyby się to stało dzisiaj, powiedziano by, że to robota Czerwonych. Chcą pomóc braciom swym: Sacco i Vanzettiemu.

Przeniósł się myślą do wielkiej sali, gdzie stało krzesło elektryczne. Kamienne ściany, wysoki fotel i niezliczona ilość elektrycznych przewodników. Wchodzi ksiądz z krucyfiksem w ręku. Potem skazańcy w czarnych, aresztanckich ubraniach, za nimi straż. Skazańcy siadają po kolei na krzesła. Ręce mają skrępowane. Nogi związane. Za chwilę włożą im na głowy hełm elektryczny. Jeden ze skazańców całuje krucyfix. Ksiądz cofa się pod ścianę. Ale dzisiaj w nocy nie będzie tam księdza. Tamci nie wierzą. W całym mieście zapłoną światła, morze światła, a na wszystkich rogach rozlepione będą plakaty, głoszące straszną egzekucję.

Przybytek śmierci. Nagle przypomniał sobie, jak to on sam raz w życiu znalazł się w więzieniu. Grali w karty w małym pokoiku w „Paradise“, kiedyś w niedzielę popołudniu. Nikomu nie przyszło na myśl, że niebezpieczeństwo było blisko. W pewnej chwili wszedł do pokoju jakiś cywil i zawołał: „Proszę wstać. Jesteście wszyscy aresztowani“. To wszystko stało się tak szybko, że nikt nawet nie zdążył się zadziwić. Jednego z graczy dopuszczono do telefonu, aby uprzedził matkę,

że nie wróci na noc do domu. Prowadzono ich wszystkich do komisariatu na Charles Street. Policjanci nie byli uzbrojeni. Koledzy Jima podali zmyślane nazwiska i zamknięto ich wszystkich w dużej wspólnej celi.

Z początku bawiła ich ta cela, i to, że są znowu razem. Śpiewali i opowiadali sobie nawzajem tłuste anegdoty. Od czasu do czasu ktoś zapalał papierosa. Wszyscy byli dumni, że ich zaaresztowano. Dopiero będą mieli o czym opowiadać! Ale potem nadeszła godzina piąta i szósta, zaczęli uczuwać głód i zmęczenie. Nadewszystko zapragnęli wydostać się na wolność. Woleliby w danej chwili być w domu i leżeć w wygodnych łóżkach.

Zaczęli się domagać, aby ich wypuszczono. Puśćcie nas, chcemy wyjść. Dlaczego trzymacie nas w tym zamknięciu? Cóż wy sobie myślicie?

Ale nikt nie odpowiadał. Jeden z młodzieńców rzekł: „Myślę, że każdy, kto się tutaj dostaje, musi narzekać. Dozorcy powinni już stracić cierpliwość“. Inny znów zaczął biadać: „Ja chcę wyjść“. Ktoś mu odpowiedział: „To wyjdź“.

A potem siódma i ósma, wreszcie ktoś położył się na twardej pryczy. Ktoś inny przysiadł na brzeжку brudnego stołka i ukrył twarz w dłoniach. Reszta rozłożyła się na podłodze. Czekali tak, aż wreszcie dosłyszeli zgrzyt otwieranych drzwi i dozorca zaprowadził ich do kancelarii.

Stanęli w obliczu sędziego, który mógł ich skazać na sześć miesięcy domu poprawy i wszyscy silili się na jak najgłupszy wygląd. Dozorca powiedział w mrocznym korytarzu: „Jeżeli będziecie udawać, że nie macie o niczem pojęcia, sędzia was zwolni“. Trzeba było usłuchać mądrych słów dozorczy.

Zapłacili jakąś grzywnę i otworzyła się przed nimi brama wolności. W pięć minut potem znaleźli się na ulicy. Wolność, czyste, świeże powietrze. Tuż na rogu kawiarnia. Wstąpmy na filiżankę kawy.

Nagle Jim zapragnął wysiąść z pociągu. Ten tłok w przedziale niezmiennie go męczył. Zapragnął znaleźć się na ulicy, w drodze do domu. Zapragnął znowu ciepła słonecznych promieni. Zapragnął mieć to uczucie zupełnej swobody, że może pójść, w którą stronę zechce. Zapragnął wysiąść. Niechże ten pociąg stanie.

Jesteśmy napewno pod One Hundred Nineteenth Street. Przymknął oczy, potem otworzył je i pomyślał: A teraz pod One Hundred Twentieth Street. Wreszcie pociąg zaczął zwalniać biegu. Jim znowu wyjął z kieszeni papierosa. Trzymał w ręku pudełko zapalek. Ten pociąg chyba nigdy nie stanie. Myślni był już na wolnej przestrzeni. Ustąpił miejsca kilku osobom. Wreszcie pociąg stanął. Drzwi się otworzyły. Jim wyskoczył na peron. Począł biec szybko, gnany jakąś nieznana siłą. Przecież nie bał się policjanta, bo właściwie papierosa w przedziale nie zapalił. Począł biec, po schodach. Słońce, słońce. Jeszcze kilka stopni. Jeszcze osiem. Odechnął głęboko i jednym skokiem znalazł się wreszcie na chodniku ulicznym.

II

W DOMU

Poprzez szmer płynącej wody dosłyszał głos Daisy.

„Co takiego?“ zawołał.

„Nigdy nie wyjdziesz z tej łazienki?“

„Cicho bądź“, zirytował się. „Jeszcze minuty nie siedziałem“, i dalej począł oglądać swą twarz w lustrze.

Para z gorącej wody, spływającej do wanny, przysłoniła gładką tafłę lustrzaną. Przetarł lustro ręcznikiem. Przesunął język najprzód w stronę jednego policzka, potem w stronę drugiego, przyjrzał się znowu uważnie odbiciu swemu w lustrze i nagle zauważył jakąś ciemną plamkę na końcu nosa. Wytarł ją i patrzył dalej. Jakiś zdrapany pryszcz na policzku zaczął krwawić, przyszło mu na myśl, że gdyby cała twarz była podrapana, trudno byłoby zatamować upływ krwi. Wogóle doszedł do wniosku, że od kilku dni dziwnie zmizerniał.

Należałoby się ogolić, ale jakoś trudno mu było zabrać się do tego. Zawsze po goleniu skóra go bardzo bolała. Te okropne pryszcze na twarzy zaczynały krwawić. Boże, cóż za straszną miał cerę. Po goleniu bolało, a zarost wyglądał okropnie.

Ani od Magruddera, ani od innych nie było odpowiedzi. Joemu, właścicielowi trafiki, zapłacił już cztery dolary i pięćdziesiąt centów, które mu był winien, a oprócz tego za trzy paczki papierosów. Zamierzał dać mu tylko dwa dolary, ale w sklepie byli właśnie jacyś dwaj młodzieńcy i nie wypadało w czyjejś obecności prosić Joego o kredyt. Joe powiedział: „Pański rachunek wynosi cztery dziewięćdziesiąt pięć“, więc wyjął banknot pięciodolarowy i kilka centów drobnymi i rzekł: „Poproszę jeszcze o paczkę Luckies“. Potem wyszedł, nie patrząc nawet na tamtych klientów.

Właściwie nic nie stracił, bo w ostatniej chwili, zamiast dać matce a conto pięć dolarów, nie dał wogóle nic. Przykro mu było, ale co miał robić? Przez chwilę w myśli obliczał, ile winien matce ogółem, zaraz jednak doszedł do wniosku, że to obliczenie nie sprawiało mu

przyjemności, więc przestał wcale myśleć o tem. Zanurzył rękę w wannie. Woda była stanowczo za gorąca. Odkręcił kran i napuścił trochę zimnej wody. Zrzucił płaszcz kąpielowy i wszedł do wanny. Gorąca woda parzyła go nieco, ale postanowił wytrzymać. Wszedł drugą nogą i znowu spojrzał w lustro. Do diabła, że też miejsca, których ludzie nie widzą zupełnie, nie były pokryte pryszczami. Akurat właśnie musiały się ulokować na twarzy. Usiadł w wannie, przykryty zupełnie wodą, było mu coraz cieplej. Mięśnie wyprężały się, a całe ciało stawało się bardziej elastyczne. Rozpostarł szeroko ramiona, westchnął głęboko i przymknął powieki. Najchętniej nie wychodziłby nigdy z tej wanny. Do diabła z ubieraniem, do diabła z obiadem i do diabła z dziewczyną, z którą miał umówioną randkę. Zostać tak w wannie, pograżyć się w cieplej przyjemnej wodzie i oddychać swobodnie. Policzkiem dotknął ramienia i uczył, że było ono gładkie, jak ramię dziecka. W pewnej chwili, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, pocałował to gładkie jedwabiste ramię. Otworzył oczy, usiadł. Sięgnął po mydło i gąbkę i zaczął mydlić całe ciało. Podniósł się, aby namydlić nogi. Raz jeszcze spojrzał w lustro i znowu usiadł.

„Daisy“, zawołał.

„Co?“

„Wyjmij z kieszeni palta pudełko z papierosami i wsuń mi przez drzwi“.

„O“, odparła. „Wyjdź już raz z tej wanny. Myślałby kto, że cały dom do ciebie należy“.

„Kolacja gotowa, Jimmy“, zawołała matka. „Pospiesz się“.

„Daisy, proszę cię, podaj mi papierosy“.

„Ani mi się śni. Wyjdź z wanny“.

Niech i tak będzie, wyjdę z wanny, ale spróbuj mnie o coś poprosić. Właściwie nie miał najmniejszej ochoty rozstać się z przyjemną ciepłą wodą. Niczego więcej nie pragnął, tylko leżeć tak spokojnie i myśleć. Kolacja była gotowa, garnitur leżał uprasowany na łóżku razem z czystą koszulą, którą zamierzał włożyć. W jedwabnych skarpetkach była wielka dziura.

Z podwórza dochodził rozzwierający męski głos. śpiewający przez radio. Daisy nakrywała do stołu. Była czegoś dziwnie zagniewana. Słysząc było głośny hałas ustawianych przez nią talerzy. Brzęczały widelce i noże. Gdy przysuwała krzesła do stołu, zdawało się, że cały dom się wali. Doszedł trzask otwieranych drzwi wejściowych i odgłos ciężkich kroków Filipa. Wszedł do kuchni, a Daisy zaczęła robić jeszcze więcej hałasu. Filip był w kuchni i usiłował pogodzić się z matką

Jim stał na małej wycieraczce i wycierał się grubym ręcznikiem. Zapytywał siebie samego, co się właściwie stało. Narzucił płaszcz kąpielowy, otworzył drzwi i zawołał:

„Daisy“.

Żadnej odpowiedzi.

Owinął się szczelniej w płaszcz i wszedł do jadalni.

„Dlaczego nie każesz mu pójść do diabła“, rzekł. Daisy ciągle jeszcze nie odpowiadała.

„Wyrzuc raz wreszcie tego bękartą“, mruknął.

Odwrociła się i rzekła:

„Włóż pantofle i wynoś się stąd“.

Dobrze, czarownico, nie powiem już ani słowa. Jednakże chętnie wypchnąłby za drzwi Filipa. Nie wiedział dokładnie, o co chodzi, że Daisy jest taka wściekła,

ale osobiście Filipa poprostu nie znosił. Zresztą nigdy nie czuł do niego sympatii.

Drzwi swojego pokoju zostawił otwarte, że mógł słyszeć, co się dzieje w kuchni. Słyszał, jak Filip mówił do matki „mamo” i znowu wpadł w pasję. Właściwie Filip nie miał prawa tak mówić do matki, dopóki jeszcze nie był był mężem Daisy. Wogóle ta cała historia była strasznie śmieszna, bo zdawałoby się mogło, że Daisy także nie lubi Filipa. Ciągłe sprzeczała się z nim, chociaż już niedługo mieli się pobrać.

Na łóżku leżała koszula z przypiętym kołnierzem, na którym ta przebrzydła praczka zrobiła jakąś plamę i to na samym przodzie. Miał jeszcze niebieską koszulę w paski i taki sam kołnierzyk, ale nie chciał jej włożyć, nie mając do niej białego sztywnego kołnierzyka. Sztywne kołnierzyki są bardzo niewygodne, tembardziej wówczas, gdy się chce w taksówce popieścić trochę swą towarzyszkę. W szafie leżała jeszcze inna koszula, biała z monogramem, wyhaftowanym przez Daisy, ale przy szyi była już trochę podarta. To wszystko z tego chlorku. Koniec końcem, włoży pierwszą koszulę i tak zawiąże krawat, żeby nie było widać plamy.

Wyjął spinki z brudnej koszuli, obejrzał się, gdzieby można je położyć, a nie znalazłszy miejsca, rzucił je pod stół. Wciągnął skarpetki z dziurą. Wsunął stopy w buciki. Trzeba je będzie oczyścić. Odpiął czystą koszulę i naciągnął ją na siebie, przeglądając się ciągle w lustrze.

Z kuchni dochodził głos Daisy, górujący nad głosem matki i Filipa. Daisy była zdenerwowana. Wystarczało niewinne jakieś słowo, aby ją doprowadzić do płaczu. Głos jej podnosił się coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie załamał się i przez chwilę nie była zdolna

wypowiedzieć ani słowa. Gdy potem zaczęła mówić znowu, z gardła jej wydierał się jakiś przyciszony chrapliwy szept.

Jim nie mógł znieść tego dłużej, naciągnął spodnie, poprawiając troskliwie kanty i unosząc je, aby nie zebrać z podłogi kurzu, przeciągnął pasek i wszedł do kuchni. Właściwie nic go to nie obchodziło, ale za dwa centy...

Matka płókała kartofle, Daisy krajała chleb na desce. Filip — jakże on nienawidził tej małpy — siedział na skrzynce i palił papierosa. Popiół strzepywał na podłogę.

„Co się panu zdaje, że gdzie pan właściwie jest?” zapytał Jim. „U siebie w domu?”

„Jezus”, odparł Filip. „Więc i pana mam słuchać?”

„Tak”, rzekł Jim. „A jeżeli się panu nie podoba...”

„Nie wtrącaj się w nieswoje sprawy”, zawołała Daisy.

„Nie”, rzekł Jim, i chciał jej jeszcze coś powiedzieć, ale matka chwyciła go za ramię i wyciągnęła z kuchni. Stojąc w przedpokoju, zamknęła drzwi za sobą. „Zostaw ich samych”, prosiła, całując go.

„Nie mogę na niego patrzeć”, mruknął Jim.

Matka otoczyła ramieniem jego szyję, a w nim złość ustępowała powoli. Przyciągnął ją do siebie, potem uwolnił się z jej objęć i wrócił do swego pokoju. Przeczesał szczotką włosy i znowu spojrzał w lustro. Zawiązanie krawata trwało dłuższą chwilę. Może byłby lepszy długi krawat, bo przysłoniłby tę szkaradną plamę. Dużo krawatów nie miał, jednak wybór zajął mu dość dużo czasu. Kilka razy mruknął coś pod nosem i uczynił ruch, jakby znowu chciał wrócić do

kuchni. Wreszcie zawiązał krawat, wyciągnął kamizelkę z pod marynarki, włożył ją, spojrzął w lustro, potem zdjął ją znowu i rzucił na łóżko. Zdjął z krzesła świeżo wyprasowaną marynarkę i włożył ją na siebie.

Uśmiechnął się do lustra, wzruszył ramionami i pomaszerował do jadalni. Matka, Daisy i Filip milczeli. Chciał o coś zapytać. Na usta tłoczyło się pytanie: Jak ja wyglądam? Ale wydało mu się to pytanie głupie, bo tamci bardzo poważnie siedzieli dokoła stołu. Zdecydowanym krokiem przeszedł dwukrotnie przez pokój, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Usiadł.

Podano gotowaną szynkę, kapustę i smażone kartofle. Na talerzu leżał chleb, a tuż obok stała masielniczka z masłem, solniczka i karafka z wodą. Tuż opodal kilka szklanek, kwaszony ogórek, pokrajany na półmisku i ocet w butelce. Wreszcie pudding z chleba i czarna kawa. Matka wędrowała z kuchni do pokoju i zpowrotem.

Przyzwolicie i czysto ubrany, czuł się sympatycznie usposobiony w stosunku do wszystkich i przykro mu było, że tamci ciągle się z sobą sprzecali. Pozatem wielką przyjemność ucuwał w jedzeniu — szczególnie smakowała mu gotowana szynka i kapusta. Lubił bardzo angielską musztardę, chociaż właśnie na stole stała musztarda, przyrządzona po niemiecku. Zdenerwowanie Daisy odbierało mu apetyt. Filip sprawiał wrażenie, jakby postanowił nie wymówić ani słowa. Matka uważnie napełniała talerze, starając się rozdzielić między wszystkich równe porcje. Nikt nie miał zamiaru sprzeczać się dalej. Właściwie Filip był porządnym chłopcem, chociaż on, Jim, bardzo go nie lubił. Daisy także nie jest zła, a o matce niema już co mówić. Stał przed nim napełniony talerz i widelec sam podnosił się do ust.

W tej chwili był przekonany, że poprostu kocha tych troje przy stole. Wetknąwszy już po raz drugi widelec w zarumienioną szynkę, odezwał się, nim jeszcze zdążył połknąć pierwszy kęs:

„Wszystko w porządku, Filipie”.

A Filip ciągle jeszcze silił się na dowcip:

„Dziękuję panu za te słowa, Mr. Cowan”.

Nagle Daisy:

„A co z moimi trzema dolarami?”

Wtedy Jim się zdenerwował. Co to miało za sens? Przychodzi człowiek z pracy, zmęczony jak lichy, chciałby każdego skłąć, ale się hamuje i stara się być uprzejmy, a tu nagle... Nie można być dobrym dla ludzi.

Niech to wszystko diabli porwą. Zje kolację i wyjdzie. Na ulicę, na Broadway z Heleną. Sterczące piersi, wysuwające się z pod głęboko wyciętej bluzki, piersi, których chciałby się dotknąć, pogłaskać, pocałować. Czerwone wargi, stworzone do pocałunków, ale jeszcze niewinne. Żeby prędko zjeść ten obiad. Prędko. Na ulicę. Do kolei napowietrznej. Do Heleny. Prędko.

„Nie pochłaniaj tak szynki, bo się udławisz, Jimmy”.

Zadzwieczał dzwonek u drzwi. Matka poszła otworzyć.

„O, hallo, Mrs. Williams. Jakże miło. Proszę, niech pani wejdzie”.

„Dobry wieczór, panie Cowan. Wpadłam tylko na chwilę. Hallo, Daisy. Jak się powodzi twemu narzeczonemu? O, hallo, panie Laurie”.

„Dobry wieczór, pani Williams”.

„Hallo, Jimmy”.

„Hallo”.

„Och, pani Cowan, jakże ja szybko biegłam. Dzi-

siaj po obiedzie w powrotnej drodze do domu Jennie miała wypadek“.

„Co pani mówi, pani Williams. Wypadek samochodowy?“

„Nie. Wyszła z biura i na Union Square zebrał się wielki tłum. Wszyscy wrzeszczeli. Nadjechała policja. Widocznie wzięto ją za jedną z krzykaczek. Któryś z policjantów uderzył ją gumową pałką. Całą skórę na głowie ma zdartą. Lekarz musiał ją zeszywać“.

„Tak“, wtrącił Filip, „to o tych dwóch Włochów w Bostonie. Wydano specjalny dodatek nadzwyczajny. Na Union Square był protestacyjny wiec. Chcą tych dwóch zbrodniarzy uwolnić. Było nawet kilku rannych“.

„Och, pani Williams! Daisy, pobiegnij na chwilę do Jennie“.

„Właśnie dlatego przyszedłam. Leży w łóżku i jęczy. Lekarz powiada, że to szok nerwowy. Może Daisy...“

„Daisy, idź na górę do pani Williams“.

„Naturalnie, mamó. Za chwileczkę, pani Williams“.

Pani Williams wyszła, a za nią Daisy.

„Biedna dziewczyna“, szepnęła matka. „Cóż ona miała z tem wszystkim wspólnego?“

„No“, odparł Filip, „każde zamieszanie jest zamieszaniem. Trudno, żeby policja mogła wyróżniać jednostki. Musi okazać swoją energję, prawda?“

Jim zaczął żałować, że nie przeczytał sprawozdania o tem wszystkim, gdy wracał do domu koleją podziemną. Nagłówki. Co one zawierały? Coś o Argentynie? O gubernatorze Fuller?

„Istotnie?“ zapytał. „Cobyś pan powiedział, gdyby napadnięto na pana wówczas, gdy pan o niczem

nie wie? A potem powiedziano: Niech pan wybaczy. To tylko w zamieszaniu“.

Do diabła, o czym on właściwie mówił? Przecież sam nie wiedział, o co chodziło.

„Prawo i porządek“, rzekł Filip.

„Bzdury“, zawołał Jim.

„Jimmy“, ostrzegła matka.

Jennie Williams leżała na górze, jęcząc. Jennie Williams, która całowała, jakby chciała pochłonąć tym jednym gorącym pocałunkiem. Ta mała Jennie leżała na górze z poranioną głową. Namiętna mała Jennie, którą pewnego dnia wystawił na próbę i po długim pocałunku wsunął jej dłoń pod sukienkę. Potem już nigdy nie pozwoliła się całować.

Ale to było bardzo dawno temu, jeszcze w owym czasie, kiedy chodziła do szkoły, a on po ukończeniu studjów znalazł pierwszą posadę; w owym czasie, kiedy każda spotkana dziewczyna była dla niego tajemniczą zaczarowaną księżniczką. Jennie nie broniła, gdy kładł rękę za gors sukienki i dotykał piersi. Ale nie pod sukienkę. Mała Jennie leżała na górze i jęczała.

„Ogromnie mi jej żal“, rzekł.

„To dlaczego wtrącała się w nieswoje sprawy?“ zapytał Filip.

Jim najchętniej uderzyłby go w tej chwili.

„Nie rozumie pan, zatracony kretyńcze, że ona pracuje właśnie na Union Square? Przecież musiała wrócić do domu, prawda? Nie może się to panu pomieścić w głowie? Musiała przejść przez plac, żeby się dostać do kolei podziemnej“.

Że też własna siostra Jima ma zostać żoną takiego idjoty. Czy ta Daisy nie ma oczu? Ładna to miłość.

W tej chwili było mu wszystko jedno i nie zwracał uwagi na to, co mówił:

„Gdybym był na miejscu Daisy i nie mógłbym sobie znaleźć innego męża, oprócz pana, wolałbym się utopić”.

Filip wybuchnął:

„Ty gówniarzu...”

Matka weszła z kuchni. Obydwaj uciszyli się.

„Jimmy, pobiegnij na górę i zapytaj, czy czego nie potrzebują. Muszą być bardzo zdenerwowani”.

Podniósł się z miejsca, podszedł do niej, otoczył ją ramieniem, pogłaskał i pocałował w policzek. Matka była naprawdę nadzwyczajną kobietą.

„Czy dzisiaj wieczorem znowu wychodzisz, Jimmy?”

Chciał odpowiedzieć: Nie. Matka była idealna. Ale musiał się przecież zobaczyć z Heleną. Helena, kino i speakeasy*), a potem taksówka. Siedzą we dwoje, tulą się do siebie i łączy ich długi, gorący pocałunek. A potem może coś jeszcze. Może jej pokoik. On ją rozbiera powoli i co chwila całuje. Nie powinna zdawać sobie sprawy, że jest już bez ubrania. Jednym ramieniem trzyma ją mocno, a drugą ręką odpina guziki, wyjmując szpilki z włosów, zdejmując wszystko wolno i delikatnie.

Pół do siódmej. Jeszcze godzina czasu. Matka będzie na niego czekać. Będzie siedziała w kuchni na twardym drewnianym krześle. „Dobrześ się bawił, Jimmy?” Śmieszne, na Daisy nigdy nie czeka.

„Wrócę wcześniej do domu”, rzekł.

*) Lokal, w którym potajemnie sprzedają alkohol.

„...nad ranem”, uzupełnił Filip.

Żeby już nareszcie wzięli ślub, myślał Jim, biegnąc po schodach. Nie mogę znieść tego człowieka w domu.

Ciekawe, przebiegło mu przez myśl. Od lat już nie byłem tutaj, na tem piętrze. Od owej nocy, kiedy to stałem z Jennie w hallu. Schody wydawały się jakieś inne, niż tamte, wiodące na trzecie piętro. Inne rysunki na ścianach i brud, którego nigdy przedtem nie widział. I światło jakoś inaczej wnikało przez duże okna klatki schodowej. Nawet numery nad drzwiami były zmienione. Jakiś cudzoziemiec, o którym nigdy nie słyszał, mieszkał naprzeciw Williamsów. Jim strzepnął okruszynkę chleba z kłapy marynarki, przygładził dłonią włosy i przycisnął dzwonek. Także inny dźwięk, niż na niższych piętrach.

Marie podeszła do drzwi. Boże, jakże urosła. Ma już chyba teraz dwanaście lat, a może więcej. Ładna z niej będzie dziewczyna. Wyższa od małej Jennie. Przypomniał sobie teraz, że już bardzo dawno Jennie nie widział. Musi już mieć najmniej dwadzieścia dwa lata. Serce zaczęło mu bić mocno. Och, weź się w kupę, rozkazywał samemu sobie. Nie bądź osłem. Przecież Jennie, to dawno przebrzmiało echo.

„Jennie jest chora”, rzekł Marie.

„Wiem”, odparł. „Czy Daisy jest tutaj?”

„Tak, jest w Jennie pokoju. Jennie strasznie jęczała, ale teraz już nie jęczy”.

Marie pobiegła przez długi korytarz i zatrzymała się dopiero w drzwiach kuchni. Jim poszedł za nią.

„Hallo, panie Williams”, zawołał.

Pan Williams nie odpowiedział. Siedział przy oknie i czytał gazetę. Był bez obuwia, a skarpetki, które miał

na nogach, znaczyły się różnokolorowymi cerami. Na nosie sterczały mu binokle. Siedział bez marynarki i bez kołnierzyka. Włosy mu posiwiały, postarzał się bardzo przez ten czas.

Na kuchni coś się gotowało. Podłoga była brudna, stół nakryty do kolacji. Marie siedziała przy stole i czytała jakieś humorystyczne pismo. Jim chętnieby zapalił papierosa, ale nie śmiał.

Z dołu dobiegały jeszcze dźwięki radjo. Muzyka taneczna. Chętnieby zatańczył w tej chwili. Nogi mimowoli podnosiły się w takt melodji. Opanował się jednak.

Wyszedł do przedpokoju i zapukał do pierwszych drzwi. Daisy otworzyła. W pokoju zasunięte były firanki tak, że Jim mógł zaledwie odróżnić kontury łóżka.

„Jimmy“, prosiła Daisy, „zejdź do apteki i kup proszek od bólu głowy“.

„Jak ona się czuje?“ zapytał Jim.

„Głowa ją bardzo boli“.

Żaden proszek nie pomoże, jeżeli się otrzymało uderzenie gumową pałką, pomyślał Jim, schodząc na dół. Takiemu nic nie pomoże. Samo się musi poprawić. Jak kogoś byk weźmie na rogi, to i żaden lekarz nic nie zrobi.

Sukinsyny. Szwędają się po ulicach i robią krzywdę ludziom, jakby całe miasto do nich należało. Nawet bronić się nie wolno, bo czy można z takim bałwanem dysputować. Taki może być pijany, albo niespełna rozum i nie odpowie nawet porzadnemu człowiekowi. Zrobisz jakiś fałszywy ruch, a już dostajesz pałką w łeb. Powiedz coś takiemu, to cię zaaresztuje.

Jima ogarnęła pasja. Za dwa centy obili by pierwszego napotkanego policjanta. Mogą go zaaresztować,

mogą z nim robić, co im się podoba. Tylko trzeba im pokazać, że nie są tacy wszechmocni, że nie ujdzie im bezkarnie krzywdzenie niewinnych ludzi. Boże, jak on by go obił. Powaliłby go na ziemię i wydrapałby mu oczy z wściekłości.

Znowu zapomniał o wszystkim i biegł na dół, przeskakując odrazu po dwa stopnie. Z sieni wypadł na ulicę. Chodź tutaj, draniu. Ja ci pokażę!

„Co pan tak leci? Niech pan uważa, jak pan idzie“.

Ja ci pokażę, dokąd idę. Ja ci pokażę. Ja ci dam lekarstwo.

Biegł przez ulice, potracił lodziarza, przesunął się między samochodami, potracił małą dziewczynkę na wrotkach, która mu stała na drodze. Potem zwolnił kroku i począł iść spokojniej, jakby zdecydowany. Gdzie tu jest jakiś policjant?

Ujrzał jednego na rogu ulicy. Taki sobie niepozorny, mały policjant. Nie o wiele wyższy od niego. Nie miał nawet przy sobie gumowej pałki. Reguluje ruch, pomyślał Jim. Ja mu pokażę.

Policjant odwrócił się i spojrzał na Jima. Miał całkiem sympatyczną twarz. Skinął głową i uśmiechnął się, a Jim mimowoli uśmiechnął się także i wszedł do apteki.

„Jaki pan chciałby proszek?“ zapytał pan Finkelstein. „W dwóch papierkach, czy w jednym papierku? Ten w niebieskim papierku wrzuci pan do szklanki z wodą, potem wsypie pan ten z czerwonego papierka i będzie pan mieszał tak długo, aż wydobędzie się piana. A może pan chce obydwie w jednym papierku?“

W tej samej chwili weszła do sklepu jakaś kobieta. Na dworze było jeszcze widno, ale wewnątrz sklepu panował mrok. Kobieta nie miała nic pod sukienką. Nie-

brzydka była i dosyć zgrabna. Jim przyglądał się jej, ale starał się, aby ona tego nie zauważyła. Usiłował odpowiadać na pytania pana Finkelsteina. Kobieta uśmiechnęła się — musiała być widocznie z sąsiedztwa i prawdopodobnie znała go z widzenia. Słowa uwięzły mu w gardle. Podeszła do budki telefonicznej. Weszła do wnętrza, zamknęła drzwi, potem je uchyliła i raz jeszcze przesłała mu uśmiech. Chętnieby zaczekał na nią.

„Dwadzieścia pięć centów“, rzekł pan Finkelstein. Zapłacił dwadzieścia pięć centów i nagle przypomniał sobie jeszcze o czemś.

„Niech mi pan da ćwierć tuzina“, rzekł, pochylając głowę nad kontuarem, tuż nad stojącym po drugiej stronie panem Finkelsteinem.

„Pięćdziesiąt centów“, oznajmił pan Finkelstein, podając małą przezroczystą kopertkę. Jim wsunął ją do kieszonki kamizelki.

Może ta kobieta zauważyła. Zawstydzony wybiegł szybko ze sklepu.

„No, jakże idzie?“ zapytał policjant.

„Jak po maśle“, odparł Jim.

O Jezu, zawołał policjant. Właściwie dlaczego? Co mi u diabła brakowało? Nagle opanowało go pragnienie zupełnej beczynności. Zapragnął wogóle nie wyjść z domu dzisiejszego wieczora. Nie chciał nikogo widzieć. Nie chciało mu się wracać do domu. Niechaj ją głowa boli. Mnie tam wszystko jedno. Przecież ja jej krzywdy nie zrobiłem. Nie chciało mu się widzieć Daisy, ani matki. A Filipa... Na Boga, jeżeli ten znowu gębę otworzy, trzaśnie go chyba w pysk.

Czuł się bardzo zmartwiony i bardzo samotny. Zdawało mu się, że nigdy już nie wróci do domu, że dom jego nie znajdował się tu w pobliżu, że nie będzie

miał siły wejść na schody, przejść przez małą sień, gdzie stały dwa wózki dzieciinne, że nie będzie mógł znieść tego zapachu, na klatce schodowej. Szedł do domu, a zdawało mu się, że wcale nie idzie. Właściwie nie miał domu i nie miał dokąd wracać. Tak było najlepiej. Ulice biegły przed siebie bez celu, ciągle przed siebie w dziwnym zmęczeniu i ustawicznym głodzie. Tu gdzieś w pobliżu musi być jakaś długa wąska uliczka, cały szereg sklepów z oknami wystawowymi, w które mógłby zajrzeć.

Tuż przed nim przeleciała piłka, rzucona rączką dziecka, a on automatycznie wyciągnął ręce, odwrócił się i rzucił piłkę za siebie. Przez chwilę obserwował bawiące się dzieci, ale potem zaraz przyszło mu na myśl: Mam na sobie świeżo odprasowany garnitur, Jennie leży tam na górze ze straszliwą migreną, dziś wieczorem pójde na Broadway z przesłiczną dziewczyną i coś się stanie, nim jeszcze wieczór minie. Nie patrzył już za piłką i poszedł dalej całkiem bezwiednie, podnosząc nogi i zmuszając się do ruchu.

Na schodkach jakiegoś sklepu siedziało dziecko, zającując duży kawał chleba z masłem. Włoscy sprzedawcy lodu rozmawiali z włoskimi handlarzami bananów. Joe, ze sklepu tytoniowego, gawędził ciągle jeszcze ze swymi dwoma klientami, których Jim spotkał dzisiaj w sklepie i od razu znienawidził. Czyż oni nigdy nie pójdą do domu? pomyślał. Joe zauważył go i zawołał: „Hallo Cowan“. Jim odparł: „Hallo, Joe“, i uradował się nagle, że ktoś się do niego odezwał i nie spojrzał nawet na klientów, do których uczuł taką antypatję. Tam znów na chodniku mała dziewczynka na wrotkach — on także kiedyś lubił wrotki i dostał je w prezencie od starego, a potem dostał rower. Tutaj

wielki otwór w chodniku, duży brudny czarny kot w białe łaty, pragnący się przedostać przez kratę okna. „Psik. kotku. Kici, kici, kici”. Drugi kot, już nie tak duży, z zawiniętym ogonem. Zdaleka dochodził łoskot kolei napowietrznej. Jakieś dziecko płakało, wołało matkę i zatrzymywało ją, bo nie mogło jej nadążyć. Jeszcze dwa domy. Koszerna rzeźnia, rzeźnik w zakrwawionym fartuchu siedzi przed sklepem z żoną i dziećmi. Oboje siedzą na skrzyniach, dzieci ulokowały się na chodniku. Następny dom. Dalej. Schody. Jeden, dwa, trzy. Pani Oberwager ze swoim maleństwem. „Hallo, pani Oberwager”. Pani Oberwager tak była zajęta dzieckiem, że nie odpowiedziała. „Niech panią licha weźmie, pani Oberwager”.

W sieni spotkał Marie, która biegła właśnie na ulicę.

„Masz, Marie”, rzekł. „Zanieś to Jennie”.

Wręczył jej pakiecik i dał dwadzieścia pięć centów. Marie skinęła głową i pobiegła na górę.

Jim szedł za nią wolno przez sień, gdzie unosił się zapach garbowanej skóry i ciemniej było, niż przy drzwiach. Skierował się na prawo i począł wchodzić na górę. Okna klatki schodowej były zamknięte, a kolorowe szyby były brudne i wyszczerbione. W mroku trudno było zobaczyć schody. Tutaj jeden stopień złamany. Teraz na prawo i znowu w górę. Pierwsze piętro. Na lewo mieszka pani Majerowicz, na prawo pan Nolan, to radjo pani Nolan gra od rana do nocy. Teraz, latem, gdy okna są otwarte, słysząc muzykę do późnego wieczora. Budzi się człowiek i zdaje mu się, że już późna godzina, a nagle słyszy: „Właśnie wybiła godzina druga. Słuchaczom i słuchaczkom życzymy dobrej nocy”. Czy ta pani Nolan nigdy nie śpi? Parę stopni w górę

i drugie piętro. Mieszkanie na prawo było puste. W dziurze od klucza tkwił kawałek papieru. Kto mieszka na prawo? Nie znał tych ludzi. Pobiegł szybko wyżej i znalazł się w korytarzu na trzecim piętrze. Tu mieszka pani Marta Cowan. Jej syn, pan James Cowan i córka panna Daisy Patricia Cowan. Drzwi się otworzyły. „Hallo, mamó. Dzięki Bogu, że Filipa niema”. „Powiedział, że przyjdzie potem, Jimmy”. „Potem mnie nie będzie”. Dzięki Bogu.

Nie było jeszcze siódmej. Jim zdjął marynarkę, powiesił ją na krześle, wziął z fotela poduszkę, położył ją na kanapie w jadalni i rozciągnął się na niej z gazetą w ręku. Zapalił papierosa, rzucił zapalnik pod kanapę i zaczął czytać. Ale gazeta pełna była wiadomości o Sacco i Vanzettim, to też cisnął ją na podłogę i począł patrzeć w przestrzeń.

Przez kilka chwil nie myślał o niczym, potem zatrzymał wzrok na portrecie Eugene, który wisiał tuż nad nim na ścianie. Po lewej stronie zatknięty był ostatni list Eugene, pisany z Francji. Po prawej czarna szarfa żałobna matki ze złotą gwiazdą, a w środku mała jedwabna amerykańska chorągiew. Powiększenie fotografii z owych czasów, gdy Eugene przebywał w obozie ćwiczebnym. Rysów Eugene nie można było prawie rozpoznać. Fotografia naklejona była na szarą tekturę i oprawiona pod szkłem.

Właściwie niewiadomo, czego szukał pod Verdun, tak mówili ludzie, którym Jim opowiadał o śmierci Eugene. Amerykanie nie mieli nic wspólnego z bitwami, stacjami pod Verdun. A jednak Eugene tam właśnie został zabity. Wiadomość o tem nadeszła z ministerjum wojny. Zabity przez wrogów pod Verdun. Ludzie się uśmiechali i kiwali powątpiewająco głowami. Co pański

brat robił pod Verdun? Musiał widocznie ścigać jakąś niewiastę, kiedy tam został zabity. Dopóki Jim był mały, pozwalał się ludziom uśmiechać, później jednak zwyzyślał takiego jednego, aż tamten wreszcie zamilkł. Eugene padł pod Verdun i to powinno wystarczyć.

Eugene często stawał przed sądem. Raz za stłuczenie szyby w dniu wyborów, potem, o wiele później, za uwiedzenie dziewczyny. Dziewczyna wprawdzie była szalenie zepsuta i nie przepuściła żadnego chłopaka, ale stary miał wtedy dobrą posadę. Dziewczyna przypuszczała, że jej się uda złapać Eugene i będzie zabezpieczona na całe życie. Sędzia powiedział: „Albo poślubi pan dziewczynę, albo zostanie pan odesłany do Domu Poprawy”. Stary poradził: „Idź lepiej do Domu Poprawy. Ja tej dziewczyny do swego domu nie wpuszczę”. I tak, Eugene aż do dwudziestu lat przebywał w domu poprawy, a potem dzięki staraniom starego, został wypuszczony na wolność. Dziewczyna w rok później odebrała sobie życie i wszystko poszło w niepamięć.

Z Eugene zawsze było jakieś лихо. Awanturował się z policjantami, potem pobił jednego, zamknęli go i zapłacili dwadzieścia dolarów kary. Zazwyczaj miał przy sobie dużo pieniędzy i stary nieraz męczył go całymi godzinami, chcąc się dowiedzieć, skąd pochodzą te pieniądze. Matka kochała Eugene, ale nie mogła sobie z nim dać rady. Przynosił jej stale drobne podarunki, raz nawet bransoletkę, a raz grzebień z łuski jaszczurczej. Pewnego razu obiecał jej przynieść futro, lecz ona, nie wiedząc, skąd to wszystko pochodzi, bezwarunkowo nie chciała przyjąć. Raz Eugene wyszedł z domu i wrócił pijany. Jim pamięta jeszcze jego rozzdzierające krzyki. W pewnej chwili podszedł do starego i uderzył go

w twarz, wtedy stary zawołał policję i kazał go z domu wyrzucić. Eugene więcej nie wrócił do domu, chociaż matka od czasu do czasu czyniła za nim potajemnie poszukiwania. Gdy wojna wybuchła, Eugene był w wojsku. Został wysłany do Francji i zaczął pisać długie listy do matki. Matka robiła mu na drutach skarpetki i posyłała razem z drobnymi sumami pieniędzy. A potem przyszła wiadomość, że padł pod Verdun.

Poczęła się szerzyć w mieście epidemia grypy. Stary zachorował, przyplątało się zapalenie płuc i to go zabrało. Przez pewien czas było strasznie źle. Matka chciała, żeby Jim dalej chodził do szkoły, lecz on po dwóch latach studjów poszedł na posadę. Daisy uczyła to samo.

Teraz Daisy weźmie ślub i pójdzie z domu. Oczywiście obiecuje dbać o matkę, ale Filip chce, żeby porzuciła pracę, a on sam zarabia niewiele. Pozostawała więc tylko niewielka suma z ubezpieczenia w Bractwie i to, co Jim przynosił do domu. Matka napewno dobrze sobie głowę nałamała, żeby związać koniec z końcem. A on, Jim, nie da ani centa więcej. Przecież dzisiaj także otrzymał pensję. Ma prawie dwadzieścia pięć dolarów w kieszeni, a miał czelność powiedzieć matce, że nie ma pieniędzy, i że nie może jej nic dać. Przyjemny z niego synek, niema co mówić. Na byle jaką wszarkę wydaje, a matce żałuje każdego centa. Byle jaka, byle tanio. Usiłował przypomnieć sobie teraz najordynarniejsze przekleństwa, jakie znał kiedyś i zwrócić je wszystkie w swoją stronę. Zacisnął pięści i całą siłą uderzył w drewnianą ramę kanapy. Bólu prawie nie czuł. Potem wyprostował palce i zawył nieludzko. Jeden palec krwawił, z drugiego była skóra zdarta. Prawie nie zdawał sobie z tego sprawy. Wyjął z kieszeni pienią-

dze, rozwinął banknot dziesięciodolarowy i zawołał: „Mamo!”

Słyszał, jak wychodziła z kuchni. Zwarjowałem chyba, pomyślał. Obejrzał zaciśniętą pięść, była śna i zdrętwiała. POCO to zrobiłem? zapytywał samego siebie. Matka stanęła na progu. Nie patrząc na nią, rzekł:

„Weź to lepiej“, i podał jej banknot. Potem poszedł do kuchni i przez chwilę trzymał rękę pod strumieniem zimnej wody.

„Powiedziałeś przecież, że nie masz pieniędzy“, zauważyła matka.

„Już dobrze“, odparł. „Weź to“.

Przemknęło mu przez myśl, że może dzisiaj wcale nie wyjdzie. Zostanie w domu, ale na samą myśl o tem zrobiło mu się dziwnie nieprzyjemnie. Nie wierzył w to. Był przekonany, że jednak wyjdzie z domu. Mimo to czuł się jakoś lepiej, pozbywszy się tych dziesięciu dolarów. Djabli nadali z tą ręką. Boli teraz, jak lichy, będzie miał nauczkę.

Pragnął, żeby już jak najprędzej była ósma, i żeby musiał wyjść. Ten kwadrans wydawał mu się wiekiem. Usiadł na stołku kuchennym i przyglądał się ręce ukradkiem. Bał się, żeby matka rany nie zauważyła. Zapalił papierosa i począł zaciągać się dymem. Był dziwnie zdenerwowany, a sam nie wiedział, z jakiego powodu.

Ukradkiem spoglądał na matkę. Siedziała po przeciwnej stronie stołu, w pobliżu okna. Blask światła załamywał się w jej włosach. Spoglądał na nią długo. Po raz pierwszy od lat widział ją naprawdę. Postarzała się. Musi już mieć dobrą sześćdziesiątkę, rzekł do siebie.

Zanucił popularną melodię. Tę samą melodię

grało radjo na podwórzu. „Mammy“, słyszał, „mammy...“ Do diabła, pomyślał. Przestaliby już. „Słońce świeci na wschodzie, słońce świeci na zachodzie...“ Niech już przestaną.

Dobrze, mamo, będę dbał o ciebie.

Ty zatracony głupcze, mówił do siebie. Myślałby kto, żeś dotychczas na nią kiedy patrzył.

Już dobrze, będę dbał o ciebie.

Matka westchnęła.

Jak będę chciał płakać, pomyślał, będę sobie płakał, ale kto mnie wtedy utuli?

Kłamca jesteś. Już teraz zbiera ci się na płacz. Jutro znajdziesz sobie jakąś dziewczynę i wydasz na nią ostatniego centa, jakiego masz w kieszeni. Nie, jeszcze dzisiaj to zrobisz. Po co, u diabła, umówiłem się z tą Heleną? Przecież jej znieść nie mogę. Chciałem jej zrobić przyjemność. Tak ją długo męczyłem, aż wreszcie umówiła się ze mną. Co to ma za sens?

Co wieczór będę wychodził, jak mi się będzie podobało. Mogę wydać wszystko, co zarabiam. Wyprowadzę się z domu. Wynajmę sobie pokój. Wyjadę z New Yorku i poszukam gdzieindziej posady. Zgodzę się na okręt i pojadę do Europy. Powłóczę się trochę po świecie.

Djabła tam to wszystko zrobisz. Zdajesz sobie sprawę, gdzie ci dobrze i dlatego zostaniesz w domu. Nie jesteś w stanie zaoszczędzić dziesięciu centów tygodniowo. Masz jeszcze pretensję do matki, która dba o ciebie? Jak się wyprowadzisz z domu, to po tygodniu będziesz leżał w szpitalu.

Mniejsza o to, pomyślał. Najlepiej przestać się nad tem zastanawiać, albo... zacisnął znowu pięść i miał

wielką ochotę uderzyć z całej siły w stół. Spojrzał jednak na matkę. Dlaczego, u diabła, ona nic nie mówi?

„Nie wiem, co tam Daisy robi tak długo“, odezwała się matka.

Co się ze mną dzieje? myślał. Co się stało? Bóg mi świadkiem, że nie wiem, co się ze mną stało. Dlaczego to wszystko takie dziwne? Co mam robić?

„Pójdę już“, rzekł.

„Wrócisz wcześniej, Jimmy?“ troszczyła się matka.

Miał ochotę krzyknąć: Nie, zostanę tam na całą noc. Nigdy już nie wrócę do domu. Nie mam domu. Zwarjowałem chyba, pomyślał.

„Tak, wrócę wcześniej“.

Pocałował matkę, a ona zarzuciła mu ramiona na szyję. Było mu dziwnie smutno. Na chwilę przytulił się do niej. Potem zdjął jej ramiona z swojej szyi, poszedł do jadalni, włożył marynarkę, wszedł do swego pokoju, wzięł kapelusz. Miał ochotę spojrzeć w lustro, ale złość go ogarnęła. Mimowoli poprawił krawat, wyszedł do przedpokoju.

„Dowidzenia, mamó“, zawołał od drzwi.

Daisy właśnie schodziła z góry.

Idź do diabła, pomyślał.

III

W KOLEI NAPOWIELTRZNEJ

Siedział z nogami wyciągniętymi przed siebie, gdy na jakimś przystanku wsiadający pasażer potknął się o nie. Zamiast zgiąć nogi, lub wstać, nie ruszył się z miejsca. Pasażer potknął się po raz drugi i rzekł z zagniewaną miną: Mógłby pan zabrać te nogi i nie tamować

ludziom przejścia. Jim siedział spokojnie, patrzył na jegomościa, a wetknięta w kieszeń ręka zacisnęła się w kulkę. Chwilami szczypał się w udo, jakby za karę.

Och, pan chciał przejść, istotnie? Chciał pan mieć wolne przejście? Nic się panu nie stało. Pięść się zacisnęła znowu, a spojrzenie powędrowało ku twarzy pasażera i zawisło na niej błagalnie. Gdybym nie miał się spotkać z dziewczyną, mój panie, i gdybym nie chciał uniknąć skandalu, już jabym panu pokazał.

Pasażer stał przez chwilę bez ducha, a potem przekroczył przez nogi Jima i poszedł przed siebie na sam koniec przedziału, nie oglądając się.

„Sympatyczny człowiek“, rzekł jakiś chłopak, siedzący opodal z gazetą i uśmiechnął się przyjaźnie do Jima. Jim udawał, że nie widzi.

W kącie, w pobliżu drzwi, siedziała ładna dziewczyna, w której żyłach musiała płynąć krew murzyńska. Jim miał ochotę przyjrzeć się jej bliżej, ale może była istotnie murzynką. Lepiej nie zwracać na nią uwagi. Jakaś stara Żydówka siedziała opodal. Co kilka minut podnosiła się i pytała, czy to właśnie przystanek, na którym miała wysiąść. Raz nawet zwróciła pytanie do Jima, ale on jej nie dał odpowiedzi. Dalej silny brunet z wypielęgnowanymi rękami, wyglądający na boksera. Przez cały czas przyglądał się swoim palcom, pocierając jeden o drugi, potem uśmiechnął się. Jacyś dwaj jegomoście rozmawiali po włosku, wtrącając od czasu do czasu jakieś angielskie słowo. Wszystko ginęło w turkocie kół pociągu i w zgrzycie hamulców na każdym przystanku. Od czasu do czasu dochodził odgłos trąbki samochodowej z dołu, z ulicy.

Tuż nad głową Jima okno było otwarte i świeży powiew wieczoru wnikał do wnętrza. Zdjął kapelusz,

Obejrzał się, czy jeszcze ktoś uczynił to samo, zapytał samego siebie, co tamci wszyscy w przedziale o nim myślą — może go biorą za cudzoziemca, ale właściwie gwizdał na to. Spojrzeniem zawisł na jakiejś niesympatycznej twarzy, zacisnął mocniej pięść w kieszeni i odwrócił się znowu do okna.

Klinika lalek, brudny biały szyld z czerwonym krzyżem. Wypożyczalnia fraków i toalet wieczorowych: Dwie lalki, jedna w smokingu, druga w długiej białej sukni. Tuż za rogiem hotel dla mężczyzn: brudne firanki, opuszczone zasłony. W otwartym oknie jakiegoś pokoju, w którym paliło się światło, siedzi mężczyzna z bosoimi stopami, opartymi na parapecie okna. Czyta gazetę. Na wyższym piętrze sala bilardowa. Nad stolami bilardowymi lampy, osłonięte zielonemi abażurami. Mężczyźni bez marynarek, z bilami w rękach. Zakład fotograficzny: nagie niemowlęta, zabawiające się własnymi nogami, młoda para w weselnych strojach. Znowu hotel dla mężczyzn. Jak się zna właściciela, można pewno przyprowadzić kobietę. A teraz przystanek.

Może wcale nie przyjdzie, może tylko tak sobie powiedziała: „Dobrze, spotkamy się w poniedziałek wieczorem”. Chciała się go poprostu pozbyć. W ostatni piątek zapytał ją: „No, umówi się pani ze mną, czy nie?” Ona odpowiedziała: „Ależ naturalnie, kiedy pan tylko zechce”. A on rzucił: „dzisiaj wieczorem?” „Nie, nie dzisiaj. Dzisiaj jestem zajęta. A jutro wieczorem muszę odwiedzić moją zamężną siostrę. Na niedzielę już też się umówiłam”. Więc zaproponował poniedziałek, w przekonaniu, że i na ten dzień znajdzie jakiś wykręt. Ona jednak odpowiedziała: „Chętnie, w poniedziałek się zobaczymy”.

Jeżeli nie przyjdzie, trzeba będzie poszukać jakiejś innej mleczarni i tam jadać śniadania. Przecież trudno pozwolić, żeby jakaś kelnerka kpiła sobie z niego i wystrychnęła go na dudka. Pewno myśli sobie: Ja już taka jestem. Wszyscy na mnie czekają, a ja im pozwalam czekać.

Dlaczego, u diabła, wogóle ją poznał? Dlaczego nie miałby sam wystrychnąć ją na dudka i przyjść jutro triumfująco do mleczarni i śmiać się? Tak, pani na mnie czekała? I jak się pani podobało to czekanie?

Uśmiechnął się. Zaraz jednak ujrzał ją za bufetem, z piersiami odznaczającymi się poprzez cienki jedwab bluzki. Piersi, poruszające się przy każdym jej ruchu i zdające się błagać o pieszczotę. Pamiętał, jak jadąc windą na dół do mleczarni, myślał o niej, bo właśnie było to w tym czasie, kiedy zaczęła w mleczarni pracować. Zapytywał wówczas samego siebie, czy zwróciła na niego uwagę, czy się dzisiaj uśmiechnie, gdy poprosi jeszcze o kawałek pasztetu i gdy zamiast dziesięciu centów da jej dzisiaj piętnaście, albo dwadzieścia pięć centów na piwo. Był przygotowany na wszystko. A ona z początku była dziwnie sztywna, nigdy się nie uśmiechała, widocznie uczuwała lęk na tej nowej posadzie u Greków. Potem jednak, po paru dniach czuła się już lepiej, witała uśmiechem stałych gości i gawędziła z nimi. Zdawało się nawet, że niejeden przychodzi tu specjalnie dla niej, bo niektórzy siedzieli spokojnie przy stolikach i czekali, aż ona im usłuży, a do innych dziewcząt nawet się nie zwracali. Zazwyczaj przy bufecie aż czarno było od tych, którzy z nią gawędzili, a ona uśmiechała się tylko i od czasu do czasu szepotała kapryśnie: „Niech pan już przestanie”.

Dość dużo czasu minęło, gdy wreszcie zdobyła się

i dla Jima na odpowiedź. Z początku jej się nie podobał. Gdy raz zapytał: „Jakie pani ma dzisiaj kanapki?” — ona tylko w milczeniu wskazała ręką leżącą na bufecie kartę. Gdyby ktoś sympatyczny zadał jej takie pytanie, napewno uśmiechnęłaby się i grzecznie odpowiedziała. Ale Jim musiał się zadowolnić własnymi swymi słowami, gdy ona tymczasem w milczeniu przyjęła zamówienie, przyniosła żądane potrawy, podała rachunek, a potem bez słowa przyjęła wręczony napiwek. Niejednokrotnie myślał: Poczekaj, już ja cię zgnotę, i był dla niej bardzo miły, uprzejmy a piersiom jej przyglądał się tylko wtedy, gdy stała za bufetem i nie zwracała nań uwagi.

Aż wreszcie pewnego dnia zapytała grzecznie: „Co pan będzie jadł dzisiaj?” a po otrzymaniu napiwka: „Dziękuję, dowidzenia jutro”. I od tego czasu zawsze już z sobą gawędzili. Opowiadała mu o młodych studentach, którzy zjadali na śniadanie po trzy ciasteczka cytrynowe i o pewnym jegomościu, który chciał ją koniecznie zwabić do kolei podziemnej, ale ona natychmiast wezwała policjanta i jegomość stanął przed sądem. Opowiadała o swej przyjaciółce, uśmiechała się i spoglądała nań przyjaźnie. Od czasu do czasu radziła: „Niech pan lepiej dzisiaj zje kawałek sera. Te jarzyny są wczorajsze”. Kawa, którą mu podawała, była zawsze gorąca, a na ciastkach zawsze miał więcej kremu, niż inni. Pewnego razu całkiem nieoczekiwanie rzekła: „Nie powinien mi pan codziennie dawać dwudziestu pięciu centów”.

Ale umówić się z nim nie chciała. Coprawda, nigdy nie powiedziała „nie”, tylko gdy ją prosił o rendez-vous, odpowiadała: „Ależ chętnie”, a gdy zapytał: „Dzisiaj wieczorem?” otrzymywał odpowiedź: „Nie, dzi-

siaj wieczorem jestem zajęta”. Bezwarunkowo nie miała żadnego przyjaciela, przynajmniej w tym roku. Przedtem przez trzy lata miała jednego, ale życie jest takie krótkie. Właściwie tamten nie bronił jej widywać się z kimśkolwiek, albo rozmawiać, tylko gdy pracowała jeszcze w restauracji Childa, stał zazwyczaj przed wystawą, przyglądając się, jak pieczono ciastka, a przy okazji uważał, żeby z nikim nie flirtowała. Tylko z tego powodu postanowiła się z nim rozstać. „Trudno się przecież pozwolić maltretować. Żadna dziewczyna nie może być wiecznie wierna”. O nie, z żadnym chłopcem się nie umawiała. Chodziła tylko do przyjaciółek, a całymi wieczorami zajęta była szyciem bielizny.

Jim nigdy nie żądał określenia daty. Ani razu jeszcze nie powiedział: „Dobrze, jeżeli pani nie chce się ze mną spotkać...” Ani też: „Czy zmieniła pani powleczenie na pościeli? Dzisiaj będę spać z panią”. Zresztą napewnoby się nie obraziła i odpowiedziałaby z uśmiechem: „Zbyt obcesowo bierze się pan do rzeczy”. Z pewnością nie czułaby się obrażoną. Był pewien, że nadejdzie wreszcie dzień, kiedy chętnie się z nim spotka. W zeszły piątek zapytała: „Ma pan auto?” „Nie”, odparł. „Za kogo pani mnie bierze? Nie wystarczy pani taksówka?” Wówczas ona wyjaśniła: „Pan wie, że pana lubię. Oczywiście, umówię się z panem, kiedy pan tylko będzie chciał”.

I znowu te powabne piersi. Bo ona sama nie była wcale taka ładna. Miała tylko ładną cerę i fascynujące oczy. Ale gdy siedział na wysokim krześle w sali śniadaniowej i obserwował ją zajętą za bufetem, nie mógł poprostu spuścić oka z jej cudownych piersi. Miała na sobie przezroczystą różową bluzkę, która uwydatniała każde uwypuklenie ciała. Patrzył na nią, obserwując każ-

dy ruch i często oczy jego zapalały się jakimś ogniem, a piersi jej wydawały się coraz większe i większe i nie zdawał sobie już sprawy, czy cośkolwiek widział, czy nie.

Może jednak dzisiaj wieczorem ją zobaczy, może nawet będzie ją czuł blisko przy sobie i położy dłoń na tych cudnych okrągłych piersiach i będzie ją mógł przytulić do siebie. Gdy przyszło mu na myśl, że będzie ją mógł pocałować, oczy zasły mu mgłą, poprawił się na ławce, lecz nagle przypomniał sobie, że znajduje się w tej chwili w przedziale kolei napowietrznej i że tuż obok niego siedzi piękna młoda murzynka, która może wcale murzynką nie jest.

Uczuł dziwne zawstydzenie. Więc człowiek nie może nigdzie się ruszyć, żeby nie zobaczyć jakiejś powabnej kobiety i żeby nie pomyśleć o tem, jaktoby było, gdyby ta kobieta leżała z nim w łóżku? Nie można myśleć o czemś innem i coś innego robić, jak tylko próbować, czy z tą właśnie kobietą się nie uda? Nawet spuszczać wzrok ku ziemi, spostrzega się tylko parę zgrabnych nóg...

Daj spokój, mówił do siebie. Dzisiaj wieczorem trzeba się rozerwać. Przez cały dzień pracowałem, jestem zmęczony, wychodzę, bo to mi sprawia przyjemność. Dziś wieczorem nie powinienem o niczem myśleć. Będę widział tylko to, co mi sprawia przyjemność. I będę robił tylko to, co jest miłe. Nie będę o niczem myślał. Wolę nie słyszeć żadnych argumentów. Jeżeli mam myśleć dalej, wolę się upić, bo to chociaż myśli moje zabije.

Gwiżdżę na to, czy ta mała w kącie jest murzynką. (do diabła, jak ty łatwo na wszystko gwiżdżesz. A nie sprawiłoby ci przyjemności spotkać się tak z nią

gdzieś na ciemnej przestrzeni ulicy?). Gwiżdżę na to. Czyż nie mam dzisiaj wieczorem rendez-vous? Gdybym nie miał, to możebym się zdecydował. (Tak, poszedłbyś z nią do Harlema, gdzie panuje zupełna swoboda).

Na Ninety-Sixth Street młoda para w wieczorowych strojach. Mężczyzna miał na głowie cylinder. Ha, ha, ha, pomyślał Jim. Czego szukasz w kolei napowietrznej? Dlaczego nie jedziesz własną limuzyną? Kobieta była bez kapelusza, miała prześliczne włosy. Oboje usiedli i wyciągnęli nogi przed siebie. Tak, pomyślał Jim, sądzicie, że cały przedział do was należy. Kobieta miała śliczne łydki. Widział nawet prawie jej kolana. Cudowne kolana. Mężczyzna zauważył, że Jim obserwuje kolana jego towarzyszki, więc wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie, aby tem samem zmieniła pozycję. Spróbuj tylko, myślał Jim. Wie, że ma ładne nogi i uważa, że powinna je pokazywać.

Trzebaby było zacząć oszczędzać i kupić sobie smoking. (Poco ci smoking? Przecież i tak nie będziesz go nosił). Nigdy nie można wiedzieć, pomyślał Jim. Smoking jest bezwarunkowo potrzebny. (Pójdiesz pewno do jakiegoś eleganckiego hotelu i będziesz tam siedział całymi godzinami, jakbyś od urodzenia przywykł do tego). Nawet i to możliwe, pomyślał Jim.

Nie wyprowadzisz mnie z równowagi, pokazując swoje nogi, — myślał Jim. Jestem nieczuły na takie rzeczy.

W tej chwili było mu dziwnie lekko na duszy. Na ową parę naprzeciw spoglądał nawet z uśmiechem. Mówił do siebie: Już dobrze, nie denerwujcie się. Ja wcale nie patrzę. Do murzynki także się uśmiechnął. W tej samej chwili pomyślał: Jak ta stara zapyta mnie

o przystanek, postaram się wytłumaczyć jej, gdzie ma wysiąść. Obserwując młodą murzynkę, mówił do siebie: Ty napewno wcale nie jesteś murzynką, ale wszystko w porządku. Uśmiechał się radośnie do wszystkich pasażerów w przedziale, nawet do małego kolportera, który wszedł właśnie przed chwilą. Chłopak odwzajemnił mu się uśmiechem.

Ktoś naprzeciwno czytał gazetę. U góry widniał nagłówek grubym drukiem: SACCO I VANZETTI MUSZĄ UMRZEĆ. Jim pomyślał: Nie mogli uważać? Co im, u diabła, przyszło do głowy? Bomby rzucać? Właściwie, co na świecie jest nie w porządku? Dlaczego nie wszyscy ludzie są zadowoleni?

Uśmiechnął się znowu do młodej pary w wieczorowych strojach. Mężczyzna w cylindrze wycierał nos śnieżnobiałą chustką. Och, niech go diabli wezmą, rzekł Jim do siebie. Jaka mucha cię ugryzła? Powieś się. Znowu spojrzał w okno. W dzielnicy Jersey blask słoneczny padał na lśniące dachy budynków. Tu i tam horyzont przecinały jakieś wyższe kamienice. Światło padało z góry, lecz na dole tonęło w mroku szarych kamienic. Kobiety stały w oknach pokoiów umeblowanych i czekały na powracających do domu mężów. Niektórzy siadali dopiero do obiadu. Tu i tam widać było jakiegoś mężczyznę bez marynarki, pykającego fajkę i czytającego gazetę.

Dokoła roznosiła się woń świeżo upranej bielizny. Jimowi przyszło na myśl, że jego czysta koszula była dziwnie chłodna, a kołnierzyk za ciasny. Na szczęście, krawat dzisiaj dobrze zawiązał i przyjemnie było pomyśleć, że garnitur jest świeżo odprasowany. Na dwa miesiące wystarczy, włosy też gładko leżą nad czołem. Najgorsze te pryszcze na twarzy, że też na to niema

żadnego lekarstwa. Może włożyć kapelusz, pryszcze na czole trochę się przysłoni.

Ta dziewczyna w kącie napewno nie była murzynką, a jeżeli już miała trochę krwi murzyńskiej, to napewno była tylko Hiszpanką. Murzynki były temperamentem bardzo zbliżone do Hiszpanek. Ożenisz się z taką, a tu pewnego dnia przychodzi do domu lekarz i mówi: Pańska żona powiła czarne niemowlę. Ładna niespodzianka, co?

Pewnego razu, gdy już wystąpił ze szkoły i pracował jako goniec biurowy, posłano go do Brooklynu. Mrok już zapadał, choć latarnie uliczne nie były jeszcze zapalone. W mroku tym trudno było rozróżnić twarze przechodniów. Nagle usłyszał tuż za sobą przyciszony głos: Chodź, biały chłopcze. Dam ci pół dolara. Oczywiście, przyspieszył kroku i pognął przed siebie.

Tra-la-la. Zobaczymy, czy uda mi się dzisiaj wieczorem z Heleną. Niech tylko wsiądzie do taksówki. Mam nadzieję, że nie będzie miała na sobie zbyt drogiej sukni, którą szkoda by było zniszczyć. A i ona sama też napewno nie będzie zbyt powściągliwa.

Rozejrzał się po przedziale; oczy jego zdawały się mówić: Dzisiaj wieczorem mam randkę z królową, a co się stanie, nikogo to nie powinno obchodzić. Dopóki nie będę gotów... Tra-la-la.

Nucił melodję, wystukiwaną przez koła pociągu. Wargi jego szeptały jakieś słowa, ale czynił to bardzo cicho, bo jeszcze ludzie gotowi pomyśleć, że zwarjował. W tej chwili czuł się ogromnie szczęśliwy.

Wszystko było tak, jak być powinno. Tylko myśl o matce peszyła go nieco, ale starał się ją odrzucać. Potem ten Simson i odmowa pożyczki. Ale kto się o to martwi? Napewno jutro otrzyma odpowiedź na którąś

ze swych ofert. Będzie wojażerem, będzie jeździł tak-sówkami, mieszkał w pięknych hotelach i patrzył na wszystko zgóry. (Jakiś cichutki głos rzekł: Też umiejętność, samemu się okłamywać. On odparł cicho: Pozwól, niechaj choć przez dzisiejszy wieczór ta wiara we mnie pozostanie). Tak, nikt się nie może porównać z takim panem sprzedawcą. Ludzie go szanują, starają się pozyskać jego łaski. To się nazywa gra życiowa.

Stanie się człowiekiem potężnym. Najznakomitszy człowiek przyjdzie doń z prośbą, a on go każe wyrzucić. Stanie się najsilniejszym człowiekiem na kuli ziemskiej. Mniejsza o to, że dotychczas nie odniósł żadnego zwycięstwa. Będzie silniejszy i silniejszy, aż wreszcie przestanie zupełnie myśleć. Piers poczęła falować, wargi się rozchyliły. Odetchnął głęboko raz i drugi.

Stanie się szlachetny i dobry. Będzie dawał matce co tydzień dziesięć dolarów i oprócz tego będzie jej przynosić drobne upominki. Parę pończoch, pudełko pralinek, a raz na miesiąc wejdzie nawet do kwaciarni i kupi cały tuzin purpurowych róż. Wszyscy śmiać się będą, jak będzie szedł przez ulice z kwiatami, owiniętymi w białą bibułę. Ale jemu to nie przeszkadza. Dumnie wchodzi na schody, otwiera drzwi, woła: Mam, mam tutaj coś dla ciebie — podaje jej róże i wchodzi do swego pokoju.

Zacznie oszczędzać pieniądze. Co tydzień odłoży dwa do trzech dolarów, a przy końcu roku kupi akcję studolarową. Wreszcie stanie się akcjonariuszem Odbudowy. Zapisze się do klubu. W czterdziestym piątym roku życia będzie już właścicielem dwudziestu tysięcy dolarów i będzie sobie żył z procentu. Procent ten i suma ubezpieczenia zapewnią matce byt do śmierci.

Na żadną kobietę nie spojrzy, chociaż będą go

prosić: Niech się pan z nami zobaczy. On odpowie: Nie. Kobiety zapraszać go będą do swoich mieszkań, ale on zawsze będzie miał jedną odpowiedź: Nie, idę do domu. Nigdy nie spojrzy na żadną dziewczynę, nigdy nie wsunie ręki pod sukienkę, nie zerknie ukradkiem przez firankę, aby zobaczyć naprzeciw jakąś ubierającą się piękność. Będzie silny i stanowczy.

Musi dojść do tego. Przypomina sobie różne kpi-ny. Przypomina sobie, jak koledzy śmieją się z niego i chcą go zmusić do uległości. Kiedyś był szczególnie jeden taki. On był wówczas gońcem biurowym i o trzeciej popołudniu przyniósł do banku czek. Kil-kudziesięciu młodych ludzi czekało na dole na urzędników bankowych. Zabawiali się rozmową. Potem grali w orla i reszkę. Wciągnęli go do gry. Miał szczęście, bo prawie za każdym razem wygrywał. Między innymi był pewien młodzieniec, Charlie Opp, który grał z specjalnym systemem. Trzymał monetę w dłoni, a gdy ktoś zgadywał, przekręcał monetę nieznacznie i sam wygrywał. Jim zdenerwował się i rzekł: „Grasz nieuczciwie“. Charlie odparł: „Dowiedź mi tego“. Jim nie chciał rzucić monety, a Charlie zawołał: „Graj, sukinsynu, bo ci dam w pysk“. Inni młodzieńcy śmieli się i Jim musiał grać dalej. Charlie nie był specjalnie wysoki, ale miał szerokie bary i wszyscy utrzymywali, że jest najsilniejszym gońcem na całej Wall Street. Jim wołał nie próbować i dlatego grał dalej posłusznie. Potem gdy dorósł, wstydził się tego wspomnienia.

Z innym znów chłopcem chodził zazwyczaj na salę tańca w Brooklynie. Jim nikogo tam nie znał. Sta-wał zazwyczaj w kącie i patrzył. Nie chciał tańczyć ze złemi tancerkami, a wszystkie dobre tancerki miały na sali swoich znajomych i na niego nie zwracały najmniej-

szej uwagi. Z żadną nie zamienił ani jednego słowa. Wszystkie odwracały od niego głowy. Zamierzał już nawet wrócić do domu, ale postanowił choć jeden tańiec przetańczyć. W pewnej chwili poprosił jakąś małą dziewczynkę, która przez cały wieczór nie tańczyła ani razu. Dziewczynka była bardzo ładna. Uśmiechała się do niego słodko i korygowała każdy jego krok. Zafundował jej parówek i wody sodowej, tak ogromnie mu się podobała. Pragnął się z nią zaprzyjaźnić, pragnął jej sprawić przyjemność i wywrzeć na niej dobre wrażenie. Gawędził z nią swobodnie, jak jeszcze nigdy w życiu. Dziewczyna śmiała się, klaskała w dłonie, widocznie jej się podobał. Wieczór przepędził cudownie.

Tańczyli aż do chwili, gdy orkiestra zaczęła grać „Home Sweet home”, potem ją odprowadził do domu. W tej dzielnicy Brooklynu pusto było zupełnie, więc szli tuż przy sobie, a on otaczał ją ramieniem. Od czasu do czasu przystawali i całowali się gorąco. Była to najśłodsza dziewczynka, jaką kiedykolwiek spotkał w życiu. Prostu oszalał na jej punkcie. Wówczas miał dopiero dwadzieścia lat, a jednak pragnął ją poślubić. Nigdy jeszcze ta myśl nie powstała mu w głowie, nigdy nie czuł się tak dobrze, jak właśnie tego wieczoru. Wiał od niej jakiś upojny zapach i tak cudownie potrafiła całować. Szli wolno przed siebie, prawie nic nie mówiąc, a jednak rozumieli się doskonale.

I dopiero na werandzie jej domu to się stało. Było już późno, rodzice jej spali. Oboje usiedli na starej kanapce w cieniu i chociaż wszystko wydawało się zupełnie normalne, to jednak on był bardzo zdenerwowany. Z początku siedzieli zdaleka od siebie i przez długi czas nie wymówili ani słowa, ale zdawało się, że

każde z nich myśli o tem samym i ma te same pragnienia. Nagle ona położyła się na kanapce, a on począł jej twarz i szyję okrywać pocałunkami.

Szeptala: Nie, nie, a jednak ręce jej błdziły po jego ciele z pożądaniem. Nie była tym typem dziewcząt, ale w danej chwili była gotowa na wszystko. Zdenerwowanie Jima wzrastało. Całował ją namiętnie, dłonie jego błdziły po całym jej ciele, ale nie mógł. Zmuszwał się nawet chwilami, niestety, bez skutku. I takby do niczego nie doszło.

Mogłaby się nawet śmiać z niego, mogłaby powiedzieć: Ładny z ciebie mężczyzna. Dlaczego nie wrócisz do domu i nie zaczniesz się bawić sam z sobą? Napewno wówczas zrobiłoby mu się przykro, rzuciłby jakieś przekleństwo i odszedł. Ale ona leżała na kanapce, oddychając głęboko, wargi jej były gorące, a całe ciało drżało. Próbowala go całować, próbowała wszelkich pieszczot. Była taka słodka, on tak ją kochał, należała zupełnie do niego, ale nie mógł.

Oboje byli ogromnie zmęczeni. Jego bolały ramiona i szyja. Pot spływał mu z czoła. Wreszcie zaczęło świtać. On podniósł się, wziął kapelusz i odszedł bez słowa. Nigdy nie dowiedział się jej nazwiska, ani numeru telefonu.

Coś podobnego nigdy mu się nie zdarzyło, ani przedtem, ani potem. Rumienił się, gdy przychodziło mu na myśl to wspomnienie. Jedyne, czego się wstydził w życiu. Myśląc o tem, uczuwał dziwną przykrość i miał wrażenie, że wszyscy dokoła zdają sobie z tego sprawę. W takich chwilach czuł się bardzo nieszczęśliwy.

A jeżeli to się stanie znowu dzisiaj wieczorem — Boże, jeżeli to się stanie — Helena napewno powie, co

o tem myśli. Ale dzisiaj wieczorem to się stać nie może. Mogło się to stać kiedyś dawniej, kiedy był jeszcze bardzo niedoświadczony.

W każdym razie czuł się dziwnie nieswojo. Był niczem, nie wart był nawet centa. Właściwie nigdy nic mądrego nie zrobił i zawsze był niczem. Prosto można go było nazwać zerem.

Chwilę siedział bez ruchu, a potem rzekł do siebie: Och, cóż u diabła, i westchnął.

Po przeciwnej stronie za parkiem zamajaczył gmach hotelu Majestic, a bardziej na lewo wieża Ritza wznosiła się ponad wszystkimi dachami. Tu i tam wysokie budynki, okolone tarasami z kolorowego kamienia. Między blokami mostu kolei napowietrznej widać było park, wyróżniający się zielenią od ponurej szarości ulic. Na trzeciej Avenue, nad którą przejeżdżał właśnie pociąg, domy były przeważnie jaskrawo brązowe i brudne. Na jednym z okien stała doniczka z kwiatami i klatka z kanarkiem. Na parapecie drugiego okna leżała poduszka, a na niej nagie niemowlę z rączkami i nóżkami wzniesionymi ku górze. W innych znów oknach widać było przechylone kobiety, spoglądające na ulicę. Jakaś mała dziewczynka zaczęła machać rączką ku oknom przejeżdżającego pociągu. We wszystkich domach okna były otwarte, nie było w nich firanek, bo widocznie mieszkańcom nie sprawiało przykrości, że pasażerowie kolei napowietrznej mogą widzieć, co się dzieje wewnątrz pokoi. Niektóre mieszkania były zupełnie puste; umeblowanie składało się tylko z białego stołka, stołu i łóżka. W innych znów całe ściany zawieszono krzywo wiszącymi obrazami, na kominkach stały tanie figurki, pod ścianami zniszczone szafy i zdawało się, że do mieszkań tych całymi mie-

siącami nikt nie wchodzi. W innych znów były dzieci, które otaczały matkę, gotującą pożywienie. Tu leżał ktoś w łóżku, a przy nim na krześle stała niezliczona ilość małych buteleczek. W niektórych pokojach jacyś mężczyźni grali w karty, gdzieindziej znów młoda kobieta przebierała się przy podniesionych zasłonach. Pociąg mknął dalej, a ona wciąż stała w majtkach, naciągając przez głowę spódnice. Znowu dzieci, znowu mężczyźni bez marynarek, czytający przy oknie gazety.

Dalej, w górze Lexington Avenue, gdzie mieszkali już zamożniejsi ludzie i dalej jeszcze, w pobliżu Park Avenue, gdzie mieszkali zupełnie bogaci, widać było jeszcze więcej domów i więcej postaci, ukazujących się w otwartych oknach. Na Fifty-Ninth i na Fifth wybudowano dwa duże hotele, jeden biały, drugi ciemnożółty. Jeden z nich nazwano Plaza, lecz mimo wysokości swej, niknął on w porównaniu z innymi budynkami i z wieżą Ritza, wznoszącą się dumnie ku górze. Wielkie budynki hotelowe otoczone były ciszą, jakby wewnątrz nikt nie oddychał i nikt nie zwracał uwagi na turkot uliczny, który o tej porze wrzał ze wzmożoną siłą. Jakiś kupiec kolonialny wystawił na chodnik uliczny owoce i jarzyny. Tuż obok biegały dzieci, wszystkie okna stały otworem, że można było swobodnie przez nie zajrzeć; gdzieś na płaskich dachach domów suszyła się bielizna, a wszystko razem tonęło w głuchym łoskocie kół napowietrznej kolei.

Na Broadwayu zapłonęły pierwsze świetne reklamy, ludzie spieszyli do kin, zamykano sklepy, jakiś kupiec układał towar wewnątrz sklepu. Jakaś matka kołysała swe maleństwo do snu, tam dziewczyna pudrowała zaczerwieniony nosek, w restauracjach ludzie jedli

z pośpiechem kolację, na rogach ulic młode kwiaciarki zachwalały swój towar i nikt nie zwracał nawet uwagi na przejeżdżający pociąg. Tu pracownia kamiennych pomników, tam garaż i warsztat automobilowy, tu znów szyld: Wytwórnia kominów, tutaj automatyczne gaśnice.

Młoda murzynka wysiadła, wraz z nią wysiadł mały kolporter. Stara Żydówka siedziała na brzeżku ławki, spoglądając z niepokojem na ulice, które pociąg mijał. Mężczyzna w cylindrze i kobieta w wieczorowym stroju rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami. Na którymś przystanku wsiadło większe towarzystwo, złożone z chłopców i dziewcząt mniej więcej osiemnastoletnich. Wszyscy spieszyli na randki, wszyscy byli odświętnie ubrani, a twarze dziewcząt bardziej były usminkowane, niż we dnie. Wepchnęli się do przedziału, osiem czy dziesięć osób, poczęli zdobywać wolne miejsca i krzyczeć z jednego końca przedziału w drugi. Krzyczeli i śmieli się, bawili się doskonale. Rzucał jakiś odważniejsze słowo, rozglądali się dokoła, czy któryś z pasażerów nie dosłyszał. Ale nikt nie zwracał na nich uwagi i sami wkrótce ucichli.

Jim myślał o tem, że jeszcze przed kilku laty, był taki sam, gdy spieszył na randkę; był szczęśliwy jak tamci i czuł się doskonale w kółku najbliższych przyjaciół, nie zwracając uwagi na starsze otoczenie. Myślał teraz o tem, jak to pierwszy raz był pijany, jak pierwszy raz szedł na randkę z dziewczyną, jak pierwszy raz flirtował i jak po raz pierwszy zaproszony został na wieczorek po zdaniu ostatniego egzaminu. Dziewczeta w jego wieku nie zwracały nań tego wieczoru uwagi, tylko gospodyni miała starszą ułomną siostrę, ta zacią-

gnęła go do ciemnego pokoju i całowała go gorąco, podczas gdy on uczuwał dziwne zawstydyzenie.

Obejrzał się nagle i dostrzegł, że jedna z młodych dziewcząt uśmiechała się do niego, rozmawiając jednocześnie ze swym towarzyszem. Uśmiech ten zdawał się mówić, że jeżeli Jim wysiadzie na którymś z przystanków, to ona także gotowa wysiąść i dalej już mogą pójść razem. Jim uczuł nagle dziwny smutek, że jest jednak o wiele starszy od tej dziewczyny. Począł sam sobie tłumaczyć: nie rób tego. Jak nawet raz pójde z tobą, to i tak później od ciebie odejdę i będziesz żałowała tego spotkania. Zostań już przy swoim młodym przyjacielu. On ci krzywdy nie robi. Z nim możesz się bawić, ze mną nie.

Obserwował rozradowane towarzystwo i czuł się jakoś nieswojo. Jakżeby chciał być teraz w ich wieku, kiedy się wierzy jeszcze, że każdą spotkaną kobietę można pokochać. Był wtedy wesoły, tańczył, przytulał mocno każdą dziewczynę, bo starał się czuć każdą wypukłość jej ciała podczas tańca. Potem siadali w jakimś kącie i obejmowali się wzajemnie. Oczywiście, zawsze z początku mówiła nie, tak zresztą mówiły wszystkie dziewczęta, które znał w owym czasie. Jedna pozwoliła mu dotykać piersi przez sukienkę, inna znów pozwoliła nawet włożyć rękę głębiej, ale rzadko bardzo spotykał takie, które się nie broniły. To było wszystko. O niczem innem nie myślał. O tak, a tamto przeżycie z wieśniaczką, gdy był w harcerskim obozie i nie zdawał sobie sprawy z niczego, jak ona przewróciła go na trawę i zaczęła całować. Opowiedział potem o wszystkim kolegom, ale później przez myśl mu to nawet nie przeszło, aż do czasu, gdy stał się dorosłym i gdy miał już więcej takich doświadczeń.

Teraz musi o tem myśleć. Niektóre dziewczęta zamierzają wkrótce wyjść za mąż i teraz jest im wszystko jedno, co się stanie, byleby mogły znaleźć kandydata na męża. Jak tamta dziewczyna, którą Eugene unieszczęśliwił. Są takie, które chcą tylko flirtować, ale te są bardzo kosztowne. Zdarzają się jednak chłopcy, mogący sobie pozwolić na takie wydatki. On, niestety, do nich nie należy. Musi mieć taką, która bez pieniędzy zgodzi się z nim spotkać i spędzić wieczór. Djabliby wzięli te przyszcze na twarzy.

Właściwie w danej chwili na całym świecie nie miał nikogo. Nie mógł się poszczycić ani przyjacielem, ani przyjaciółką. Nie było takiej osoby, którąby specjalnie lubił, a onby tak chciał mieć kogoś, komu mógłby powiedzieć: Nie dbam o ciebie. Naprzykład tutaj, w tym przedziale nie było nikogo, komu by był potrzebny. Po jednej stronie bokser z wypielęgnowanymi rękami, potem stara Żydówka i jeszcze dwie czy trzy osoby, wyglądające tak, jakby zawsze sypiały w ubraniu. Po drugiej stronie młode towarzystwo i para w wieczorowych strojach.

Mimowoli począł naśladować ruchy mężczyzny w cylindrze. Przesunął kapelusz na tył głowy i wyciągnął nogi przed siebie, jakby chciał zadokumentować światu, że na wszystko gwizdze.

Ma przeszło sto dolarów w kieszeni. Nie jedzie własnem autem tylko dlatego, że jest dziś defekt w karburatorze. Zresztą odczuwa ogromną przyjemność, jadąc z Violetta koleją napowietrzną. Pójdą na operetkę, potem do nocnego klubu, wreszcie do mieszkania Violetty, jeżeli zaś to będzie niewygodne, on ją zabierze do swojej kawalerskiej garsoniery. Violetta rozbierze się do naga. Zatańczy przed nim jakiś bajeczny taniec. Obo-

je upiją się szampanem, albo zwykłą whisky. A potem pod jedwabną puchową koldrę. Jeżeli się coś stanie, po kilku tygodniach pójda do lekarza, on mu zapłaci pięćset dolarów, i wszystko znowu będzie w porządku.

Jimowi zrobiło się nagle dziwnie nieswojo. Pomyślał: Muszę mieć zawsze ochraniacze, nie wolno mi ryzykować, nawet w taksówce. Za chwilę jednak było mu już wszystko jedno, spojrzał na młodą dziewczynę na przeciw, uśmiechnął się i rzekł do siebie: Już dobrze, wysiadę na tym przystanku, a ty wysiądziesz na następnym, wsiadę do następnego pociągu i spotkamy się. Ale dziewczyna nie zwracała już nań uwagi, nie zwracała uwagi na nikogo, cały świat przestał dla niej istnieć, zresztą i o nim cały świat nic nie wiedział, nie zastanawiał się nawet, czy on żyje. Helena napewno nie przyjdzie. Daisy weźmie matkę do siebie, jak on wyjdzie z domu i straci posadę. Wojażerem nigdy nie będzie.

Słońce zachodziło powoli. New York stawał się czerwienią i czerwienią. Po drugiej stronie przedziału przez otwarte okna widać było szyby okien kamienic, rozpalone czerwienią zachodzącego słońca. W pociągu zapalono światła, ale nie dawały one zupełnej jasności i wszystko dalej tonęło w półmroku. Przez okno wpadła osa i poczęła lawirować tuż nad głową Jima. Jim był bardzo zmęczony i bardzo smutny. Czuł się teraz starszy od tych wszystkich w przedziale i od tych wszystkich, którzy szli ulicą, albo siedzieli przy oknach w swoich pokojach. Był całkiem złamany i jakiś odrażający. Nawet garnitur, który miał na sobie, wydawał mu się w tej chwili brudny i pognieciony. Coś było nie w porządku z krawatem, z koszulą i z bielizną, która przylegała do ciała. Coś było nie w porządku w powietrzu,

w przedziale i w nim samym. Niepotrzebnie się urodził, niepotrzebnie żył i wszystko wokół było niepotrzebne.

A jeżeli będzie oszczędzał pieniądze, to co z tego? Jeżeli będzie się chciał położyć na każdej poznanej dziewczynie, to co potem? Jaka właściwie różnica? — wołał w duchu, — co komu na tem zależy? Jeżeli nawet późną nocą będzie stał na Park Avenue, to ktoś gotów pomyśleć, że ma dużo pieniędzy. I tak nikt nie pomyśli. Jeżeli napadnie spokojnego przechodnia, ogłuszy go i odbierze wszystko, co tamten ma przy sobie, wówczas będzie mógł przez dłuższy czas nie pracować. Będzie mógł chodzić do kina i mieć kochankę. Będzie mógł mieć własne mieszkanie i przez cały dzień leżeć na miękkiej kanapie. W nocy wróci do domu, ażeby dać matce trochę pieniędzy. Wytlumaczy, że dostał podwyżkę.

Gdyby tak teraz podszedł do eleganckiej pary i podniósł dziewczynę w wieczorowym stroju sukienkę do góry — co czynił niejednokrotnie w myślach — coby się stało? Dziewczyna zaczęłaby krzyczeć. Mężczyzna spoliczkowałby go, ale niech spróbuje, twardy orzech będzie miał do zgryzienia. Na pierwszym przystanku mężczyzna w cylindrze zawoła policję. Stanie przed sądem. Sześć miesięcy. Ładna kara. Nie podałyby swego prawdziwego nazwiska, żeby matka nie wiedziała, co się stało. Daisy ją zabierze do siebie. A jego przecież kiedyś uwolnią.

Cudowny byłby widok krzyczącej dziewczyny z sukienką podniesioną w górę. Do śmierci miałyby o czem opowiadać. Mężczyzna w cylindrze stałby się bohaterem i dziewczyna patrzyłaby nań jeszcze czulej. Sędziemu byłoby wszystko jedno. Matka czułaby się u Daisy o wiele szczęśliwsza. A jemu... jemu także na niczem nie zależy.

No, mówił do siebie. Zrób to. Wstań i zbliż się do nich. To tylko jedna chwila. Policz do dziesięciu, a będzie już po wszystkim. Tam jest falbanka sukni. No, ty.

On tego nie robi, ale to niema nic do rzeczy. Dlaczego nie możesz się zdobyć? To wszystko jest nieważne, krzyczał w duchu. Chciał wmówić w siebie, że to właśnie nie jest ważne. Dlaczego, u diabła, nie masz odwagi?

Tłumaczył sobie: Czekał, aż będziesz pijany, wtedy wszystkim pokażesz. Wtedy będzie ci wszystko jedno, co się stanie. Będziesz się włóczył po New Yorku, policzkował mężczyzn, przewracał kobiety. Wtedy pokażesz policjantom. Wtedy pokażesz wszystkim. Niech diabli porwą.

Był tak zmęczony, że nie mógł się zdobyć na żaden ruch. Nogi mu ciążyły, oczy bolały, a w głowie uczuwał dziwny szum i dotkliwy ból w boku. Prostu nie mógłby podnieść nogi, gdyby musiał wejść do lokalu. „Hallo, Paddy“. „Hallo, Jim, co słychać? Czego się pan napije?“ „Proszę mi podać kieliszek szkockiej, Paddy, ale podwójny i kufel piwa“. Paddy wyciera kufel, potem wyciera szklaneczkę, podnosi butelkę za bufetem, stawia wszystko na stole. Jim sięga po butelkę, nalewa pełną szklanę, przelewa zawartość do kufła i powtarza raz jeszcze: „Z piwem, Paddy“. Podnosi szklanę do ust i mówi: „Na zdrowie, Paddy“. Alkohol wolno przelewa się przez przełyk, ma smak coraz lepszy, zaczyna palić, robi się dziwnie błogo, w duszy rodzi się uczucie zadowolenia. Dotkliwy ból w boku ustąpił, oczy otwierają się szeroko, w głowie lekko i ani śladu szumu. Wychodzi z lokalu, wołając: „Ty sukinsynu...“

(Pomyślicie pewno, że jestem pijany, prawda? Pomyślicie, że nieprzytomny jestem? Pomyślicie, że całe szczęście widzę w tem, że wypiję? Poprostu człowiek, który bez alkoholu żyć nie może?).

Milczeć. On dzisiaj wieczorem ma się spotkać z Heleną. Prawie dwa miesiące prosił ją o to spotkanie. Będzie na niego czekać na Times Square. Uśmiechnie się, weźmie go pod ramię i pójdą do kina. Usiądzie przy niej bardzo blisko, a może nawet opasze ją ramieniem, żeby ją czuć tuż przy sobie. Potem pójdą do jakiegoś lokalu i będą tańczyć. Nie będą pić za dużo, tylko jedną, najwyżej dwie szklanki. Później do taksówki i do domu. Och, w taksówce nic się ważnego nie stanie. Poprostu będą tylko jechać. Na dole w sieni powie jej dobranoc. Pocałuje ją tylko wtedy, jeżeli ona pierwsza to uczyni. Potem pójdzie do domu, położy się do łóżka, a jutro rano znowu do biura.

Będzie pracował bardzo pilnie. Nie będzie dawał żadnych przyrzeczeń, których nie mógłby dotrzymać. Spróbuje oszczędzać. Jeżeli A. C. Wyllie odpowie, że jest posada, nie przyjmie jej, a zostanie u Simsona. Będzie pracował bardzo, bardzo pilnie. Znajdzie sobie jakąś stateczną dziewczynę i z nią tylko będzie się spotykał. Ona go nauczy oszczędności. Pobiorą się i matkę wezmą do siebie. Napewno woli z nim mieszkać, niż z Daisy. Kupią sobie małe auto i będą mieli dzieci, dużo dzieci.

Ale jechać. Jechać dalej i dalej, całkiem daleko, tam, skąd się nigdy nie wraca. Nie troszczyć się o to, co się teraz stanie, tylko poprostu jechać przed siebie. Może nad morze, a może gdzieindziej...

Posada wojażera byłaby najlepsza. Roboty też niewiele. Zdawał sobie dokładnie sprawę, że to mógłby

robić, gdyby się zmusił. Wystarczy zdobyć się na odwagę i tę pewną posadę, którą ma obecnie, rzucić i powiedzieć sobie: Będę wojażerem, niech djabli wezmą wszystko inne. Potem pójść do matki i wytłumaczyć: Prawdopodobnie przez pewien czas nie będę zarabiał, mam coś ważniejszego na widoku. Pragnę, żebyś mi przez ten czas pomagała. Można też porozmawiać poważnie z Daisy. Ona ma pieniądze i nie jest złą dziewczyną. Powiedzieć jej: Chcę się uwolnić od tego, co robię teraz. Musisz mi pomóc. Prosta nadarzająca się okazja. Pożyczysz mi pieniędzy, a ja ci potem zwrócę.

Ale ona tego nie robi, nie uwierzy mu. Powie napewno: Tak, a jak tylko spotkasz jakąś dziewczynę, która ci się spodoba, zaraz wydasz wszystko, co będziesz miał w kieszeni. Weźmiesz taksówkę i zafundujesz jej elegancki obiad. A potem nawet może jej co kupisz. Nie dlatego, że ją będziesz lubił, tylko dlatego, że będziesz miał pieniądze i będą cię one palić w kieszeni. Już dotychczas zarobiłeś dużo, a nie zaoszczędziłeś ani centa.

Najgorsza to, że Daisy miała rację. Ani centa nie mógł utrzymać. Zawsze powtarzał sobie: Na przyszły raz, jak dostanę pieniądze, oddam wszystko matce, żeby schowała. Wezmę tylko dolara na śniadania i papierosy. Oczywiście obietnicy nie dotrzymał. Mam teraz trzydzieści dolarów, mógłbym zacząć oszczędzać, ale przecież się nigdy na to nie zdobędę. Zawsze wydam na to, czy tamto, chociaż mówię sobie: Nie powinienem nic kupować, bo przecież mam oszczędzać. Jednak kupuję. Co tam po pieniądzach. Jakaś siła dziwna pcha go do wydawania. A potem znowu plahta, znowu narzekania i znowu tyrady.

Wszyscy oszczędzają, czemuż on nie może? Nikt

nie ma trosk, dlaczego więc on ciągle się martwi? Dlaczego czuje się winnym i dlaczego myśli ciągle: Gdybyście wiedzieli, co się w mojej duszy dzieje, tobyście dopiero przekonali się, jaki ze mnie łotr. Dlaczego miał zawsze takie dziwne uczucie, jakby się nigdy nie mył, jakby w duszy miał samo zło, że musiał używać całej swej siły, żeby to ukryć, bo inaczej oszalałby chyba?

Właściwie dzisiaj wieczorem nie powinien był wychodzić. Nie mógł oszczędzać. Żadna kobieta nie była bezpieczna w obliczu jego brudnych myśli. Spełniał pracę, której nienawidził. Daisy nie traktowała go poważnie. Do końca życia mógł się łudzić nadzieją, że się coś stanie. Jedyna osoba, która go kocha, to matka, ale ona nic o nim nie wie. Wierzy w jego dobroć, że on ją kocha, a co będzie, jak Daisy wyjdzie zamaż i matka będzie musiała polegać tylko na nim?

Zmartwienia gromadziły się coraz bardziej. Był teraz przekonany, że gdy do tego dojdzie, napewno o matce wcale nie będzie myślał. Komorne trzeba zapłacić, matce coś kupić, ale gdy będzie wracał z pieniędzy do domu, napewno spotka kogoś, albo coś takiego się stanie i pieniądze się rozejdą, a jemu matka nawet na myśl nie przyjdzie.

Pragnął teraz zadawać sobie ból tą jedną myślą, że nie będzie wydawał pieniędzy. Pragnął wypalić w swym umyśle to jedno zdanie: Będę dbał o matkę. Przymknął oczy i począł powtarzać to zdanie po tysiąc razy.

Gdy pociąg zatrzymał się na przystanku, był przekonany, że to silne postanowienie i tak się na nic nie zda. Najlepiej byłoby wcale dzisiaj nie wychodzić, albo wrócić natychmiast do domu. Rzekł do siebie: Zejdę na dół po tych schodach na ulicę, obejdę dokoła dwo-

rzec, a potem wrócę i pojadę do domu, ażeby zacząć żyć na nowo. I z postanowieniem natychmiastowego powrotu, począł schodzić wolno po schodach, a bunt jakiś nieznany rodził się w jego duszy. Znalazł się na ulicy, przystanął i rzekł: Muszę wracać, lecz zaraz odwrócił się na pięcie i począł iść przed siebie w stronę Broadwayu.

IV

NA ULICY.

Mały karzeł w sklepie z sodową wodą nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Jim stał przy ladzie w pobliżu okna i patrzył mu prosto w twarz, zdecydowany nie wymówić ani słowa, tylko zmusić tamtego do odzwania się. Karzeł nie miał ochoty. Stał w kącie, nieco w cieniu i wcale na niego nie patrzył. Jim rzekł do siebie:

Spojrzysz na mnie, jak ci dam w pysk, żebyś mnie zauważył. Karzeł ciągle stał na uboczu. Wreszcie Jim zawołał głośno:

„Ej, wy“.

Jakiś chłopak, siedzący na wysokim stołku i pijący sodową wodę, odwrócił się nagle. Grek, stojący za bufetem z pralinkami, podniósł głowę i zapytał:

„Czego pan chce?“

Jim odpowiedział:

„Chcę, żeby mi usłużono“.

Grek powiedział parę słów po grecku i karzeł podszedł do kontuaru.

„Proszę mi podać lemoniadę“, rzekł Jim.

Karzeł chciał go jeszcze raz zapytać, co sobie życzy,

ale Jim spojrzał nań wymownie, więc tamten wyciągnął z pod kontuaru szklankę, nalał sodowej wody, a potem kilka kropel syropu i nie oglądając się, postawił szklankę na kontuarze. „Nie dostanę podstawki?” zapytał Jim. Wyjął z kieszeni monetę pięciocentową i rzucił ją na kontuar, tak, że moneta stoczyła się na ziemię. Wypił lemoniadę i wyszedł. Czuł się znowu dziwnie nieswojo.

Cel, do którego zmierzał, zdawał się z każdą chwilą oddalać od niego. Tuż przed nim wznosił się wiadukt, a opodal kolej napowietrzna na Sixth Avenue; bardziej na prawo był Times Square.

Zaczął biec przed siebie. Niech sobie pomyślą, że śpieszy na pociąg. Po chwili jednak zwolnił kroku. Powtarzał sobie w myśli: Jak nie będę biegł, to się coś stanie...

Na Coffee Pot była za pięć ósma, w sklepie fryzjerskim — po ósmej. Na wystawie bazaru rybnego leżała wielka bryła lodu, na niej zamrożone ryby, po bokach ułożone były rozmaite jarzyny: buraki, ogórki, marchewka, a wszystko to przybrano pomarańczami i winogronami. Po drugiej stronie na małym kawałku lodu spoczywały raki i homary.

Homary poruszały się jeszcze, a tłum ludzi, stojący przed wystawą, przyglądał im się z uśmiechem. Raki zdawały się walczyć z sobą, ale, niestety, już nie mogły. Powinien ktoś rzucić kamieniem w szybę, myślał Jim. Łotry zatracone...

W narożnym sklepie, dzięki wczesnej wiosnie, urządzono specjalną wiosenną wystawę. Właściciel przystroił ją królikami i kurczętami. Wszyscy z sąsiedztwa obserwowali wystawę z zaciekawieniem. Lecz promienie słoneczne grzały mocno, a w sklepie nie było nad wysta-

wą markizy, więc kurczęta powoli poczęły sinieć i oblaźić z pierza. Wyglądało to tak strasznie, jakby ułożono w wystawie chore zwierzęta, a jednak właściciel chciał tylko sprawić przyjemność przechodniom. Jakiś mężczyzna, nie mogąc znieść tego widoku, uderzył pięścią w szybę. Przywołano policję. Dzieci z sąsiedztwa otoczyły policjanta, który miał odprowadzić przechodnia do komisariatu. Sprawca zajścia został odesłany na obserwację do Bellevue i okazało się, że jest niespełna rozumu.

Tak, pomyślał Jim. Napewno obecnie przebywa w Zakładzie dla obłąkanych w Matteawan. Należałoby właściciela kawiarni powiesić i całe miasto wysadzić w powietrze.

Ale — przyszło mu na myśl w tej chwili — jak nie będę trzymał języka za zębami, gotowi i mnie odesłać do Bellevue.

Przez chwilę szedł znowu spokojnie przed siebie, aż wreszcie wywnioskował, że zbyt tłoczno było na ulicznym chodniku. Gdyby ktoś przyjrzał mu się teraz uważnie, wyniknęłaby napewno sprzeczka.

Patrzył każdemu prosto w twarz, przygotowany na wszystko. W pewnej chwili ujrzał jakąś kobietę i począł przyglądać się jej nogom i zastanawiać, czy miała ładne piersi. Potem nie spuszczał oka z młodej twarzyczki przechodzącej dziewczyny, jakby tem spojrzeniem pragnął jej dać poznać, że mu się podoba. Gdy przeszła już, obejrzał się jeszcze, aby zobaczyć coś więcej, ale zaraz pomyślał, że nie warto.

Myśli kłębiły się w jego głowie, lecz za wszelką cenę chciał się od nich uwolnić. Mimowoli oddzielne słowa układały się w całe zdania. Po co idziesz dalej? Przecież i tak nic z tego nie będzie. Złe jest z tobą.

Wiesz dobrze, że powinieneś wrócić do domu. Jedyną rzeczą, którą mógł uczynić w tej chwili, było: przestać myśleć. Nie znajdował żadnych argumentów przeciwko samemu sobie. Czuł, że jest w błędzie. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, a jednak szedł ciągle dalej.

Jakiś jegomość, wyglądający na detektywa, z cygarem w ustach. Starsza pani z niezliczoną ilością paczek. Młoda para żydowska, dziewczyna była naprawdę ładna (Żydówki są wogóle ładne, ale on dotychczas żadnej jeszcze nie znał). Znowu jakaś para, oboje brzydzy jak lichy, ramię przy ramieniu, zakochani. Mały gazeciarz, trzy wyzywająco ubrane dziewczyny, idące wolnym krokiem i przystające przed każdą wystawą, aby zwabiać mężczyzn. Jakaś dziewczyna samotna, o pięknych nogach, widocznych aż po kolana (proszę, niech pani na mnie spojrzysz). Otyły Włoch, ze złotą dewizką na brzuchu. Przed sklepem z cygarami stoją trzech młodzieńcy, kołyszący się w biodrach. A czy on ma przy sobie papierosy? Tak. Nareszcie Lexington Avenue.

Przejdźcie przez jezdnię nie było wolne. Wyjął z kieszeni papierosa, zapalił i nie czekając na znak policjanta, regulującego ruch, przeszedł na drugą stronę ulicy. Policjant rozmawiał z jakimś mężczyzną, prawdopodobnie detektywem.

Hotel Commodore. Z obszernego hallu, przystrojonego zielonemi palmami i miękkimi aksamitnymi kanapkami, wyprowadzał portjer jakieś towarzystwo i pomagał wsiadać do taksówki. Jedna z kobiet w czerwonym aksamitnym berecie paliła papierosa, a gdy portjer zamknął drzwiczki taksówki i auto ruszyło z miejsca, przez okno ukazała się jeszcze jej biała dłoń, strzepu-

jąca popiół na jezdnię. Portjer nie dostał napiwka i Jim uśmiechnął się doń porozumiewawczo, ale tamten nie zwrócił na niego uwagi. Przed Grand Central stał cały sznur dorożek. Tuż obok kiosk z gazetami i kilku siedzących na ławce posłańców. Z jakiegoś auta wyjmowano bagaże. Małeńka dziewczynka, przytulona do swej matki, spoglądała na Jima z zaciekawieniem. Z dworca kolei podziemnej wysypał się tłum pasażerów i zatałmował na chwilę ruch uliczny. Jakiś mężczyzna biegł szybko, śpiesząc na pociąg, po drodze chwycił z kiosku gazetę, rzucając sprzedawcy trzy miedziane monety. Na pierwszej stronie dziennika widniał nagłówek: SACCO i VANZETTI MUSZĄ UMRZEĆ. Jim pomyślał: Dla mnie—jak im się podoba. A teraz pod wiaduktem. Z tunelu wysuwały się pokolei lśniące wagony tramwajowe. Słońce zniknęło powoli na zachodzie. Jakiś chłopak podszedł do Jima i rzekł przyciszonym głosem, aby policjant nie zauważył: „Niech mi pan da dwadzieścia pięć centów na filiżankę kawy“. Z początku Jim nie miał zamiaru, ale potem wręczył chłopcu monetę. Chłopak nie podziękował nawet, tylko oddalił się szybko. Jim z ochotą pobiegłby za nim i odebrałby owe dwadzieścia pięć centów. Na rogu ulicy leżały stosy gazet i wszystkie obwieszczały: SACCO I VANZETTI MUSZĄ UMRZEĆ. Vanderbilt Avenue.

Tutaj było jeszcze tłoczniej. Jim przeszedł na drugą stronę chodnika i w pewnej chwili uczuł silne szturchnięcie w plecy. Pod wpływem bólu utracił na chwilę równowagę. Odwrócił się szybko z zaciśniętą pięścią. Tuż obok wysoki jegomość. Był o wiele wyższy od Jima. Rzekł tylko: „niech pan uważa“, uśmiechnął się djabełsko i poszedł dalej.

Jim stał bez ruchu i obserwował znikającego w tłumie

mie jegomościa. Próbował zebrać myśli, ale mu się to dziwnie nie udawało. Wszystko dookoła niego przestało nagle istnieć: ani ulic, ani budynków, ani dziewczyny, z którą miał się spotkać. Plecy go bolały, a w nogach czuł dziwne drżenie. Nagle zauważył, że ciągle jeszcze trzyma zaciśniętą pięć, podniesioną w górę.

Nienawidził tego idjoty. Widział jeszcze wśród tłumu jego szerokie bary i zapragnął nagle dogonić go, rzucić się nań, powalić na ziemię i podeptać. Właściwie sam nie wiedział, czego chciał, ale gdy ów jegomość z każdą chwilą bardziej się oddalał, stało się coś jeszcze strasznego. Jim doszedł do wniosku, że nie będzie mógł pójść dalej, dopóki to bydlę nie zostanie powalone na ziemię. Wszystko, co Jim posiadał, o czym myślał, odeszło nagle razem z tym jegomościem, który zniknął właśnie za zakrętem Czterdziestej czwartej ulicy. Nie zostało nic, oprócz podniesionej pięści, a pięść ta wskazywała, że Jim mógłby go uderzyć, tylko niewiedomo dlaczego tego nie zrobił. Jegomość zawołał: Niech pan uważa, a przecież to on go szturchnął. Potem ze spokojem poszedł sobie, a teraz napewno jeszcze żyje i uśmiecha się djabelsko.

Jim począł iść dalej, nie wiedząc zupełnie, dokąd właściwie podąża. Szedł tuż pod murami kamienic, jak człowiek, który się lęka, że go ktoś potrąci. Ulica była szersza, domy wyższe, a wszyscy przechodnie o wiele silniejsi od Jima. Ot, poprostu znalazł się w jakimś wielkiem mieście, zbudowanym dla ludzi, którzy byli od niego o wiele wyżsi i silniejsi, i którzy teraz szli tam i napowrót, nie lękając się niczego. Nie śmiał nikomu spojrzeć w oczy. New York był miastem bardzo niebezpiecznym.auta przejeżdżały co chwila, ludzie się spieszyli, tłumy wysypywały się na każdym przystanku

kolei podziemnej, tramwaje dzwoniły, a zdaleka od strony rzeki dochodził rozdzierający głos syreny. W duszy Jima zrodził się paniczny lęk.

Ból w plecach stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Właściwie to nie był wcale ból, a raczej dziwne palenie, które prawdopodobnie zwęgli go całego na popiół. Czuł się tak, jakby jakieś małe niegrzeczne dziecko plunęło mu w twarz. Szedł ciągle jak we śnie, nie mogąc się jeszcze opanować. Starał się o tem wszystkim nie myśleć, a na duszy było mu coraz gorzej. Powoli opanowywała go złość i dalej iść już nie mógł. Przystanął.

Był sam jeden w New Yorku, bez domu, bez przyjaciół i bez pieniędzy. Głodny był, od kilku dni nic nie jadł i chętnie napiłby się teraz wody. Może za chwilę jakiś policjant zatrzyma go za włóczenie się po mieście. Nie przypominał sobie, kiedy spał po raz ostatni w prawdziwym, wygodnym łóżku. Szukał pracy, lecz nie mógł znaleźć. Któż da pracę włóczędze? Chciał podejść do pierwszego lepszego przechodnia i powiedzieć: Niech mi pan da dwadzieścia pięć centów na filiżankę kawy. Uczyni to bardzo szybko. Zauważył jednego o dobrotliwej twarzy i podszedł blisko ku niemu. Przechodzień zdziwił się, co Jim może chcieć od niego, potem spojrzał nań i szybko się oddalił.

Jim kroczył dalej, bardzo wolno, zataczając się z jednej strony chodnika na drugą. Palenie w plecach minęło prawie zupełnie, ale całe ciało było dziwnie osłabione, zmęczone i obojętne. Głowa go trochę bolała. Nogi dotykały niepewnie chodnika. W pewnej chwili usłyszał jakiś głos za sobą: „Spójrz, on jest pijany”.

Zbudził go głos trąbki samochodowej. Omal nie został przejechany, ale ostatkiem sił odskoczył na chod-

nik. Szofer skręcił w bok i pojechał dalej. Stojący w pobliżu policjant zapytał spokojnie: „Jak pan, u diabła, idzie?” Jim nie odpowiedział.

Przeszedł na drugą stronę Madison Avenue. Zegar wskazywał kwadrans po ósmej. Pod zegarem stała młoda dziewczyna, widocznie czekając na kogoś. Jim zauważył, że miała bardzo zgrabną figurkę, ale nie oglądając się, poszedł dalej.

Teraz czuł się już trochę lepiej. Coś go jeszcze bolało, jednak nie zwracał na to uwagi. Szybko o bólu zapomniał. Od czasu do czasu przypominał sobie o owym silnym szturchnięciu, a wtedy rumienił się i wargi mu drżały, choć w rzeczywistości było mu wszystko jedno. Spoglądał znowu w twarze przechodniów, szczególnie w twarze młodych dziewcząt. Całe nieszczęście, że wszystkie przeważnie szły w towarzystwie, albo biegły z pośpiechem i nie zwracały na niego najmniejszej uwagi. (Przecież za chwilę spotkasz się ze swoją dziewczyną. Nie możesz się już doczekać?). Oczywiście, że mogę, odpowiadał samemu sobie. Ja tylko tak żartem. (Do diabła z takimi żartami. Nech tylko któraś na ciebie spojrzy, zaraz pójdziesz za nią). Oczywiście, że pójde, pomyślał Jim. Dlaczego nie miałbym tego uczynić? (Ale...) Och, Jezus, pomyślał Jim.

Teraz już prawie Piąta Avenue. Za kilka minut będzie na miejscu. Liczył krok. Liczył miarowo: raz, dwa, trzy, cztery, aż do czterdziestu, nagle przystanął przed wystawą jakiejś restauracji, aby się przyjrzeć młodej eleganckiej dziewczynie. Nic nadzwyczajnego. Już blisko Piąta Avenue.

Tutaj był sklep z pralinkami. Tam można kupić znaczki karty za dolara. Tu znów sklep z bielizną

damską, bardzo cienką i bardzo przezroczystą. Z tamtej strony mała trafik, a tu nareszcie Piąta Avenue.

Było ciepło, wilgotnie i cicho. Kilka dorożek przemknęło przez jezdnię. Latarnie uliczne paliły się długim szeregiem i ostatnie z nich ginęły gdzieś woddali. Ludzie szli wolno. Mężczyzna w białych spodniach, z dużą gardenją w butonierce, uderzał głośno grubą laską w chodnik. Czerwone sygnały mieniły się kolorowymi refleksami. Tuż obok chodnika przystanął autobus. Konduktor zawołał: „Na górze miejsca zajęte, na dole trzy miejsca wolne”. Kilka kobiet wsiadło do wnętrza, a jakaś młoda para została na przystanku. Dziewczyna, wsparta na ramieniu młodzieńca, patrzyła nań czule i uśmiechała się. Jim usiłował przyciągnąć jej wzrok, ale ona go wcale nie widziała.

Chodnikiem przechodziła staruszka w łachmanach, ze zmiętym kwiatem u boku i brudnym piórem u kapełusza. W rękę trzymała sznurową torebkę i mówiła sama do siebie: „Nie powinniście mi wierzyć”. Od czasu do czasu potrzasała nerwowo głową. Dostrzegła na chodniku pudełko od papierosów, podniosła je, otworzyła. Pudełko było puste. Włożyła je do torebki.

Gołębie sfrunęły na ziemię z dachu biblioteki i po chwili uniosły się znowu w powietrze. Dwa z nich przysiadły na drzewcu flagi. Z chodnika unosił się tuman kurzu.auta mknęły cicho przez ulice, a przechodnie szli przed siebie w milczeniu.

Tam, niedaleko zaczynała się Szósta Avenue. Jeszcze trzy minuty drogi, a potem trzy minuty do umówionego miejsca. Zaczeka chwilę, później wyjdzie z tłumu i będzie się śmiał głośno. Próbował sobie wyobrazić, jak Helena będzie dzisiaj wyglądać. Zawsze widywał ją w różowej bluzce i w białym fartuszk. Dzisiaj

będzie w kapeluszu i płaszczu. Będzie miała bluzkę, głęboko wyciętą u szyi. Byle nie za dużo guzików. Początek zawsze bywa trudny. Później, gdy wargi jej poczerwieniają, a oczy błyszczeć zaczną, będzie mu już wszystko jedno. Najgorsze są te przygotowania.

Wyobrażał ją sobie w aucie, otoczoną jego ramieniem i całującą go gorąco. Ręka jego spoczywa na jedwabiu jej bluzki. Potem odchyła dekolta, całuje ją w szyję i zaczyna bładzić dłonią po jej ciele, wyczuwając delikatny atlas jej skóry. Ona porusza się niespokojnie. Mówi: Nie! krótkie, słabe Nie. Ale wargi jej są gorące i język zanurza się wgłąb jego ust.

Na złocistej fasadzie budynku „Radjatora“ zapaliły się kolorowe lampki i złoto poczęło błyszczeć w ich świetle. Tysiące oświetlonych okien spojrzało w niebo. Szare mury stały się prawie niewidoczne. Przeciwnie ściana gmachu biblioteki połyskuje fascynująco w otoczeniu zieleni parku. Na prawo budują wysoki dom i stopy cegieł leżą jeszcze na chodniku. Na ceglach siedzi jakiś mężczyzna o jednej nodze, sprzedaje ołówki. Kobiety wrzucają mu monety do kapelusza.

Może jednak „Paradise“ byłby lepszy. Znał tam wszystkich i wszyscy go znali. Mógłby zostawić Helenę pod opieką innych tancerzy. Przecież właściwie dobrze nie umiała tańczyć. Ale w „Paradise“ nie miało się takiej swobody. Oliver na swobodnych gości patrzył niechętnie. Pozatem ani kropli alkoholu. Bez alkoholu trudno coś zacząć.

W „Paradise“ była jednak orkiestra, a Paddy miał tylko elektryczny fortepian. Pozatem u Paddy'ego pijani robili straszny bałagan, a jej się to mogło nie podobać. Zazwyczaj jednak tak bywało, że po kilku wypitych szklankach ludzie zaznajamiali się z sobą, zesu-

wano razem stoliki i następne kolejki były już wspólne. Potem wszystkich ogarniało uczucie nieziemskiej szczęśliwości i nikt nie zwracał uwagi na zachowanie innego. Wszyscy tańczyli, dziewczęta cichotały po kątach i pozwalały na wszystko. Galerja klaskała w dłonie a dziewczęta coraz bardziej traciły głowy. Gdyby i dziś wieczór tak było, wszystko poszłoby jak po maśle.

W „Paradise“ goście byli sztywni. Wszyscy musieli tańczyć. Oliver wiedział dobrze, że gdy tylko wyjdzie na chwilę, pary zaczną się ścisnąć i całować po kątach. To mu bynajmniej nie przeszkadzało. Ale „Paradise“ to nie był żaden Speakeasy i policjanci kręcili się tam ciągle, co zresztą przynosiło ogromny zaszczyt Oliverowi. Dlatego też goście musieli zachowywać się przyzwoicie. Z dwojga złego lepszy będzie Paddy.

Jim szedł teraz pod mostem kolei napowietrznej na Szóstej Avenue. Z zainteresowaniem spoglądał na taksówki, zamierzające w stronę teatrów. W autach prywatnych ludzie siedzieli zdaleka od siebie, z wzrokiem utkwionym w przestrzeni. W taksówkach młode pary tuliły się pieszczotliwie, a ramiona mężczyzn otaczały drżące kobiety. W jednej taksówce jakaś para całowała się, nie bacząc na ruch uliczny. Taksówka ta zatrzymała się tuż obok Jima na znak, dany przez policjanta, po chwili pojechała dalej, a tamci dwoje ciągle się całowali, nie zwracając na nic uwagi.

Po drugiej stronie ulicy wszystko było oświetlone, chociaż światło latarni mieszało się jeszcze z światłem dziennym, które niezupełnie jeszcze zniknęło. W jakimś zakładzie fotograficznym paliła się niebieska lampa, w świetle której wszystkie twarze wydawały się bardziej interesujące. Tuż obok w dużym sklepie czerwone światło. Nieco dalej w pobliżu Broadwayu duże te-

atralne reklamy zapraszały do wnętrza. Tylko na ósmej Avenue światła pogasły i panowała zupełna ciemność.

Coraz więcej ludzi, przyglądających się wystawom sklepowym, wychodzących z restauracji, idących bardzo wolno, albo spieszących się na jakieś spotkanie, czy do teatru. Trąbki taksówek, dzwonki tramwajów. Tuż znów policjant na pięknym lśniącem koniu. Rozdzielający głos małego kolportera: SZCZEGÓŁOWE WIADOMOŚCI O ŚMIERCI SACCO I VANZETTIEGO. Od strony kolei podziemnej głośny sygnał dzwonka. Tuż na chodniku głośny trzask otwieranej żaluzji i na progu sklepu jakiś mężczyzna, niosący na plecach ciężką skrzynię. Całe mnóstwo ludzi, zdążających w stronę Broadwayu i innych, kierujących się do wąskich poprzecznych uliczek. Jakiś mężczyzna przystanął nagle, widząc, że w pośpiechu zmylił kierunek. Gruba kobiecina stoi w ciemnej bramie i sprzedaje stare pisma ilustrowane.

Cisza prawie zupełna, chociaż przechodnie rozmawiają głośnie. Niektóre twarze umiechnięte w oczekiwaniu tego, co ma nadejść. Wszyscy przepychają się przez tłum, patrząc prosto przed siebie. Niektóre pary zakochane, inne znów—mające siebie dosyć. Gromadka młodzieńców, nawołujących się z jednego chodnika na drugi. Młode, uśmiechnięte dziewczęta. Dużo światła, szumu i ludzi.

Nagle oczami wyobraźni Jim ujrzał twarz Heleny i był w tej chwili przekonany, że jest już tam na Times Square i czeka nań niecierpliwie. Przyspieszył kroku i począł biec w stronę Broadwayu. Popychał przechodniów i jego popychano, ale nie zdawał sobie z tego sprawy. Pragnął jak najprędzej znaleźć się na miejscu. Tuż wysoki gmach „Timesa”. Chciałby przedostać się przez tłum i wbiec na umówione miejsce. „Co u dja-

bla?” wołają przechodnie. „Hej!” patrzą nań wrogo. Jim biegnie dalej.

Czy ona czeka? Zapytuje sam siebie. Napewno już jest na miejscu, bo przecież już pół do dziewiątej. Przyszła punktualnie i dosyć już ma tego czekania. Pośpiesz się, bo gotowa jeszcze odejść.

Na chodniku tak było tłoczno, że nie mógł biec dalej. Wyciągnął zaciśnięte pięści i począł roztrącać ludzi na lewo i na prawo. Raz pięść uderzyła w coś miękkiego. To była młoda pulchna dziewczyna. Oburzyła się. Chciała coś powiedzieć. Ale on jednym skokiem znalazł się już za nią. Był teraz bardzo silny. Niech go ktoś potrąci, on mu pokaże. Bez zastanowienia uderzy w pysk. Mniejsza o to, pomyślał, byle prędko.

Ciężka to była przeprawa. Nie tak łatwo było tłum rozepchnąć. Użył do tego obydwu rąk. Szturczał ludzi i popychał ich na wszystkie strony. Niektórych nawet podnosił w górę, szczególnie kobiety. Mówił do siebie: Za chwilę dostanę w pysk. Zaśmiał się głośnie: Niech spróbują.

Jeszcze więcej światła, dookoła światło. Ulica sprawiała teraz wrażenie oświetlonej reflektorami sceny. Pod murem gromadka ludzi otoczyła jakiegoś sprzedawcę. Ochryply głos jego mieszał się z szumem ulicznym. Wołał: „Najlepsze... jedyne...” A potem: „Panowie i panie...” Jim chciał się na chwilę zatrzymać, ale znowu opamięnało go zniecierpliwienie. Spiesz się, powtarzał. Ona czeka.

Broadway tonął w powodzi światła. Z jakiegoś sklepu radiowego płynęła upojna melodia. Pobiegł dalej. W bramie gmachu „Timesa” leżały stosy nowego wydania. Z pierwszej kolumny czerniał duży napis: SACCO VANZETTI. W wystawie Ligetta ustawione

były pudełka i pralinkami. Drzwi były otwarte. Wbiegł do środka.

Właściwie było już pół do dziewiątej. Począł błędzić spojrzeniem po wszystkich twarzach zebranych przy bufecie. Potem poszybował wzrokiem do dalszych zakamarków sali. Może stała tam przy stoliku z gazetami. Powiedziała przecież: „Na prawo, przy bufecie z sodową wodą”. Nie było jej jeszcze.

Widocznie nie przyjdzie. Oszukała go. Chce, żeby czekał na nią. Może jest teraz z jakimś facetem i mówi: „Pewien jegomość już od tak dawna chce się ze mną spotkać, że wreszcie umówiłam się z nim na dzisiaj. Może na mnie długo czekać”. Napewno śmieje się przytem. A tamten bałwan z uśmiechem: „Biedny głupiec”.

Dlaczego jej u diabła jeszcze nie było? Za kogo go ma, u licha? Cóż u diabła?...

Kupił kawałek gumy do żucia i spoglądał ciągle w stronę drzwi. Dwie grube kobiety rozmawiały z sobą, jedna spojrzała na zegarek. W kącie stał jakiś łobuziak, widocznie czekając na kogoś. Jakiś mężczyzna z teczką pod pachą zapalał papierosa. Przy bufecie niektórzy pili sodową wodę. Z dworca kolei podziemnej wyszła gromadka ludzi i weszła do Ligetta. Dwaj studenci, prowadzący pod rękę rozchichotane dziewczęta, jakiś starszy jegomość i otyła niewiasta, wszyscy rozmawiali ze sobą. Z ulicy dochodziły głośnie rozmowy, a gmach „Timesa” zdawał się drżeć pod wpływem turkotu przejeżdżającej właśnie kolei podziemnej.

Wszedł jakiś młodzieniec i zbliżył się do dziewczyny, stojącej przy kiosku gazetowym. Jim chciał podejść do nich i powiedzieć: Może pójdziemy razem. Prawdopodobnie dziewczyna zawołałaby policjanta, al-

bo udałaby, że go wcale nie widzi. A onby tak stał przy nich, jak głupi i nie wiedziałby, co z sobą począć.

W najlepszym razie mogłaby powiedzieć: Przecież ja pana wcale nie znam. Na to nie znalazłby odpowiedzi. A może jednak... Możeby przyjęła jego ramię, a potem (żegnaj, Heleno) do kina, do Paddy'ego, w tak-sówkę i do domu.

Brakowało dwadzieścia pięć minut do dziewiątej. Wszystkie kina będą przepełnione. Co ona sobie myśli? Jak długo mam na nią czekać?

Obydwaj z Hankiem Wilsonem szli raz przez Czterdziestą drugą ulicę, sprawiając wrażenie dwóch rozbawionych studentów. Właśnie przechodziły jakieś dwie blondynki i zawołały: „Hallo, dokąd idziecie?” „Ni-gdzie, tylko na spacer. A wy dokąd?” „Poszlibyście do Dizzy Klubu?” pytają dziewczęta. „Nie”, odpowiada Hank. „Wszędzie, tylko nie do Dizzy Klubu. Nie znoszę tego lokalu. Pójdziecie z nami do hotelu?” „Mo-że po Dizzy Klubie”, mówią dziewczęta. „Nie”, upiera się Hank, „dlaczego koniecznie tam chcecie iść? Za-bierzemy was wszędzie, byle nie do klubu”. „Nie”, upie-rają się dziewczęta. „To idźcie do diabła!” mruknął Hank i obydwa z Jimem poszli dalej.

Okazało się, że dziewczynka przy kiosku gazetowym wcale nie czekała na owego młodzieńca, tylko na matkę. Matka przyszła i zaczęła gderać, aż dziewczyna zarumieniła się i rzuciła nieśmiało: „Mamo, nie tutaj”. Klócąc się jeszcze ciągle, poszły w stronę kolei podziemnej. Jakiś niski mężczyzna podszedł do dwóch grubych kobiet z Jersey i wyjął z kieszeni bilety do teatru. Po chwili wszyscy troje wyszli. Dwaj studenci przekon-ywali ciągle swe rozchichotane towarzyszek. Jeden z nich mówił: „Chodźcie”, i wsuwał dziewczynie rękę

pod ramię. Dziewczyna wyrywała się, chichocząc ciągle i krzycząc: „Wynoś się”. Jim w myśli mówił do studentów: Zobaczycie, że spędzicie wieczór sami. Wzrok jego zatonał na chwilę w oczach jednej z dziewcząt, ona w pewnej chwili uśmiechnęła się i postąpiła kilka kroków w jego stronę.

„Hallo”, wyszeptała.

Weszła Helena, ale Jim był zajęty. Rzekł tylko: „Niech pani zaczeka chwilkę” i zaczął obserwować jednego ze studentów. Przysunął się nawet nieco bliżej.

Znowu student wsunął dziewczynie rękę pod ramię. Ona mu coś szepnęła na ucho, student niechętnie odpowiedział: „Daj mi spokój”. Dziewczyna trzymała go mocno. Druga, która uśmiechnęła się do Jima, postąpiła jeszcze krok naprzód. Student zaklął. Jim uśmiechnął się wesoło.

Helena opanowała wściekłość. „Jak pan tak zaczyna”, rzekła, „to ja sobie pójdę...”

Dziewczęta poczęły się zgadzać na propozycję studentów. Teraz rozmawiali z sobą głośno. Jim spojrzał na Helenę.

„Hallo”, zawołał.

Czuł się doskonale. Mógłby nawet podejść do studentów i zbić ich na kwaśne jabłko. Właściwie powinien był to uczynić. Dlaczego nie mógł się zdobyć na odwagę?

„Idę do domu”, rzekła Helena.

„Ci studenci myślą, że całe miasto do nich należy”, wyjaśniał Jim. „Przyjechali do New Yorku na wakacje i są pewni, że każdy z ochotą przyjmie ich propozycję”.

Ujął Helenę pod ramię. „Nie sądziłem, że pani

przyjdzie. Czekałem, a tamten mi się przyglądał bezczelnie. Miałem ochotę go spoliczkować”.

Nie była taka wysoka, jak mu się zdawało. Ramię jej było miękkie pod żorzetowym rękawem. Sukienkę miała głęboko wyciętą u szyi. Przechodnie zaglądali jej bezczelnie w oczy, a Jimowi bardzo się to nie podobało. Jakiś jegomość, stojący przed gmachem „Timesa”, spoglądał na Helenę wymownie. Jeżeli mam tak przez cały wieczór patrzeć, jak inni cię kokietują, pomyślał Jim, to do diabła z taką przyjemnością.

„Pan się często pojedykuje?”

„Nie”, odparł. „Nie mogłem tylko znieść, jak tamci dwaj durnie namawiali swe towarzyszki, żeby poszły z nimi do jakiegoś lokalu. Dziewczynę wówczas się tylko bierze pod ramię, jeżeli się jest pewnym, że pójdzie z chęcią”.

„Panby tak nie postąpił, prawda?”

Sposób, w jaki nań teraz patrzyła, nie podobał mu się dziwnie.

„Oczywiście, że nie”.

„Panby inaczej to urządził”.

„Zupełnie zrozumiałe. Ale teraz musimy się spieszyć”.

„Dokąd pójdziemy?”

„Do kina”.

„Och”, westchnęła.

Miał i tak szczęście, że nie oponowała. Mogła przecież ni z tego, ni z owego powiedzieć: „Niech pan wybaczy”, odwrócić się i odejść.

Tyle przeszkód musiał przezwyciężyć dla tego jednego spotkania. Matka będzie czekać, a i on sam okropnie się czuje. Marzył o tem, że czeka go coś przyjemnego... A tymczasem...

Nie mogli się przedostać przez ulicę, taki był ruch na jezdni. Helena lękała się przejść między autami, lecz on ujął ją mocniej pod ramię i energicznie pociągnął za sobą. Cofnęła się parę kroków i rzekła: „Niech pan zaczeka chwilę. Przecież się nie pali“. Twarz jej była spokojna i jakby niechętna. Poprostu wzajemnie nie czuli do siebie sympatji. Nie powinien się być z nią umawiać i nie powinien był przychodzić na randkę. Gdyby nie przyszedł, mógłby jutro rano wejść do mleczarni i śmiać się z jej łatwowierności.

Teraz musi z nią cały wieczór spędzić, musi ją nawet zabrać do kina. (Niema żadnego musu. Powiedz jej, że masz jakieś ważne zajęcie). Czy to pomoże? (To wogóle nic jej nie mów. Zostaw ją na ulicy i idź sobie swoją drogą). To byłoby lepsze. Zmieszałby się w jednej chwili z tłumem. Może to istotnie uczyni. (Uczyniłby, ale nie ma odwagi). Nie, napewno tego nie robi.

Tłoczyli się wraz z tłumem przez ulice. Tak dużo było ludzi na chodnikach, że wszyscy musieli iść powoli. Przy samej jezdni stali policjanci i pomagali przechodniom przejść na przeciwległą stronę ulicy. „Nie zanosi się, abyśmy poszli do kina“, zauważył Jim. Nie rzekła ani słowa. Myślała może, że powinien był kupić bilety do jakiegoś teatru.

Zawstydził się na samą myśl, że marzył o tem, iż ją po kinie będzie całował. Teraz był pewien, że okazja się zupełnie nie nadarzy. Chciał jej dać odczuć, że nie pała do niej żadną sympatją. Poprostu szedł z nią do kina, tylko dlatego, że przyrzekł się z nią spotkać. I to wszystko. Po skończonym obrazie odprowadzi ją do przystanku kolei podziemnej, a jutro rano pójdzie na śniadanie do innej mleczarni.

Musieli znów przejść przez jezdnię, gdzie zebrał się jeszcze większy tłum. W pewnej chwili Helena mocniej się wsparła na ramieniu Jima. To nic nie znaczy, tłumaczył sobie. To wszystko przez ten tłok.

Ona spojrzała na niego ze śmiechem. „Boże, jak tutaj pełno“, rzekła. Zamierzał nie odpowiedzieć, wogóle wołałby na nią nie patrzeć w tej chwili, kompletnie jej nienawidził. Powiedział jednak. „Tak, prawda?“, uśmiechnął się i przytulił jej ramię mocniej do siebie. Czuł ciepło jej młodego ciała i widział znowu uśmiech na jej twarzy.

Błysnęło światło sygnału, a jakieś auto nie zatrzymało się na znak policjanta. Policjant rozepchnął tłum, wskoczył na stopień samochodu i zaczął krzyczeć do dwóch kobiet, siedzących we wnętrzu. „Proszę wracać tam, skąd się przyjechało! Myślicie, że jesteście na wsi? Co? Że macie dokoła trawę i drzewa? Tutaj trzeba uważać“. Ktoś mruknął: „Niech żyje prawo“. Policjant odwrócił głowę, uśmiechnął się i zaczął jeszcze głośniejsze krzyczeć.

Jim i Helena poszli dalej. Jimowi było teraz wszystko jedno, czy pójda do kina, czy nie. Ten tłum na chodniku był niemożliwy. Dziewczęta śmiały się. Chłopcy wołali głośno: „Ej, wy!“ Dziewczęta odwracały się, machały rękami i szły dalej. W takim tłumie były bezpieczne.

„Chciałaby pani zobaczyć jakieś dobre przedstawienie?“, zapytał Jim.

„Teraz już zapóźno“, odparła, ale szybko dorzuciła: „WSZYSTKO W PORZĄDKU. Nie mam nic przeciwko pójściu do kina“.

Och, nie masz nic przeciwko temu? Ale nie chciał

się z nią sprzeczać. Lepiej przecież spędzić wieczór przyjaźnie.

„Następnym razem pójdziemy do teatru“.

Czekał chwilę na odpowiedź, poczem:

„Pani mi nie wierzy?“

„Ależ naturalnie“, odrzekła. „Słucham, co pan mówi. Wezmę wtedy mój gronostajowy kołnierz“.

„Pani jest bardzo przezorna, prawda?“

Chciała mu coś odpowiedzieć, lecz on zaraz dorzucił: „Dajmy temu spokój. Dobrze?“.

„Ja się zgadzam“, i ramię jej zadrżało nieco. On przycisnął je mocniej do siebie.

Swoją drogą było bardzo miło. Ona wcale nie jest taka straszna. Usiłował ją zdenerwować, ona jednak się nie obrażała. Dziewczęta nie lubią żadnych kłótni. (Co miałyby lubić właściwie? Co one mają z tem wspólnego?) Nie, naprawdę nie lubią. Pozatem trudno je wyprowadzić z równowagi. (Naprawdę? A jeżeli on ma ochotę do sprzeczki, to mu nie wolno?).

„Nie“, zawołał głośno.

„Co się stało?“

„Nic, tylko się zamyśliłem“.

„Więc pan umie myśleć?“

„Owszem, umiem“.

„Niech pan nie buja w obłokach“, rzekła. „Na nic się to nie zda. Lepiej być ze mną na ziemi, a jeżeli pan nie chce, to pójdę do domu“.

Niech ją diabli wezmą.

„Niech pani idzie“, zawołał.

„Dowidzenia“.

„Z Bogiem“.

Wyswobodziła rękę z pod jego ramienia i poczęła się znowu przedzierać przez tłum. Zniknęło kino,

zniknęła taksówka i zniknął lokal, do którego pragnął ją zabrać. Czuł się w tłumie bardzo samotny. Począł iść za nią.

„Niech pani mnie posłucha“, rzekł, ujmując ją pod ramię. „Proszę być dobrą. Ja przecież tego nie myślałem. Przez cały wieczór jestem trochę nieprzytomny. Właściwie nie wiem, co mi jest. Źle się już czułem, wychodząc z domu. I teraz źle się czuję. Jeżeli pani chce zobaczyć film, to chodźmy. Już więcej ani słowa nie powiem“.

Usiłowała wyswobodzić się znowu, potem podniosła wzrok ku niemu. Naprawdę chciał, żeby z nim poszła. (Co u diabła, niech sobie idzie. Lepiej ci będzie samemu). Cicho, on chce pójść z nią razem. Ujęła go pod ramię. Zawrócili.

„W obiad był pan całkiem miły“, zauważyła. „Nic panu nie było. Pan przecież też może rozmawiać, jak wszyscy, idąc w czyjeś towarzystwie“.

Przez myśl jego przemknęły typy wszystkich dziewcząt, z którymi się spotkał w życiu. Znajomości, zawierane na rogach ulic i w przedpokojach, przypadkowe spotkania w lokalach restauracyjnych, owe czasy, kiedy to Karol Winston miał jeszcze własne auto i obydwaj jeździli po ulicach w poszukiwaniu nowych dziewcząt. Młoda urzędniczka z registratury, która krzyczała prawie z przestachu. Najczęściej przypominał sobie znajomą z Brooklynu i za każdym razem rumienił się ze wstydem.

„Pan nie jest taki, jak inni chłopcy, którzy chcą się ze mną spotkać. Był taki jeden, co mówił, że jest szefem wydziału na ósmym piętrze. Mówił, że ma własne auto: Chciałaby pani przejechać się ze mną któregoś

wieczora i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza? Tak długo błagał i prosił, aż powiedziałam: dobrze. Pojechaliśmy za miasto do gospody Prestona Heath'a. Ileż on tam wydał pieniędzy. Każda kanapka kosztowała dwa dolary. Obstałował całą skrzynkę ginu. Nigdy jeszcze tyle nie piłam. Przez cały wieczór był bardzo miły, podczas jazdy zachowywał się zupełnie grzecznie. Tłumaczył tylko, że jest sam i chciałby z kimś zabawić się trochę. Miał podobno bardzo brzydką żonę. Wracając, podjechaliśmy prawie pod jego dom, bo on miał wstąpić po płaszcz, gdyż chcieliśmy jeszcze trochę pojeździć. Po chwili wrócił w towarzystwie policjanta i rzekł: „Lepiej będzie, jak pani pojedzie koleją podziemną do domu. Ja muszę jechać gdzieindziej”. Nigdy w życiu nie byłam jeszcze taka wściekła. Okazało się, że wcale nie jest szefem wydziału, a to auto zostało przez niego skradzione“.

„Naturalnie“, mruknął Jim. „Dziewczeta nie uznają takich, którzy nie mają własnych samochodów. Tak-sówka im nie wystarcza. Wszystko wam jedno, czy auto jest skradzione, czy własne, byleby było“.

„Ja do takich nie należę“, zaprotestowała. „Jeżeli kogoś lubię, mogę z nim pojechać nawet koleją podziemną. Ale muszę go lubić naprawdę“, dodała. „Wogóle mężczyźni mają wrażenie, że każda z nas jest łatwa do zdobycia. Jeżeli dziewczyna nie jest wymagająca, to taki zaraz myśli, że jest w nim zakochana, i że na wszystko się zgodzi. Na taką nie lubią wydać ani grosza. Zabierają ją do ordynarnej jadłodajni i chcą jej tem zaimponować. Jeden, z którym chodziłam przez dwa lata, miał czelność żądać, żebym mu cerowała koszule. Napewno potem kazałby mi je prać. A zazdrosny był... Jak ktoś tylko na mnie spojrzał, zaraz chciał bić tam-

tego. I co ja z tego miałam? Co sobotę chodziliśmy do kina po trzydzieści centów, a czasami dla odmiany wchodziliśmy na sodową wodę. Twierdził zawsze, że oszczędza pieniądze, bo chce się ożenić. Oczywiście, ja wierzyłam, że to o mnie chodzi. Nigdy nie mówił, kiedy się pobierzemy. Ja, oczywiście, cierpliwie czekałam. Mówił tylko o tem, że on się ożeni. Żaden z chłopców nie chciał wtedy na mnie spojrzeć. Wszyscy się bali i mówili: Twój przyjaciel jest tutaj. Czekałam dwa lata, aż wreszcie dałam mu odprawę. Powiedziałam mu, dokąd ma pójść. Nie podobało mu się. Poszedł do mojej gospodyni, panny Gannon i poskarżył się na mnie. Mówił, że jestem dla niego podła, że wystrychnęłam go na dudka i że teraz chcę się od niego uwolnić. Od tego dnia chodził za mną, jak cień. Wreszcie przysięgłam, że jeżeli zobaczę go gdzieś w pobliżu, rzucę w niego krzesłem. Kazałam mu natychmiast wyjść z pokoju i więcej nie wracać. Zaznaczyłam, że nie nadaję się na towarzyszkę młodych chłopców, a jeżeli już ktoś chce przepędzić ze mną wieczór, to niech zapłaci. Widząc, że mówię poważnie, wyniósł się wreszcie. Potem przez długi czas przychodził do Childa i patrzył na mnie złym wzrokiem. Wyjaśniłam szefowi, że to mój prześladowca i szef kazał mu się wynosić. Taki był koniec tej całej historii. Ale właściwie nie można jeszcze tego nazwać kłótnicą. Szef uważał, że powinien okazać mi wdzięczność za to, że mnie uwolnił od tamtego. Prędko jednak i z nim skończyłam. Prostu poszłam do żony i wszystko powtórzyłam. Po kilku miesiącach dostałam od niego list, że to wszystko była omyłka, że on mnie kocha i jeżeli chcę, rozwiedzie się ze swoją żoną, aby się ze mną ożenić. Pokażę panu ten list, jeżeli go mam przy sobie...”

Na ulicy było teraz trochę puściej. Przedstawienia w teatrach już się rozpoczęły. Jakiś jegomość podszedł do Jima i szeptem zaproponował: „Kupi pan dwa miejsca do Palace?” „Nie”, odparł Jim. „Sprzedam panu tanio”, zachwalał dalej przekupień. „To już ostatnie”. „Nie”, powtórzył Jim głośniej. Przekupień obejrzał się, czy niema policjanta gdzieś wpobliżu, poczem syknął przez zęby: „jabym panu pokazał, gdybym...” Lecz słowa jego zniknęły w przestrzeni, bo Jim i Helena poszli dalej. Helena opowiadała mu coś jeszcze, ale on nie słuchał. Kino, myślał, będą siedzieli razem, ramię przy ramieniu, na sali będzie ciemno. On weźmie ją za rękę. Spojrzy na nią, przycisnie mocniej ramię i przytuli ją czulej do siebie. Ona uśmiechnie się i będzie patrzeć dalej. Jakże cudownie poruszają się jej biodra. Jakby się kołysały. Idą dalej, Helena ciągle opowiada. Wreszcie on przerywa zapytaniem:

„Wejdziemy?”

„Chętnie”, odpowiada Helena.

Portjer kłania się głęboko i oświadcza: „Przerwa dwudziestominutowa. Przy orkiestrze miejsc niema. Są miejsca wolne na górze”. Helena szepcze: „Niech pan spojrzy na portjera. Czyż nie jest komiczny?” Jim kupuje bilety. Gdy przechodzą przez salę, bileter kłania się głęboko i mówi: „Dziękuję”. Wstępują na szerokie marmurowe schody. Dokoła światła, na ścianach obrazy, pod stopami miękkie dywany. Wchodzą do windy i jadą na górę. Reflektor pracuje niezmiennie, na dole grają organy. Na ekranie widać niezliczoną ilość samolotów. Woźny, wskazujący miejsca, kłania się: „Tutaj, proszę”. Znowu wchodzą na schody, potrącając jakichś ludzi, dotykają jakichś kolan. wreszcie sia-

dają na wolnych miejscach. „Dziękuję”, mówi woźny. „Grzeczny facet”, powiada Jim. Helena zaczyna chichotać.

V

W KINIE

Na ekranie samoloty, wyruszają na wyspy Hawajskie, w orkiestrze naśladują warkot propellera, a Helena mówi: „Znałam jednego, co był lotnikiem. Obiecywał zabrać mnie z sobą przy pierwszej okazji na aeroplan. Pewnego razu miał katastrofę. Opisywano to w gazetach. Zawsze mówił, że wsiadając na samolot, musiał być trochę podchmielony”. Publiczność oklaskuje zagranicznych kadetów z Zachodu, Helena także klaszcze w dłonie i mówi: „Miałam kiedyś przyjaciółkę. Była zaręczona z kadetem, ale on potem wyjechał na Zachód i zostawił ją na koszu. Złamał jej życie”. Ktoś w następnym rzędzie szepcze: „Sza!” Jim odwraca się w tę stronę, lecz siedzą tam same kobiety, więc postanawia nie reagować. Przestaje patrzeć na ekran, bo pragnie zauważyć, jak owo „sza” podziało na Helenę, ona jednak tego nie dostrzega. Chętnie ująłby ją teraz pod ramię, które spoczywa na poręczy fotela, jakby się prosiło o pieszczotę. Możeby to było przedwczesne. Jim musi się przyzwyczaić do ciemności, panujących w kinie i do tego, że siedzi tuż u jej boku. Jak się trochę zapełni i nikt nie będzie zwracał uwagi, weźmie ją pod ramię i przytuli do siebie.

Na pulpicie kapelmistrza płonie mała lampka. Przygasa tylko wtedy, gdy nowy obraz ukazuje się na ekranie. Wówczas orkiestra na chwilę milknie, zaczyna

grać inną jakąś melodię i lampka znowu się zapala. Jim nie patrzy na ekran, przysłuchając się tylko oklaskom publiczności, która entuzjazmuje się powrotem Prezydenta z urlopu. Helena klaszcze zawzięcie, a Jim idzie za jej przykładem, przez chwilę klaszcze bardzo mocno, potem odwraca się znowu do kobiet, siedzących w następnym rzędzie, patrzy na nie i klaszcze dalej.

W pewnej chwili wszyscy w tym rzędzie podnoszą się, aby przepuścić nowych widzów. Tuż obok siadają dwie dziewczyny i młodzieniec. Młodzieniec siada w środku. Helena nie wstaje, tylko wsuwa się głębiej w fotel i podciąga nogi pod krzesło. Dziewczęta, przechodzące między krzesłami, są całkiem niebrzydkie, to też Jim podnosi się grzecznie i przepuszcza całą trójkę. Jedna z dziewcząt siada tuż przy nim, a on wysuwa w ten sposób nogę, aby móc dotknąć jej kolana. Dziewczyna spogląda nań i szepcze: „Przepraszam pana“. Jim odpowiada: „Proszę bardzo“, i patrzy na nią wymownie. Dziewczyna zdejmuje kapelusz, a oczy jej lśnią dziwnym blaskiem.

Mężczyzna w środku zaczyna coś mówić i obydwie towarzyszki pochylają się ku niemu, potem znowu poprawiają się na krzesłach; sąsiadka Jima śmieje się głośno. Podnosi w górę płaszcz, zakłada nogę na nogę i obciąga sukienkę. Stopa jej wysunięta jest w stronę Jima i porusza się miarowo w ciemnościach. Jim również zakłada nogę na nogę i końcem buta dotyka nogi sąsiadki. Dziewczyna cofa się, stawia nogi prosto, a potem przekłada je na drugą stronę. Na twarzy jej maluje się wyraz obojętności, wzrok ma utkwiony w ekranie.

Niech ją diabli porwą, myśli Jim i odwraca się do Heleny. Ona również patrzy na ekran. Ujmuje ją pod

ramię, tłumacząc w duchu: Robię to tylko dlatego, aby być miłym; przypuszczam, że ręki nie cofnie. Istotnie Helena siedzi spokojnie i ręki nie cofa, raczej przysuwa się nieco bliżej ku niemu, tak, że ramię jej dotyka jego ramienia.

Przegląd tygodniowy dobiegł końca. Ekran zasłonięto, w orkiestrze zapalono światła. Blask reflektora padł na stojące na pierwszym planie organy. Po chwili znów światła pogasły i na ekranie pojawił się tekst pieśni. Jim odchrząknął uroczyście.

Helena napewno nie wie, że on umie śpiewać; zaraz jej to zadokumentuje. Napewno polubi go jeszcze bardziej, gdy usłyszy jego głos. Była to jakaś staromodna piosenka, którą bardzo lubił. Publiczność podniecała się coraz bardziej. Nikt nie chciał rozpocząć pieśni, wszyscy mruczełi pod nosem. Gdy chór zaczął śpiewać, Jim zanucił także, lecz głośno śpiewać nie miał odwagi. Młodzieniec, siedzący między dwiema dziewczętami, rzekł: „Teraz jakiś idjota zacznie śpiewać“. Jim zaczerwienił się, bo sąsiadka odpowiedziała ze śmiechem: „Zawsze się jakiś wyrwie“. Jim przestał nucić.

Pizez chwilę siedział spokojnie i przysłuchiwał się popularnej melodji. Cała sala nuciła, a ktoś śpiewał nawet półgłosem. Helena nuciła także i w pewnej chwili zdawało się Jimowi, że dziewczyna, siedząca przy nim, także nuci cichutko. Opanowała go złość: Toś ty taka— i zaczął głośno śpiewać refren. Opanowało go przerażenie, bo wszyscy patrzeli nań w tej chwili, lecz miękkie ramię Heleny, które trzymał teraz mocno, dodawało mu odwagi. Wreszcie inni zaczęli śpiewać także i jego głos niknął w ogólnym chórze. Rozległy się oklaski, kilka osób zwróciło spojrzenie w jego stronę, a on czuł

się w tej chwili doskonale. Helena szepnęła: „To było cudowne”. Dowcipny młodzieniec na prawo milczał. Jim spojrział z triumfem na swą sąsiadkę i nawet dotknął jej ramienia.

Znowu zabrzmiała jakaś pieśń, a Helena zachęcała cicho: „Niech pan śpiewa”, lecz on milczał i spoglądał tylko na prawo. Rozpoczął się numer kabaretowy. Podniesiono kurtynę i oczom widzów ukazał się ogród kwiatowy, tonący w srebrnych promieniach księżyca. Młoda dziewczyna siedziała na ławce pod drzewem i śpiewała. Nagle z za kulis wyszedł młodzieniec w krótkich spodniach i zaczął śpiewać wraz z nią, z dłonią przyciśniętą do piersi. Potem oboje wzięli się za ręce, przebiegli kilka razy przez scenę i zniknęli za kulisami. (Helena zaczęła klaskać w dłonie). Rozsunęła się wewnętrzna kotara i na tle skalistych brzegów ukazała się postać nagiej kobiety. Po chwili kobieta zawisała w ramionach silnego, muskularnego tancerza. Tancerz po wykonaniu kilku ewolucyj, powalił partnerkę na ziemię i umknął za kulisy z triumfalnym uśmiechem, jakby to właśnie było całym jego zadaniem. Orkiestra umilkła znowu, a Helena dalej nie szczędziła oklasków.

Po raz drugi rozsunęła się wewnętrzna zasłona. Na scenie pojawiła się orkiestra jazzbandowa. Muzykanci w dziwacznych białych strojach i czarnych cylindrach. Dyrygent wystąpił na pierwszy plan sceny, podniósł w górę obie ręce, potem je opuścił i orkiestra poczęła grać jakiegoś modnego foxtrota. Jim przytupywał rytmicznie nogą i w pewnym momencie dotknął mimowoli drobnej stopy Heleny. Spojrział na nią z uśmiechem. Ona uśmiechnęła się także i cofnęła nogę. Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. W głowie szumiał mu rytmiczny takt jazzbandu. Na scenie ukazali się dwaj

murzyni i poczęli śpiewać murzyńskie pieśni, przytupując hałaśliwie do taktu. Po skończeniu każdego refrenu otrzymywali rześiste oklaski, a gdy skończyli śpiewać, na sali zaległa chwila ciszy. Jim czuł się doskonale. Pochylił głowę ku Helenie i dotykał wargami jej włosów. Ona widocznie nie miała nic przeciwko temu. Jim był teraz pewien, że spędzi wieczór wyśmienicie. Pójdą do Paddy'ego, będą tańczyć, a potem... Był zadowolony, że w danej chwili nie układał planów na dalszą metę.

Z za kulis wybiegło szesnaście girlsów w białych kostjumach i czarnych cylindrach. Helena coś szeptała, lecz Jim nie zrozumiał, więc skinął tylko głową potakująco. Dłoń jego dotykała miękkiego jej ramienia i błędziła po jej wypukłych piersiach. W pewnej chwili Helena poruszyła się niespokojnie, odepchnęła go od siebie i oparła się dumnie na poręczu fotela. Widocznie na nią jazzband nie działał. Djabliby wzięli raz na zawsze, jeżeli nie rozumie, że on jej nie chce krzywdy wyrządzić. Zostawi ją tu samą i znajdzie sobie inną, która łatwiej pojmie jego zamiary.

„Niech pan tego nie robi”, szepnęła w pewnej chwili.

„Czego?”

„Już pan wie czego. Niech pan da spokój temu macaniu. Jest pan w teatrze, a nie w łóżku”.

Palce jego poczęły nerwowo drzeć program. Nie patrzył w tej chwili ani na scenę, ani na Helenę, ani na sąsiadkę z prawej strony. Podarł program na strzępy i cisnął na podłogę. Takie powiedzenie mogło znaczyć: Później, albo też wogóle nie miało żadnego znaczenia. Najprawdopodobniej nic z tego wszystkiego nie będzie. Przedstawienie było nudne. Helena, to zwykła głupia gęś. Cały wieczór stracony. Jim zaczynał się nie-

pokoić. Chętnie zapaliłby teraz papierosa. Przyszła mu na myśl matka. Zmywa pewno naczynia po obiedzie, a potem podejdzie do okna i wyjrzy na ulicę. Daisy i Filip udali się na codzienne oglądanie wystaw sklepowych. Co wieczór czynią to samo, przystając szczególnie przed magazynami mebli i to takich, których nigdy nie będą mogli kupić. Od czasu do czasu udają się na poszukiwanie mieszkania. Raz nawet Jim z nimi poszedł. Daisy pragnie koniecznie mieć nad mieszkaniem strych do wyrzucania bielizny, a w ścianie specjalny otwór do wyrzucania śmieci. Pozatem twierdzi, że musi mieć białą kafelową wannę, lecz niestety, takiej nie można znaleźć. Co niedzielę wybierają się z Filipem za miasto i oglądają wille, które przecież nigdy nie będą ich własnością. Filip marzy o domku z ogródkiem, ale Daisy twierdzi, że przysporzyłoby to tylko roboty. A jak jeszcze będą dzieci...

Na scenie śpiewała jakaś aktorka. Słów pieśni na górze nie można było rozróżnić. W pewnej chwili aktorka zarzuciła ramiona na szyję dyrygenta i poczęła wraz z nim obracać się po scenie przy dźwiękach jazzbandu. Po skończonej pieśni kapelmistrz pocałował dziewczynę, a publiczność zaczęła się domagać, aby powtórzono numer. Opuszczono kurtynę. „Jakie to piękne, prawda?“, zapytała Helena, zwracając się do Jima. Za żadne skarby świata nie odpowiedziałby jej w tej chwili. Zagryzł wargi i odwrócił się na prawo, trącąc w ramię sąsiadkę. Przez chwilę miał wrażenie, że i jej ramię się poruszyło i przywarło mocniej do jego ręki, jednakże widział, że odwróciła się do swego sąsiada, szepcząc coś cicho, a tamten skinął kilkakrotnie potakująco głową. Widocznie krytykowała przedstawienie, bo z twarzy jej wyczytać można było, że przyszła tutaj tylko

tak, od niechcenia. Nie podoba ci się? myślał Jim. Chodzisz zazwyczaj tylko na symfoniczne koncerty, prawda? Taki teatr nie jest dla ciebie prawdziwą sztuką? Wyrosłaś już ponad to?

Był taki zły, że chętnieby spoliczkował towarzysza swej sąsiadki, który z uśmiechem rozglądał się teraz po sali.

Znowu na scenie ukazały się girlsy, a Jim ustawicznie obserwował twarze sąsiadów z prawej strony. Niech się tylko uśmiechną ironicznie, ja im pokażę. Ale oni siedzieli spokojnie, a po skończonym numerze nawet oklaskiwali aktorów.

Nareszcie nadszedł finał, wszyscy artyści ukazali się na scenie, śpiewając i tańcząc. Potem rzęsiście oklaski, kurtyna i światło na sali.

Niektórzy podnosili się z krzeseł, kierując się ku wyjściu. W drzwiach było tłoczno i jak tylko bileter odsunął kotarę, poczęto szturmem dobijać się o miejsca. Jedni czytali programy, inni rozmawiali głośno. Na ziemi, u stóp Jima, leżała kupka podartego papieru. Kilka strzępków zawisło na jego spodniach. Strzepnął je. Helena nie zwróciła na to uwagi. Mogłaby z równym powodzeniem być tu bez niego. Widocznie była zła, że ją dotykał. Właściwie nic złego nie myślał, ale nie szkodziło spróbować.

Na dole grały organy, na ekranie ukazało się motto piosenki. Jim nie mógł czytać. U góry, na suficie wymalowany błękit nieba z miljonem gwiazd. Na samym środku wielki żyrandol z tysiącem lampek. Niektóre żarówki były zepsute. Na parterze mnóstwo ludzi. Na balkonie, przed nimi i za nimi, stawało się coraz tłoczniej. Rozmawiano, czytano głośno i szurano nogami.

„On mówi coś do pana“, szepnęła Helena.

„Kto?”

Młodzieniec, siedzący po prawej stronie, między dwiema dziewczętami, pochylił się w stronę Jima.

„Przepraszam bardzo”, rzekł. „Czy widział pan przegląd tygodniowy?”

„Widziałem”, odparł Jim.

„Czy były zdjęcia Sacco i Vanzettiego?”

„Czyje?”

Młodzieniec spojrzał porozumiewawczo w stronę swych towarzyszek i uśmiechnął się.

„Przecież pan musiał chyba słyszeć”, rzekł po chwili. „Ci dwaj skazańcy w Bostonie. Dzisiaj mają ich stracić. Na filmie nic o nich nie było?”

„Nie”, odpowiedział Jim.

„Dziękuję”, szepnął młodzieniec i zwróciwszy się do dziewcząt, mówił dalej: „Odrazu wam powiedziałem. Oczywiście, że tego nie sfilmują”.

„Dlaczego on mnie oto pytał?” mruknął Jim.

„Co?” zapytała Helena.

Jim spojrzał w górę i nagle zawołał głośno: „Tacy powinni przynosić swoje własne filmy!”

„Jakie filmy?”

„Pani tego nie zrozumie. Dla pani to niema żadnego znaczenia”.

„Nie mogę tu dłużej zostać”, rzekła Helena, „jeżeli pan ma być taki niegrzeczny”.

Chciał powiedzieć: Jak się pani podoba. Może pani pójść do domu. Nikt się nie rozpłaczę z tego powodu. Zajmuje pani tylko miejsce niepotrzebnie. Ale w tej samej chwili ogarnęło go dziwne zobojętnienie i było mu znowu wszystko jedno, czy ona pójdzie, czy zostanie. Zbyt wiele trudoby go kosztowało, gdyby jej to miał powiedzieć. Niech robi, jak jej się podoba. Jak zosta-

nie, to ją będzie głaskał. Bardzo przyjemna była w dotknięciu. Jakże byłoby przyjemnie położyć głowę na jej piersi. Ale jeżeli sobie pójdzie, to też nie będzie w niebie dziury.

„Słyszał pan, co powiedziałam?”, zapytała.

„Niech się pani zdaje”, odparł, „że jest pani tutaj sama. Ja wcale nie jestem w pani towarzystwie, kupiłem pani tylko bilet. Proszę patrzeć na scenę i nie zwracać na nic więcej uwagi”. A mnie daj raz na zawsze spokój, ciągnął dalej w myśli.

Spojrzała nań, jakby miała wrażenie, że oszalał. Mój Boże, malowało się pytanie na jej twarzy, z kim ja się właściwie wybrałam do kina? Spojrzenie jej błądziło najprzód po jego twarzy, potem przeniosło się na kapelusz, leżący na kolanach. Ręce poczęły drżeć nerwowo. Wreszcie wzruszyła ramionami i przestała się interesować Jimem. Salę zaległy ciemności. Zagrały organy. Kurtyna poszła w górę i film się rozpoczął.

1.

Zaczynało świtać.

Na wybrzeżu morskiem mglisto było, i tylko w dali na wschodzie niebo się zwolna rozjaśniało.

Szczyty górskie połyskiwały bielą śniegu, rzucając długie cienie na ziemię.

U podnóża jednej z gór stało zbite w gromadkę stado bydła. Woddali czekał pies.

Gdzieś w lesie słychać szum spadających rzęsiстых kropel deszczu.

Pociąg pospieszny przedziera się przez zamgloną przestrzeń. Na korytarzu w wagonie sypialnym pusto.

W służbowym przedziale drzemie konduktor, pochylony na ławce.

Powietrze rodziera zawodzący płacz niemowlęcia.

Portjer z nocnego klubu sadowi w taksówce czterech mężczyzn w wieczorowych strojach.

Kominy fabryczne w Petersburgu pluja ku niebu kłębamii czarnego dymu.

Nocny policjant obchodzi swój rejon i od czasu do czasu zagląda do oświetlonych sklepów, sprawdzając zamki u drzwi.

2.

Drzwi chaty wieśniaczej uchylają się zlekka, ktoś wpuszcza przez nie łaciatego kota-marudera.

Światło.

Jakaś postać z latarnią w ręku przedziera się przez mgłę.

Ręce kobiece wybierają popiół z pieca.

Pierwsze promienie słoneczne przeglądają się w gładkiej tafli oceanu.

W porcie stoją nieruchomo okręty, zasnuće mgłą. Nad okrętami wiszą ołowiane chmury. Mgła opada na spokojne fale.

Nad miastem przebiega z łoskotem długi pociąg kolei napowietrznej.

Rozjaśnia się coraz bardziej.

Jakaś kobieta oblewa drzewo naftą i zapala je zapalką. Mężczyzna przyczesuje włosy.

Bydło porykuje wesoło, ptaki śpiewają. Koguty siadają na płotkach.

Pociąg staje na stacji i kilku ludzi wyciąga z wagonu bagażowego bańki z mlekiem, ładując je na cię-

zarowe auta. Auta ruszają z miejsca, bańki tańczą na platformie.

Ulica. Robotnicy przy świetle latarek acetylenowych naprawiają szyny.

Na ławkach w parku śpią włóczędzy, przykryci łachmanami.

Młoda matka karmi troskliwie niemowlę.

Przed gmachem bankowym dozorca nocny nakręca zegar kontrolny. Mury budynku toną jeszcze w ciemniu.

Wieśniak doi krowę. Wieśniaczka idzie do kurnika i sypie ziarno dla drobiu. Kury i gęsi zlatują się ze wszystkich stron. Jakiś kogut walczy z kurami o ziarnko pszenicy. Pies łasi się, poszczekując wesoło.

Z lotniska startuje aeroplan pocztowy. Światło reflektorów, samoloty, grupa pilotów.

Posługaczki odstawiają szczotki i wychodzą z biur jedna za drugą, owinięte chustkami, stąpając niepewnie po kamiennych korytarzach.

Łany pszenicy pochylają się pod tchnieniem rannego wietrzyka. Liście drżą na drzewach.

Wieśniak niecierpliwie budzi parobka do pracy. Ranek.

3.

Śniadanie przygotowane. Na stole dymiąca kawa. Jajka ułożone na talerzu. Świeże pieczywo, smażona słonina. Stół nakryty.

Nieogolony, zaspany wieśniak doi krowę.

Rozkoszne niemowlę zanosi się od płaczu, trzymając w rączkach butelkę z mlekiem.

Z małej chatki wśród lasu wychodzą dwaj myśliwi

z fajkami w ustach i strzelbami na ramionach. Za nimi biegnie ogromny wyżeł.

Dzieci się już przebudziły i ubierają się, kłócąc się z sobą nawzajem. Matka przywołuje je do porządku.

Jakaś wczesna łódź przedziera się przez mgłę i zawija do przystani. Trzy postacie męskie wyskakują z łodzi i szybkim krokiem kierują się w stronę miasta.

Blady młodzieniec rzuca się niespokojnie w pościeli, usiłując za wszelką cenę usnąć.

Na zachodzie rżą konie.

Wielka fabryka aeroplanów przystępuje do pracy.

Kilku fernali je śniadanie przy długim stole na dziedzińcu.

Palacz na lokomotywie dorzuca węgla do paleńska. Maszynista puszcza w ruch lokomotywę, która zmierza w kierunku głównej linii dworca.

4.

Posługacze w nocnej restauracji sprzątają salę lewniwe.

Pierwszy robotnik wychodzi z domu, niosąc pod pachą zawiniątko ze śniadaniem.

Jakieś drzwi się otwierają i gospodyni, owinięta grubą chustką, spiesznym krokiem kieruje się do pobliskiego sklepu.

Przez ulicę przejeżdża platforma, za nią w pośpiechu mkną auto.

Stojący na stoliku budzik zaczyna dzwonić, z łóżka wyciąga się ręka, aby go zatrzymać. Po chwili drugi budzik i trzeci.

Gospodyni wraca ze sklepu, niosąc w dzbanku mleko i w koszyku wielki bochenek chleba.

Mgła unosi się ku górze.

Wielki ciężki traktor, puszczony w ruch, wyrusza na codzienną pracę w polach.

5.

Ciężarowe auta przyjeżdżają do portu. Skrzynie z pomarańczami, pomidorami, jabłkami, cebulą, ogórkami, zostają wyrzucone z auta na chodnik. Dookoła szum. Platformy zaprzężone w wielkie ciężarowe konie, przekleństwa woźniców, głośnie okrzyki tragarzy.

W jakiejś sypialni podnosi się roleta.

W wielkiej fabryce otwarto bramę i puszczono w ruch syreny, przywołujące robotników do pracy.

Handlarze wpędzają bydło na dziedziniec rzeźni.

Kosiarz zbiera skoszone siano.

Łan pszeniczny. Szereg żniwiarzy z sierpami w ręku.

Bufet w kawiarni. Goście dają zamówienia. Bufetowy krzyczy na kucharza. Wszystko idzie z błyskawiczną szybkością. Goście nie mogą tracić czasu przy stolikach. Stojąc przy bufecie, zajądają kanapki i pośpiesznie biegną do drzwi.

Na niższym piętrze eleganckiej willi. Służba w miękkich pantoflach, aby nie obudzić państwa, śpiących na górze. Lokaje sprzątają salony, okurzają meble, trzepią dywany. Szofer myje auto. Stangret czyści konie.

Auto ciężarowe, przepełnione robotnikami.

Młoda murzynka zajęta myciem czarnego maleństwa. Dzieciak wrzeszczy w niebogłosy, przy każdym nowym strumieniu wody.

Ulice pełne robotników. — W małym miasteczku ojciec wchodzi do sypialni, całuje na pożegnanie śpiącą

córeczkę, potem żonę, zabiera zawiniątko ze śniadaniem i wsiada do małego auta. Zona żegna go, powiewając przez okno chustką.

Na stacji radiowej instruktor wychowania fizycznego, w kostjumie gimnastycznym, wygłasza przed mikrofonem swoje zasady.

Lokaj w liberji wyprowadza na spacer małego kudłatego pinczerka.

W Kalifornji najemnicy zbierają pomarańcze.

W wielkiem mieście otwierają się drzwi jakiegoś mieszkania i ręka kobieca wysuwa się po dzbanek z mlekiem i po gazetę. W jadalni brzęk talerzy. Ręka kobieca otwiera drzwi. Przyniesiono kubelek lodu.

6.

W górach pada deszcz. Mała ptaszyna drży na gałęzi. Obóz letni. Pościel zwinięta w tłumoki. Naczynia zapakowane do skrzyni. Dzieci otaczają dokoła samochód. Wszyscy wsiadają do auta i ruszają z miejsca.

Jakiś mężczyzna przy kuchni gotuje śniadanie, oparzył sobie palec i ucieka. Przez otwarte drzwi widać śpiącą młodą kobietę.

W małym miasteczku miejscowy listonosz rozwozi pocztę dwukołowym wózkiem. Podstarzała panna w wysokim sztywnym kołnierzyku i w długiej sukni oczekuje poczty niecierpliwie. Listonosz potrząsa przecząco głową i jedzie dalej.

Na stole śniadanie. Chleb razowy, masło i pasztet. Na innym stole śledzie i pieczywo. Na innym znowu gorące kartofle i kwaśne mleko. Na eleganckim stole hotelowym winogrona na lodzie, grzanki, przykryte serwetką, w srebrnym dzbanuszkach kawa. Ręka kelnera

nalewa do filiżanek śmietankę. Małeńka dziewczynka z zaróżowioną buzią wychodzi z chaty wieśniaczej, kierując się do szkoły. Na ulicy wiejskiej gromadka dzieci czeka na szkolny omnibus.

Jakiś mężczyzna spiesźnie biegnie za oddalającym się pociągiem.

Przed budynkiem szkolnym nawołują się uczniowie. Nagle nauczyciel ukazuje się na progu i rozlega się głos dzwonka, obwieszczającego początek lekcji.

7.

Wejście na dworzec kolei podziemnej. Ludzie schodzą nadół. U wejścia mały kolporter z pliką gazet pod pachą. Co chwila wyjmuje jakąś gazetę i wtyka przechodniowi pod pachę.

Widok New Yorku z lotu ptaka. Nad dachami szara mgła. Ludzie wyglądają, jak muchy; samochody — jak małeńkie klateczki.

Statek parowy. Oddział dla mężczyzn. Gromadka mężczyzn w słomkowych kapeluszach, palą papierosy i czytają gazety. Przez okno na tle horyzontu widać New York. Oddział damski. Nóżki kobiece. Ładne, brzydkie, grube i cienkie. Na środku mała dziewczynka bawi się z pieskiem.

Wewnątrz pokoju, zasłoniętego okiennicami, młoda kobieta naciąga jedwabną pończochę.

Pociąg kolei podziemnej straszliwie przepełniony. Niektórzy pasażerowie czytają gazety. Jakaś dziewczyna pudruje nos. Starszy mężczyzna zawisł wzrokiem na suficie.

Zrywanie jabłek. Piękna dziewczyna na drabinie

z koszykiem w ręce. Ogląda każde jabłko i wrzuca je do kosza.

8.

Dziedzinec willi. U podjazdu czeka samochód. Wychodzi kamerdyner, za nim pan domu. Pan schodzi po schodach, zrywa po drodze kwiatek, zatyka go w bu-tonierkę, podchodzi do auta, kłania się komuś w oknie na pierwszym piętrze, wsiada, odjeżdża.

Winda w wielkim gmachu bankowym.

Aleja palm i cyprysów. U wylotu alei mały sa-mochód.

9.

Biura otwarte. Klucze obracają się w kasach pan-cernych. Futerały zdjęte z maszyn do pisania. Pióra za-nurzone w kałamarzach.

Stary ogrodnik podlewa kwiaty. Wielki plac teni-sowy. Młoda dziewczyna wraca do domu z porannej przechadzki.

Młoda kobieta myje talerze. Dzwonek telefonu. Kobieta wyciera ręce i podnosi słuchawkę.

Wielki sklep kolonialny. Sprzedawczyni układa owoce. Pieniądze brzęczą na marmurze kasy. Gotowe paczki, owiązane sznurkiem.

Sala szkolna. Lekcja. Podniesione w górę palce: Mogę wyjść?

Stacja benzynowa. Przystaje wielki ciężarowy sa-mochód.

Uliczny stragan z owocami i jarzynami.

10.

Dyrektor bankowy przy biurku. Na biurku kilka aparatów telefonicznych.

Gońcy biurowy biegają tam i zpowrotem. Urzęd-nik podaje jakiś papier przez okienko. Na biurku leżą akcje. Kasjer liczy pospiesznie banknoty studolarowe.

Wnętrze giełdy. Agenci biegają tam i napowrót. Hałas. Wyciągnięte ręce. Głośnik radiowy obwieszcza ranny kurs dolara. Pochylony mężczyzna notuje kurs na marginesie gazety.

Dwaj chłopcy kradną owoce w sadzie. Właściciel sadu szczuje ich psem. Jeden z chłopców ucieka, drugi zaczepia ubraniem o parkan.

W małym miasteczku chór kościelny odbywa po-ranną próbę. Wejście do eleganckiego hotelu. Goście wchodzą i wychodzą. W drzwiach portjer w liberji.

Nad brzegiem rzeki stary rybak opatruje wędkę.

Duży zakład fryzjerski. Lustra, brzozy, marmury. Mężczyźni na fotelach, okryci białymi prześcieradłami. Manicurzystki pochylone nad rękami klientów.

Zaludniona ulica handlowa. Prywatne auta, tak-sówki, ludzie spieszący w rozmaitych kierunkach. Poli-cjant, stojący na jezdni, reguluje ruch. Portjerzy hote-łowi otwierają drzwiczki powozów. Eleganckie wysta-wy sklepowe, magazyny mód.

Drapacze nieba. Hotel Shelton. Budynek Wrigleya w Chicago. Stacja telefonów w New Yorku. Wieża Ritza. Aleja Wackera. Park Avenue, widziana z dachu hotelu Biltmore. Widok Atlanty, Clevelandu i San Fran-cisco z lotu ptaka. Bogata farma w stanie Illinois.

Kolej napowietrzna w New Yorku zatrzymuje się

na Six Avenue. Most kolei żelaznej między Chicago i jakimś małym miasteczkiem.

Rozdzierający ryk syreny okrętowej. Statek pod parą.

11.

Pora lunchu.

Traktor zatrzymany na polnej miedzy. Najemnicy siadają pod drzewem, oczekując na obiad, który im mają przynieść wieśniaczki.

Z gmachów biurowych na Wall Street wysypuje się tłum urzędników.

Na jakimś piętrze zatrzymano windę, do której wsiadają robotnicy.

Włoscy robotnicy uliczni siedzą na chodniku, zjadając z apetytem chleb i serdelki.

Przepełniona sala jadalna. Widok sali bufetowej w prywatnym klubie.

Dzieci oblegają małą narożną cukierenkę. Drżące paluszki dotykają nieśmiało ciastek i cukierków. Nerwowe dłonie rzucają na kontuar monety.

Młoda stenotypistka zajada śniadanie na wąskiej ławeczce cementarnej.

Parówki, kiszona kapusta, lemoniada. Gońcy biurowi otaczają wędrownego sprzedawcę.

Okno wystawowe restauracji Childa. Fertyczne dziewczęta układają kanapki wewnątrz sklepu. Tłum gapiów przed wystawą z nosami spleśzczonymi na szybach okiennych.

Kilka studentek w małej jadłodajni. Wszystkie kokietyją młodego sprzedawcę i zjadają ciastka z kremem.

12.

Starsza, zasuszona dama o miłym wyrazie twarzy. Pośrednik giełdowy w wysokim sztywnym kołnierzyku, cichoczący podłotek, robotnik murzyński, młody parobek odświętnie ubrany, robotnik włoski z szyją owiniętą kraciatą chustką, czarne niemowlę, stary brodaty Żyd, piękna młoda niewiasta, grecki pucybut, ogorzały farmer, sympatyczna gosposia, polski robotnik metalowy, jasnowłósy syn Skandynawji, płaczące dziecko, młoda stenotypistka, ustawicznie żująca gumę, czerstwa wieśniaczka, marynarz, maszynista kolejowy.

13.

Szczyty górskie ozłoczone promieniami słonecznymi, sady owocowe w Wenachee, niezżęte łany pszeniczne, północne lasy, rzeki, piaszczyste przestrzenie, chmury ołowiane nad zielonymi łąkami, niezmierzony bezmiar oceanu.

14.

W małym miasteczku gospodyni piecze ciasto. Kilkuletni chłopczyk kryje zarumienioną twarzyczkę w fałdach matczynej sukni. Miejscowy policjant usiłuje zatrzymać zbyt spieszenie mknące auto. Na drodze wiejskiej dzieci bawią się w chowanego.

Zebrania dygnitarzy kościoła. Na wielkim dziedzińcu długie stoły, nakryte śnieżnymi obrusami. Starsze kobiety w czerni roznoszą potrawy. Siwowłósy pastor wita przybyłych gości.

15.

Okręty stoją w przystani. Robotnicy zajęci naprawą lokomotywy. Fabryka papierosów w Richmond. Wnętrze oddziału Towarzystwa Generalnej Elektrowni w New Yorku. Wielkie zakłady meblowe w Grand Rapids, Michigan. Wnętrze warsztatów samochodowych Cadillaca w Detroit.

16.

Widok jarmarku, stragany z jarzynami i owocami. Targowisko bydła i koni. Pośrodku huśtawki, karuzele, loterja fantowa. Cyrk wędrowny. Konkurs piękności kobiecej.

17.

Mała trafika we Wschodniej dzielnicy New Yorku. Stary właściciel rozmawia z jednym z klientów.

Elegancki magazyn mód. Wytworne damy siedzą w głębokich fotelach i palą papierosy. Przed nimi modelki w strojnych sukniach.

Podrzędny magazyn konfekcji. Właściciel wciąga przemocą klientów do wnętrza sklepu.

Wielki dom towarowy. Niezliczona ilość oddziałów, windy, marmurowe schody. Sprzedawcy przy pracy. Tłumy kobiet, snujących się po wszystkich działach.

Gabinet kosmetyczny. Młoda kobieta na krześle, owinięta prześcieradłem. Włosy zakręcone w loki i ujęte w kleszcze elektrycznego aparatu wiecznej ondulacji.

Sklep jubilerski. Wystawa zarzucona biżuterją.

18.

Policjant zatrzymuje pędzące auto.

W przystani robotnicy ładują banany na pokład okrętu. Na wyższym pokładzie ostatnie pożegnanie pasażerów. Orkiestra zaprasza do salonu dancinowego.

19.

Dozorca uliczny zatyka drzewce flagi na fasadzie wysokiego gmachu.

Plac golfowy. Otyły jegomość rozpoczyna grę, przygląda mu się jasnowłosy młodzieniec i uśmiecha się ironicznie.

Plac zabaw dziecięcych w dużym mieście. Drewniane kółka, piłki, krokiet. Tysiące dzieci. Mała dziewczynka usypia do snu lalkę.

W eleganckim salonie podają herbatę. Gospodyni bawi gości rozmową. Młode niewiasty, zebrane dookoła okrągłego stołu, śmieją się wesoło.

Obóz dzikiego plemienia Indjan. Półnagie dzieci. Zamieszanie.

W wagonie pocztowym urzędnik sortuje listy.

Na stacji telefonicznej telefonistki przy pracy.

Wnętrze laboratorium. Setki klatek z białymi myszkami.

20.

Kolej podziemna wyjeżdża z Brooklynu. Przez okna wagonów widać zaludnione ulice.

Zmęczony koń ciężarowy wchodzi do stajni.

Głośne syreny okrętowe. Statek zawija do przystani.

Jakieś ręce przykrywają futerałami maszyny do pisania. Pióra wyjęte z kałamarzy, zamknięte księgi buchalteryjne.

Przypudrowane noski kobiece, zapalone papierosy, białe ręce zdejmują z wieszadeł kapelusze.

Robotnicy wychodzą z fabryk.

Rzut oka na przepelniony przedział kolei podziemnej.

21.

Przygotowana kolacja.

Stół nakryty białym obrusem.

Przystanek kolei podziemnej. Kobiety i dzieci stoją na chodniku, nie mogąc przedostać się na przeciwną stronę ulicy. Z wagonów kolejowych wysypuje się tłum pasażerów. Powitania, pocałunki. Upominki przywiezione do domu. Dla dziecka błyszcząca zabawka.

Na wiejskim podwórzu parobek myje ręce przy studni. Młoda dziewczyna stoi tuż przy nim i uśmiecha się wesoło.

Na jednej z plantacyj południowych murzyn gra na gitarze i pali fajkę.

Kobiety wychylają się z okien swych mieszkań, czekając na mężów, powracających do domu. Starszy mężczyzna bez marynarki, z fajką w ustach, uważnie czyta gazetę. Młoda matka przygotowuje posiłek wieczorny, dzieci otaczają ją dokoła.

Na przedmieściu młody mężczyzna podlewa kwiaty w ogródku, pomaga mu gromadka dzieci. Na progu domku ukazuje się kobieta, wołająca na kolację. Męż-

czyzna ujmuje dzieci za rączki i wprowadza je do wnętrza domu.

22.

Młoda dziewczyna nakrywa do stołu. Matka przynosi z kuchni półmiski. W innym domu, gdzie matka umarła, ojciec otwiera puszkę konserw i karmi niemi kilkoro dzieci, siedzących dokoła stołu. W lokalu klubowym początek dancingu. Wnętrze wiejskiej oberży. Przed oberżą przy długim drewnianym stole kilku parobków, zjadających z apetytem. Młoda kobieta wnosi z kuchni dymiące półmiski. W eleganckiej sali restauracyjnej wytworny kelner nakrywa do stołu. Przy jednym ze stolików samotny mężczyzna o znudzonej twarzy.

W małym pokoiku dwie młode dziewczyny ogrzewają kolację na elektrycznej maszynce. W domu starego farmera odprawia się wieczorne modły.

23.

W całej Ameryce ludzie zażywają po wieczery zasłużonego odpoczynku. Siadają na schodach przed domami, spacerują po ogrodach, palą cygara i fajki, a twarze wszystkich rozjaśnia bez troski uśmiech. Nastawiony aparat radjowy. Stary pastor przekręca cewkę na muzykę taneczną. W obszernym mieszkaniu kilka roztańczonych par. Mały murzynek tańczy charlestona. W przedziale wagonu pulmanowskiego podróżni opowiadają dowcipne anegdoty i śmieją się wesoło.

Młoda dziewczyna robi wieczorną toaletę. Całe ciało naciera wodą kolońską, zerkając przytem ku drzwiom, czy nikt nie widzi.

Maszyniści kolejowi grają w pokera.

W obszernym salonie zebrali się goście przy czarnej kawie. Rozstawiono stoliki do kart.

Broadway. Fala ludzi, spacerujących we wszystkich kierunkach. Wystawa sklepu radjowego. Tłumy gapiów.

Uliczny sprzedawca sprzedaje srebrne zegarki po ćwierć dolara.

Audycja dziecięca przez radjo. Dzieci z całej wsi zebrane przy głośniku radjowym.

W jakiejś sklepowej wystawie sprytny kupiec pokazuje składane noże, widelce i brzytwy. Dziewczeta, żując gumę, przyglądają mu się z zaciekawieniem.

Mały chłopiec gra na trąbce. Ojciec zdejmuje marynarkę i wygląda przez okno. Młodsza siostra wybiega na schody. wołając: On jest tutaj. Starsza siostra pudruje zawzięcie twarz i zbiega po schodach, tupiąc obcasami.

Tłumy ludzi przed gmachem kina.

Mała dziewczynka w nocnej koszulce kładzie się do łóżeczka. Matka całuje ją na dobranoc, otula kołdrą i wychodzi z pokoju, zostawiając drzwi uchylone.

Przed teatrem zatrzymują się auta.

Młodzieńcy stoją przed jakimś sklepem i kokietują przechodzącą dziewczętą.

W sypialnych wagonach konduktorzy ścielą łóżka.

W małym miasteczku północnem niewielka rodzina siedzi przy kominku.

W polskiej kolonii robotnik gra na harmonji, syn jego na organkach.

W sali operowej orkiestra skończyła uwerturę. Podnoszą kurtynę.

24.

Słońce zachodzi.

Kury siadają na grzędach.

W ciemnej sali kina młoda para trzyma się mocno za ręce.

Cztery stare panny grają w bridge'a.

Dwie dziewczyny idą ulicą, zerkając w stronę przejeżdżającego auta. Auto się zatrzymuje, dziewczęta wsiadają. Jedna zajmuje miejsce przy kierowcy, druga na tylnym siedzeniu.

25.

Zapada zmrok.

Na pustej wiejskiej ulicy zatrzymuje się auto. Młody chłopak otacza ramieniem dziewczynę, ona go odpycha.

Lokal dancingowy w wielkim mieście.

Na zacisznej farmie gaszą światła, udając się na spoczynek.

Policjant zatrzymuje na ulicy dwie rozbawione dziewczyny.

Światła Broadway'u, tłum przechodniów na State Street w Chicago. Wielkie reklamy świetlne.

26.

Chłopiec z dziewczyną prowadzą ożywioną rozmowę.

Piąta Avenue. Oświetlone okna wystawowe, tłumy spacerowiczów.

Na cichych wsiach powoli gasną światelka.

Chłopiec i dziewczyna wychodzą z kinematografu, kierując się w stronę nocnego lokalu.

Taras hotelowy. Orkiestra. Tańczące pary.

W obszernej limuzynie całująca się para. Chłopiec z dziewczyną siedzą na miękkiej kanapce i całują się gorąco.

Małe podwórze, oświetlone promieniami księżyca. Miauczące koty.

Potężny okręt wyrusza na morze. Między przystanią i okrętem różnokolorowe zwoje konfetti. Na pokładzie kobiety w wieczorowych strojach powiewają chustkami. Jedna z kobiet płacze.

27.

Chłopiec i dziewczyna spacerują przy księżycu, trzymając się za ręce.

Dokoła rozpalonego ogniska siedzą cowboye. W oddali rżą pasące się konie.

Uśpiona chata wieśniacza. Od czasu do czasu ponure poszczekiwanie psa.

Pusty korytarz w wagonie sypialnym. Zasłonięte okna.

Na ciemnych schodach dziewczyna zarzuca chłopcu ręce na szyję i przykładą usta do jego ust.

Wnętrze nocnego klubu. Wir tańca. Pijani mężczyźni. Roześmiane kobiety.

Na ulicach powoli gasną latarnie.

Mały łaciaty kotek drapie do drzwi mieszkania.

Kilku młodzieńców wraca do domu z nocnej libacji.

Nocny dozorca miarowym krokiem obchodzi swój rejon.

Znowu szczyty górskie, pokryte wiecznym śniegiem.

Fale morskie uderzają o skalisty brzeg. Światło księżyca powoli przygasa.

VI

SPEAKEASY

„Proszę o jedną szkocką i kufel piwa“, rzekł Jim. „A co dla pani?“ zwrócił się do Heleny. Nie czekając na jej odpowiedź, zamówił: „Proszę nam dać dwie szkockie i dwa kufle piwa“.

„Bardzo tu miło“, zauważyła Helena.

„Owszem, miło. Zobaczy pani, jak przyjdzie więcej ludzi“.

Siedział w kapeluszu na głowie, wyciągnął przed siebie nogi i zapalił papierosa. Helena także paliła. W pewnej chwili chciała położyć rękawiczki i torebkę na stole, ale Jim powstrzymał ją i zawołał:

„Andy, proszę przynieść jakiś gałgan“. Andy odpowiedział: „W tej chwili“, postawił na sąsiednim stoliku napoje, wytarł stół i ustawił szklanki. Jim wyjął banknot pięciodolarowy, otrzymał reszty trzy dolary, drobną monetę dał Andy'emu i rzekł: „Nastawić fortepian“.

Od strony baru powiał zapach piwa i głośnie śmiechy. „Kilka kanapek“, rozkazał Jim. Andy podszedł do bufetu, oni zostali sami. Jim spojrzał na Helenę, uścisnął jej dłoń i rzekł: „Napijemy się“.

Fortepian zaczął grać jakąś melodję. „Zazwyczaj tu się tańczy“, objaśniał Jim. „Przeważnie bywa dużo ludzi u Paddy'ego. Często dochodzi do rękoczy-

nów. Jest to najprzyjemniejszy lokal w New Yorku. Trzeba tu być na wszystko przygotowanym."

"Ale niech się pani nie boi," ciągnął po chwili. „Bardzo dużo kobiet tu przychodzi. Napewno nic złego się nie stanie. Ogromnie lubię ten lokal."

"Ja się wcale nie boję," odparła. „Sama się umiem bronić. Proszę się o mnie nie troszczyć".

"Nie kłóćmy się, dobrze? Spędźmy ten wieczór w zgodzie. Proszę udawać, że mnie pani lubi, rozumie pani? Będziemy pili, potem potańczymy trochę, a jak zechce pani pójść do domu, proszę mi natychmiast o tem powiedzieć. Nie zostaniemy ani chwili dłużej".

"Dobrze", skinęła główką. „Wypijemy?"

Wypili i spojrzeli na siebie. Jim nie chciał pić piwa, więc zawołał: „Andy."

Andy przybiegł z kanapkami. „Napełnić szklanki," rozkazał Jim. „Dużo ludzi było wczoraj, Andy?"

"Tak", odparł Andy. „W niedzielę zawsze bywa więcej osób. Wróciłem do domu dopiero o ósmej rano. W dzień nie mogłem spać, za gorąco było. Ani na chwilę nie usnąłem".

"To niedobrze", uśmiechnął się Jim. „Napijemy się, Andy?"

"Ja nie piję", rzekł Andy, „poproszę o cygaro".

"Dobrze. Proszę wrzucić jeszcze dziesięć centów do fortepianu. Zatańczymy", zwrócił się do Heleny.

Wstali. Przysunęli krzesła do stolika. Stali tak blisko siebie, że Jim uczuwał wypukłość jej piersi i brzucha. Kolano jego znalazło się między jej kolanami. Zaczęli tańczyć.

"Szalenie lubię tańczyć," rzekła Helena, odwracając się nieco od niego. „Niech mi pan pozwoli odetchnąć".

"Niech i tak będzie. Jak pani chce. Jak się pani podoba". Był ogromnie zdenerwowany. „Może wcale nie będziemy tańczyć? Usiądziemy i napijemy się. Zobaczysz pani, niech tylko więcej ludzi przyjdzie. Zobaczysz pani te kobiety, ich zachowanie. Andy! Ten bękart zupełnie stracił głowę. Proszę nam podać coś do picia".

Zadzwieczał dzwonek u drzwi. Andy postawił napełnione szklanki i z obojętną twarzą poszedł otworzyć.

"Gdzie tu jest damska toaleta?" zapytała Helena. Jim wskazał jej kierunek, a gdy odeszła od stolika, wychylił obydwie napełnione szklanki.

Wszedł Paddy, nie powitał jednak Jima, tylko zatrzymał się u drzwi, przepuszczając jakiegoś jegomościa w towarzystwie dwóch kobiet. Jegomość był stary, niski i żółty na twarzy. W butonierce sterczał mu zwiędły kwiat, a na wydatnym nosie okulary. Kobiety były dość tęgie, obydwie blondynki, w dużych czarnych kapeluszach. Stary jegomość musiał być jakąś ważną osobistością, bo Paddy nadskakiwał mu usłużnie, nie wołając nawet Andy'ego.

"Andy!" zawołał półgłosem Jim. Andy podszedł do stolika. „Któż to taki?" Andy odparł: „To senator Parker. Wielka ryba w Albanji".

"Tak? Proszę nam przynieść jeszcze dwie szklanki. Ale zaraz".

Helena wróciła, biegł za nią duży kot z ogonem podniesionym w górę. Jedna z dam, siedząca w towarzystwie senatora Parkera, rzekła: „Och, spójrzcie, jaki piękny kot. Kici, kici, kici. Chodź tutaj, koteczku". Kot nie zwracał na nią uwagi i począł łąsić się do Jima. Jim podniósł go z ziemi, posadził na kolanie i głaskał lśniąca jego szyję. Kot wyprężył się i począł głośno

mruczeć. Dama spojrzała na Jima i poczęła wołać znowu: „Kici, kici, kici”.

„Niech mi go pan da”, prosiła Helena. „Śliczny kotek. Milutkie kociątko”.

„Ale niech go pani nie puszcza”, rzekł Jim.

„Nie”, odparła Helena, spoglądając ku damie w dużym czarnym kapeluszu.

Druga dama roześmiała się głośno. „Ten kot cie nie lubi”, rzekła do swej przyjaciółki tak głośno, aby Jim i Helena mogli dosłyszeć.

Helena położyła kota na kolanach i zaczęła go głaskać. Kot mruczał coraz głośniej.

„Niczem maszyna parowa”, uśmiechnęła się.

„Widocznie nie wszystkich lubi”, wyjaśniał Jim. „Samodzielne kocisko. Nie uczyni tego, na co nie ma ochoty”.

Paddy usiał przy stoliku senatora Parkera i począł z nim rozmawiać. Sam nie pił zupełnie. Obydwie damy paliły papierosy i spoglądały na stojące szklanki na stoliku. Znowu zadzwieczał dzwonek. Kot zeskoczył z kolan Heleny i pobiegł ku drzwiom. Jasnowłosa dama wstała, usiłując go schwytać.

„Paskudne stworzenie”, zawołała. „Podrapał mnie. Idź do licha. Widzi pan, senatorze, jak mnie podrapał?”

Senator ciągle jeszcze rozmawiał z Paddy'm. Kot cichaczem wysunął się z sali. Otwarto drzwi i na progu ukazał się mężczyzna w towarzystwie kobiety. Nie mogli się zdecydować na żaden stolik. Rozglądali się po sali, czekając, aż Andy wybierze im odpowiednie miejsce. Widocznie przyjechali z prowincji i u Paddy'ego byli po raz pierwszy. Kobieta mogła mieć około czterdziestki; przechodząc przez salę, uśmiechnęła się do

Heleny. Helena odwzajemniła się uśmiechem. Przybysze usiedli.

W sali bufetowej ktoś śpiewał głośno, ktoś inny począł krzyczeć. Wszystko zagłuszył podniesiony głos bufetowego: „Proszę się uspokoić. W sąsiedniej sali są damy”. Jakiś pijak zawołał: „Bardzo lubię damy. Nigdy nie powiem na nie złego słowa. Gdzie są damy? Proszę mnie do nich zaprowadzić”.

Paddy podniósł się z miejsca. „Przepraszam, panie senatorze. Panie wybaczą”. Wszedł do sali bufetowej.

„Cudowny lokal”, rzekł Jim. „Nadzwyczajny lokal. Najlepsze trunki w całej dzielnicy. Doskonale znam Paddy'ego. Świetnie prowadzi interes. Ten napój pani nie smakuje?”

„Owszem, bardzo, i sam lokal mi się podoba. Ogromnie tu miło”.

„Andy”, zawołał Jim, a obie damy spojrzały nań w tej chwili. Odwrócił się także senator i para z prowincji, siedząca opodal. „Jeszcze raz to samo, Andy”, rzekł Jim, nie patrząc na nikogo.

Z hallu dobiegły rozbawione głosy i tłum gości wtargnął do środka. „Skąd ja znam tego jegomościa?” zastanawiał się Jim. „Ta twarz wydaje mi się dziwnie znajoma”. Spojrzał przybyszowi prosto w twarz, lecz tamten nie zwracał nań uwagi. Rozmawiał właśnie w tej chwili i szczypał ukradkiem młodą dziewczynę, która chichotała głośno.

„Bardzo sympatycznie wygląda”, zauważyła Helena.

„Znam go skądś, ale nie wiem skąd. Znam go nawet dobrze”.

„Jezus Chrystus”, zawołał nagle jegomość. „Prze-

cież to Jim Cowan. Gdzieście się kryli przez cały czas, Jim? Chodźcie, zapoznam was. Ta dama jest z wami?"

„Tak“, odparł Jim. Któż to jest u diabła? „Heleno, pozwoli pani przedstawić sobie mego przyjaciela. . .“ W tej samej chwili któraś z chichoczących dziewcząt zawołała: „Eddie, Eddie, chodźno tutaj“. Tak, to jest Eddie Mitchell. Jim chwycił Eddie'go za rękę. „Eddie Mitchell, na miłość boską!“

„Zgadza się“. Eddie wybuchnął śmiechem. „Eddie Mitchell. Nigdybym nie przypuszczał, żeście już o mnie zapomnieli“.

„Heleno, to jest Eddie Mitchell. Morowy chłopak. Zaraz pani coś o nim opowiem“.

„Już on pani potem opowie. Chodźcie, przysiądźcie się do nas“.

Podeszli do towarzystwa. Zsunęto razem trzy stołki, postarano się o więcej krzeseł. Paddy przybiegł powitać towarzystwo, Andy latał jak oszalały. Senator i obydwie damy przyglądali się ze zdziwieniem wesołej gromadce. Para z prowincji także zerkała w tę stronę, jakby coraz bardziej chciała się przyłączyć do wesołego towarzystwa. Puszczono w ruch fortepian. Jedna z par zaczęła tańczyć. Tancerz objął silnie tancerkę, a ona podczas tańca nie przestawała palić papierosa.

„Moi państwo“, zawołał Eddie Mitchell, „to jest Jim Cowan i jego przyjaciółka. Obydwaj z Jimem Cowanem usiłowaliśmy pewnej nocy zakatrupić policjanta. Prawda, Jim? Próbowaliśmy unieszkodliwić całą policję w New Yorku. Tylko ja potem straciłem przytomność i co później robiłem, Jim?“

Helena patrzyła na Eddie'go z otwartymi ustami i gdy wszyscy siadali, usadowiła się tuż przy nim. Zaczęli ze sobą rozmawiać. Jim odszedł na chwilę, aby

napęłnić opróżnione do połowy szklanki i przynieść je zpowrotem do stołu. Spojrzał na Helenę (Uważaj, mała), pomyślał, że jest zajęta i sam wypróżnił obydwie szklanki. Zapalił papierosa. Gdy szklanki znowu napelniono, wypróżnił szybko swoją i nagle opanowała go pasja.

Eddie Mitchell, to morowy chłopak, do wypitki i do wybitki, ale za bardzo podoba się dziewczętom, nie mogą się opanować, gdy go zobaczą. W „Paradise“ panuje zupełnie inny porządek. Jeden rozmawia z drugim, a jeżeli któraś dziewczyna jest specjalnie uprzejma dla chłopca, to się mówi, że tamten ma szansę. Tutaj jednak był lokal Paddy'ego, a nie Paradise. Tutaj każdy zręczniejszy potrafi sprzątnąć dziewczynę z przed nosa.

„Heleno“, zawołał, ale ona go nie słyszała, tak była zajęta rozmową z Eddie'm.

Jedna z dam, siedząca w towarzystwie senatora, zatoneła na chwilę wzrokiem w błyszczących oczach Jima i zdawało się nawet, że skinęła głową w jego stronę. Mógł podejść i poprosić ją do tańca, ale lękał się, że mu odmówi, bo przecież była w towarzystwie senatora. Kilkakrotnie ukradkiem zerkał w jej stronę. Teraz nie patrzyła nań, ale po chwili znowu odwróciła głowę i spojrzenia ich się spotkały. Jim powstał, przeszedł dookoła stołu, lecz w tej chwili dama znowu skierowała spojrzenie w inną stronę. (Widocznie tylko żartowała). Z bijącym sercem zawrócił znowu i przystanął przed jedną z dziewcząt, siedzącą w gronie znajomych Eddie'go. Skłonił się i zapytał: „Zatańczy pani?“

„Naturalnie“, odparła dziewczyna, poczem wychy-

liła szklankę do dna, podniosła się i położyła mu dłoń na ramieniu. Zaczęli tańczyć.

Mała djablica była w gorsecie, to też Jim nie uczuwał żadnej przyjemności. Całym ciałem opierała się na nim, ale on ciągle czuł tylko twarde fiszbiny gorsetu. W pewnej chwili podniosła głowę, uśmiechnęła się i rzekła: „świetnie pan tańczy”. Wszystko to nie miało jednak żadnego znaczenia.

Znowu zerknął w stronę stołu senatora, ale dama w czarnym kapeluszu zajęta była rozmową. Helena i Eddie gawędzili dalej. Elektryczny fortepian nie przestawał grać. „Czy Eddie nie jest miły?” zagadnęła mała djablica. „Tak”, odparł Jim. Miły. Nawet za bardzo miły.

Fortepian umilkł, a on podziękowawszy dziewczynie, przeszedł do sali bufetowej. Przy bufecie było tłoczno i trudno było przedrzeć się przez oblegający tłum. Przy małych bocznych stolikach rozmawiano głośno. Jim zaczął się mimowoli przysłuchiwać.

„Właściwie nie posiada żadnej sławy. Nie ma wyrobionej marki. W tej chwili można wejść, za chwilę wyjść i nic człowiek nie straci”.

„Tak, dużo techniki, scenerji i dzieci, to wszystko”.

Jakiś pijany młodzieniec potrząsnął głową i rzekł głośno:

„Wam zawsze potrzebna sława. Nie możecie oglądać filmu, jeżeli nie pokażą wam jegomościa, wciągającego dziewczynę przemocą do łóżka. Potem musi się ukazać jakiś bohater, dziewczynę wyratować i koniec. Zdjęcia z natury, dzięki którym poznajecie własny kraj, nie mają żadnego znaczenia dla was...”

„Widziałem to dzisiaj”, wmieszał się Jim do rozmowy. „Właśnie dzisiaj wieczorem widziałem i nic z te-

go wszystkiego nie rozumiem. Jakie to ma właściwie znaczenie?”

„O Boże”, zawołał pijany, poczem wsparł głowę na stole i zasnął.

„Taki film nie poucza”, zwrócił się Jim do jegomościa, który trzymał w ręku kufel piwa.

„Nie widziałem go”, odparł jegomość i odszedł od stołu. Przy stole został tylko śpiący pijak. Jim podszedł do bocznego bufetu z kanapkami, wziął kawałek chleba, położył na nim gruby plaster kielbasy i kromkę sera, przyłożył to drugim kawałkiem chleba i zaczął zjadać z apetytem. W pewnej chwili zbliżył się doń jakiś marynarz. „Gdzie tu jest pismoir?” zapytał. Jim wskazał w milczeniu. „Dziękuję”, rzekł marynarz i oddalił się we wskazanym kierunku. Jakiś jegomość o wybitnie angielskim akcencie, prawdopodobnie aktor, opowiadał o czymś małym, otyłemu mężczyźnie, podnosząc wskazujący palec ku górze. Trzej szoferzy pili w kącie piwo. Jeden z nich wytarł usta rękawem, strzepnął okruszyny z kamizelki i rzekł: „Idę na stację, dowidzenia”. Mały japoński posługacz zamiatał podłogę, przesuwając się zręcznie między nogami pijanych gości. Andy krąjał ser w cienkie plasterki. „Proszę osiem kufli piwa”, zawołał jakiś głos.

Jim zaczął się przedzierać przez tłum w stronę bufetu. „Przepraszam”, wołał. „Pan wybaczy”. „Pardon”. „Proszę się usunąć”. Nareszcie wysiłek jego odniósł skutek. Bufetowy poznał go od razu i uśmiechnął się na powitanie. „Niech mi pan da jedną szkocką i kufel piwa”, rzekł Jim. Dostał szkocką, wypił, położył na bufecie banknot dolarowy, otrzymał reszty pięćdziesiąt centów, a nie chcąc pić piwa, począł się przedzierać zpowrotem przez tłum.

„Hallo, Jim“, zawołał Paddy.

„Hallo, Paddy. Dużo macie gości dzisiaj. Cały lokal przepełniony, co? Dobry interes!“

Paddy nie słuchał, bo wchodził właśnie za bufet. Był teraz stanowczo zbyt wyniosły. Jeszcze sześć miesięcy temu był tylko właścicielem małego Speakeasy i uczuwał śmiertelny lęk, gdy ktoś zadzwonił. Teraz drzwi lokalu Paddy'ego stały nocą otworem i każdy za pieniądze mógł dostać wódki. Monety dzwięczały wesoło, a powodzenie rosło. Wspólnikiem Paddy'ego był jakiś oficer policji, który z gośćmi nie miał nic wspólnego, tylko prowadził książki i brał łapówki. Paddy miał już samochód, a żona jego małe auto wyścigowe. Do lokalu nie przychodziła nigdy, spędzając całe wieczory w eleganckim hotelu na Piątej Avenue.

Jim będzie musiał sobie poszukać innego lokalu. Paddy przestał być sympatyczny, zresztą przychodzi tu za dużo ludzi. Za dużo obcych i dlatego Paddy nie raczy z nikim pogadać, z wyjątkiem takiego pasibrzucha, jak senator Parker.

Komu na tem zależy? Co komu z tego przyjdzie? Kim, u diabła, jest sam Paddy?

Przed rokiem jeszcze latał po Paradise z kilku dolarami w kieszeni, czyhał na frajerów, którzy mu fundowali. Porobił znajomości i otworzył sobie własny lokal. Z początku było źle i dlatego ustawił w sali bufetowej cały stos kanapek. Naogół mówiono: „Taka staromodna knajpa“. Ale Jim i jeszcze kilku młodych rozgłaszali po mieście: „Musicie pójść do Paddy'ego. Ma najlepsze trunki w całym New Yorku. To mój osobisty przyjaciel. Powiedzcie, że ja was przysłałem, a zobaczycie, jak się wami zajmie“. Wszyscy szli, i dzięki temu Paddy zrobił się taki ważny, że nawet znajomych

nie dostrzega. Myślałby kto, że przedtem był jakimś sławnym dyplomatą, a przecież był tylko prostym nędzarzem i sypiał nawet na ławkach Broadway'u.

Cóż to znaczy otworzyć Speakeasy? Wystarczało, że Paddy miał trochę gotówki i jakieś znajomości w policji. Najprzód wynajął małeńki lokal, przylegający do detalicznego sklepu, gdzie kręciło się mnóstwo ludzi, więc oczywiście policja nie zwracała na nikogo uwagi. Potem zawarł stosunki z dostawcami piwa i ginu. Zaraz rozgłosił między znajomymi: „Otwieram własny lokal. Przyjdźcie, usługa będzie pierwszorzędna“. Zaczęły napływać pieniądze, a za pieniędzmi kobiety, które u Paddy'ego czuły się o wiele swobodniej, niż u Olivera w „Paradise“. Zasadniczo już tak jest, że niewiasty obdarzają specjalną sympatią właścicieli potajemnych lokali, którzy bardzo często mogą im się na coś przydać. Wystarczało, żeby Paddy kiwnął tylko palcem, a mógł już mieć najelegantsze kobiety, nawet zupełnie rozebrane.

Jim wrócił do sali bufetowej i zmusił się do wypicia jeszcze jednej whisky. Potem powiedział sobie: „Pójdę do dam i nawymyślę Helenie. Jeżeli Eddie Mitchell będzie się stawiał, to nie rękę za siebie“. Z zaciśniętymi pięściami począł przedzierać się znowu przez tłum. W pewnej chwili Andy zastąpił mu drogę, za co otrzymał uczciwe szturchnięcie i odskoczył na bok. Wściekły przebiegł przez hall i zbliżył się do stołu, gdzie siedziało towarzystwo Eddie'ego Mitchella.

Sala była teraz przepełniona. Prawie wszystkie stoliki zsunięto razem i kolejno wznoszono toasty. Jedni pili, drudzy tańczyli. W pierwszej chwili nie dostrzegł Heleny i Eddie'ego, tylko dama, będąca w towarzystwie senatora, siedziała nieco na uboczu, trzy-

mając w ręku napelnioną szklankę. Spojrzenie jej poszybowało ku Jimowi. Ze zwycięskim uśmiechem podszedł do niej, a ona podniosła się i położyła mu dłoń na ramieniu. Przycisnął ją mocno do siebie i zaczęli tańczyć.

Całe jej ciało spoczywało teraz na nim tak, że czuł niemal szybkie krążenie krwi w jej żyłach. Obecnie był już zupełnie trzeźwy, głowę miał lekką i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co czyni. Było mu jednak dziwnie nieswojo. W chwili, gdy miał ją tak blisko siebie, osoba jej przestała go prawie zupełnie interesować. Odrzucił w tył głowę i poruszał się leniwie, jakby się starał zapomnieć o swej tancerce, która bezustannie patrzyła mu prosto w oczy.

Eddie i Helena także tańczyli. Ona coś mówiła. on śmiał się i kiwał potakująco głową. Mimo tak krótkiej znajomości, zdawali się już być bardzo zaprzyjaźnieni. Jim nie uczuwał ani cienia radości, choć trzymał w objęciach piękną blondynkę. Widząc jednak, jak tamci się z sobą bawią, chciał zaakcentować, że i on spędza czas doskonale. Posuwał się wolno po śliskiej posadzce, ocierając się ciałem o ciało tancerki. Ona oddychała głęboko i przytulała się doń coraz mocniej. Zdawało się, że się nigdy z sobą nie rozłączą. Na chwilę zapomniał zupełnie o Helenie i o Eddie'm, a nawet o swej tancerce i o tem wszystkim, co się wokoło niego działo.

Elektryczny fortepian przestał nagle grać. Ktoś powiedział: „Może się napijemy”. Blondynka wsparła się na ramieniu Jima z uśmiechem. „Jak się pani nazywa?” zapytał.

„Och”, odparła, „przyszłam w tamtem towarzystwie”.

„Wiem o tem. Może się czegoś napijemy? Jak pani na imię?”

„Anna”.

Zaprowadził ją na ubocze i usadowił tuż przy ścianie, a sam usiadł w ten sposób, aby ją odgradzić od reszty towarzystwa. Ujął jej białą dłoń. Rozradowanem spojrzeniem zawisła na jego twarzy, wargi rozchyliła nieco, że widział nawet koniec różowego jej języczka. Po chwili rzekła: „Nigdy jeszcze tak nie tańczyłam”. Znowu spojrzała nań, a on w tej chwili zapragnął, aby znaleźli się zupełnie sami, i aby mógł z nią robić, co tylko zechce.

Zapytała: „Gdzie jest pańska przyjaciółka, która przyszła tu z panem?”

„O, ona? Ona mnie strasznie nie lubi. Zabrałem ją tu z sobą, bo nie miałem nic lepszego do roboty. Zasadniczo ta osoba nic mnie nie obchodzi. Tańczy teraz z moim przyjacielem, Eddie Mitchellem”.

Puścił jej rękę i dotknął bioder. Usiłował unieść nieco suknię i zagłębić się dłonią dalej, lecz bał się wywołać z jej strony oburzenie. Gotowa jeszcze zostać go i wrócić do senatora. Pieścił przez suknię jej ciało, błędząc z wolna rozpalonemi rękami po miękkim jedwabiu.

„Pojechałaby pani na spacer?” zapytał. „Taksówką. Cudowna dzisiaj noc. Wzięlibyśmy otwarte auto i przejechalibyśmy się po parku, a potem...”

„Nie mogę”, odparła Anna. „Jestem w towarzystwie senatora i mojej siostry, która jest jego przyjaciółką. Senator mógłby się obrazić”.

Na progu ukazał się Andy.

„Na miłość boską, Andy, proszę nam przynieść

coś do picia. Za chwilę język przyschnie mi do podniebienia“.

„Już się robi“, zawołał Andy.

„Pozwoli pani odprowadzić się do domu?“ zapytał Jim. „Gdzie pani mieszka?“

„Nocuję u siostry. Wogóle nie mieszkam stale w New Yorku. Wolałabym, żeby pan dzisiaj wieczorem mnie nie odprowadzał. Może innym razem“.

Nie była wcale tęga, miała tylko drobne kości, powleczone pulchnym ciałem, które ugięło się pod każdym dotknięciem podczas tańca. Teraz była zupełnie inna, niż wówczas, gdy weszła na salę. Wyraz obojętności i wyniosłości zniknął zupełnie. Duże jej oczy śmiały się i błyszczały radością. Cała jej istota tchnęła rozkoszą i pragnieniem wyszukanych pieśczęt w miękkim, wygodnym łóżku.

Oczami wyobraźni widział, jak się rozbierała w hotelowym pokoju. Obserwował purpurowe jej usta i chętnieby przywarł do nich pożądliwymi wargami. Pragnął je zamknąć gorącym, upojnym pocałunkiem. Zatonął palcami w pulchnym jej ciele.

Głowa jej pochyliła się bliżej ku niemu, ale duży kapelusze zasłaniał jej oczy i nie mógł już ich teraz widzieć dokładnie. Pocałowali się ukradkiem, a ona w szale rozkoszy ugryzła go w wargę do krwi. W pierwszej chwili opanowała go wściekłość, szybko się jednak pohamował.

Andy przyniósł napoje. Patrząc wzajemnie na siebie, wypróżnili szklanki.

„Nie możesz pójść ze mną, Anno?“ zapytał Jim.

„Nie mogę. Uczyniłabym to chętnie, ale to się nie

da zrobić. Muszę wracać z siostrą do domu. Postaram się spotkać z tobą innym razem“.

„Kiedy?“ zapytał.

„Zadzwoń. Dam ci numer telefonu. Teraz muszę iść do siostry“.

Podniosła się i nie patrząc nań więcej, przeszła przez salę w kierunku stolika, przy którym siedziała siostra w towarzystwie senatora. Tamci oboje trzymali się za ręce. Gdy zajęła miejsce przy nich, siostra zaczęła jej coś szeptać do ucha, nie wypuszczając jednak z uścisku ręki senatora.

Jim czuł się znowu nieswojo. W głowie miał dziwny chaos, wstać nie mógł, a na krześle było mu dziwnie niewygodnie. W ustach czuwał nieprzyjemny smak alkoholu. Pogryzione wargi sprawiały mu dotkliwy ból.

„Tam jest nasz przyjaciel, James Cowan“, rzekł Eddie Mitchell, przestając tańczyć i obejmując Helenę ramieniem. „Pan Cowan jest szalenie smutny. Przyjaciółka go opuściła. Jest zupełnie sam i ogarnia go rozpacz“.

Eddie był pijany jak bela, a oczy Heleny zachodziły mgłą pożądania. Twarz miała siną i wargi rozchylone. W drżącej ręce trzymała napelnioną szklankę.

„Przestańcie już tańczyć“, rzekł Jim. „Trzeba wracać do domu“.

„Pan Cowan niechętnie na nas patrzy, dzieciństwo“, wyjaśniał Eddie Mitchell. „Mnie nie może znieść, a i ciebie już teraz nie lubi. Uczucie przyszło. Uważa, że jesteś nic nie warta“.

„Kto jest nic nie wart?“ zapytała Helena. „Kto powiedział, że jestem nic nie warta?“

„Tak“, rzekł Eddie Mitchell. „Kto powiedział, że

moja mała przyjaciółka jest nic nie warta? Potrafię od-
wzajemnić się sukinsynowi, który tak twierdzi”.

„Wynoście się stąd“, zawołał Jim głośnie. „Wy-
noście się natychmiast, póki jestem dobry. Gotów jestem
wyrządzić wam jakąś krzywdę“.

„Komu wyrządzi pan krzywdę, drogi panie?“ —za-
pytał Eddie, usuwając na bok Helenę.

Jim podniósł się z krzesła, stanął przed Eddie'm
i uderzył go kulakiem w piersi. Widocznie Eddie wy-
pił już dość przed przyjściem tutaj, bo chwilami tracił
zupełnie przytomność. Odwrócił się na pięcie i padł na
krzesło. Po chwili rzekł:

„I pomyśleć tylko, że to najserdeczniejszy przy-
jaciół mnie uderzył! Że uderzył mnie Jim Cowan! Mój
Boże! Upiłem się, a taki mnie bije. Mój Boże!“

Jim czuł się coraz gorzej i sam nie wiedział, co ma
robić. Podszedł do Eddie'ego.

„Nie chciałem cię uderzyć, Eddie. Wierzysz mi,
że uczyniłem to mimowoli? Naprawdę nie chciałem.
Nie uderzyłbym cię...“

„Kogo uderzył?“ zapytał Eddie, budząc się z chwi-
lowej drzemki. „Pan mnie uderzył? Pan i kto jeszcze?“
Podniósł w górę zaciśniętą pięść.

Nie dosięgnął jednak Jima, za bardzo był pijany.
Jim odszedł. Heleny znowu przy nim nie było. Nie
mógł z nią pomówić. Nikogo innego nie znał.

„Andy, proszę mi przynieść coś do picia“, rzekł.

„Niech pan się zbliży“, zawołała Anna. „Senator
prosi, żeby pan się do nas przysiadł. Opowiadałam
właśnie przed chwilą, że jest pan moim przyjacielem.
Poznaliśmy się w Filadelfji. Jak pan się nazywa?“

„Senatorze“, rzekła po chwili. „To jest pan Co-
wan, przyjaciel naszej rodziny“.

„Pan przyjechał z Filadelfji?“, zapytał senator.

„Nie, panie senatorze, mieszkam stale w New Yor-
ku. Przedtem mieszkałem w Filadelfji. Znam Annę
oddawna“. Zauważył w tej chwili, że powiedział mu
„panie senatorze“. Kimże u diabła jest senator?

Senator życzył sobie, żeby się przysiadł do stolika,
prawdopodobnie dlatego, aby mieć więcej swobody
w rozmowie z siostrą Anny. Wszystko w porządku. Se-
nator zapłaci za trunki i Pan Bóg raczy wiedzieć, dokąd
jeszcze dzisiaj los ich zagna.

Żaden senator nie ma prawa za niego płacić... „Pad-
dy“, zawołał Jim. Paddy zapytał: „Co takiego?“ „Dla
wszystkich to samo, Paddy, a dla mnie natychmiast jed-
ną szkocką i kufel piwa“.

„Pan się tutaj czuje, jak u siebie w domu“, za-
uważył senator.

Jim odpowiedział: „Jestem z Paddy'm w stosun-
kach“.

„Istotnie?“ zapytał senator.

Niech Paddy spróbuje zaprzeczyć, już on mu po-
każe!

Senator patrzył w oczy siostrze Anny i głaskał jej
rękę. Sam był prawie zupełnie pijany. Siostra Anny
pozwalała się głaskać, rozglądając się jednocześnie po
sali. Anna siedziała obok Jima i zachowywała się ogrom-
nie korekt.

W pewnej chwili Jim chciał ją objąć ramieniem
i przetańczyć jakieś tango, ale zaraz potem zapragnął
odejść od stolika, usiąść gdzieś w kącie i umrzeć w sa-
motności. Zachciało mu się zerwać z Anny ubranie, tu-
taj, przed oczami tylu ludzi, a jednocześnie nie chciałby
się narazić senatorowi.

Przykro mu było, że przysiadł się do stolika, bo

do póki senator tu siedział, nic nie można było zrobić. Przyniesiono szklanki, wszyscy opróżnili je do połowy i postawili znowu na stole.

Siostra Anny nie zwracała nań uwagi. Musiała się śmiertelnie nudzić. Anna spoglądała nań wymownie, jak gdyby chciała z nim zatańczyć, a tylko hamowała się ze względu na obecność senatora. Jim nagle zapragnął, żeby ktoś sprowadził tu Eddie'go, który siedział po przeciwległej stronie sali, prawie zupełnie nieprzytomny. Heleny nigdzie nie mógł dostrzec.

Sala była przepełniona. Stoliki znowu wysunięto na środek. Nie tańczono już teraz. Ludzie wychodzili i wchodziłi. Panował szalony hałas. Kobiety chichotały po kątach. Andy biegał z tacą od stolika do stolika. Paddy stał na progu, obserwując gości.

„Ależ tak, przecież to senator Parker“.

Senator był pijany, spojrzał na wchodzącego jegomościa, poznał go, więc uniósł się na krześle i rzekł:

„Przyszedłem tu z przyjaciółmi. Jesteśmy zaledwie od dziesięciu minut. Wstąpiliśmy na chwilę, aby się napić piwa“.

„Wszystko w porządku, senatorze“, rzekł jegomość. „Mnie tam wszystko jedno, dokąd pan chodzi. Byłoby mi bardzo nieprzyjemnie, gdyby redaktor dowiedział się, że jestem tutaj. Mam umówione spotkanie“.

„Niech pan siada“, zapraszał senator. „Napije się pan? Hej, chłopak“.

Jegomość usiadł obok Jima, uśmiechnął się i szepnął: „Porządny chłop z tego senatora. Ma u siebie w domu najlepsze gatunki likierów“.

„Ej, wy“, zawył Eddie Mitchell ze swego kąta, wskazując palcem Jima. „Wy. Och, wy“. Jim nie wie-

dział, co ma robić, ale Paddy podszedł szybko do Eddie'go, podniósł go z krzesła i wyprowadził za drzwi. Ramiona Eddie'go zwisały ku ziemi, gdy Paddy go wyprowadzał z sali.

„Pański przyjaciel?“ zapytał obcy jegomość. „Tak, trochę pijany“, odparł Jim. „Odrzu poznałem“, zauważył jegomość z uśmiechem.

Jim chciał dodać: I ja jestem pijany. Jestem pijany, jak bydło. Co pan ma przeciwko temu? Ale siedział przy stole senatora, więc nie wolno mu było mówić w ten sposób.

Dama z prowincji usiłowała teraz strącić nogą szklankę ze stołu. „Tak robi się w Binghamton“, tłumaczyła. Mężczyzna, który z nią siedział, rzekł: „To nieprawidłowo, Tessie. Nie robi się tak, tylko tak“. Ale nim jeszcze zdążył się zaprodukować, szklanka z brzękiem potoczyła się na ziemię. Dama z prowincji miała na sobie białe majtki i nakrochmaloną halkę. Wszyscy klasnęli w dłonie. „Niech żyje Binghamton! Niech żyje Tessie!“ Twarz damy oblała się rumieńcem. „Proszę mi dać inną szklankę. Pokażę państwu, jak się robi u nas w Binghamton“.

„W New Yorku nie używamy szklanek, gdy chcemy pokazać nogi“, odezwał się głos jakiejś dziewczyny. Była to Helena. „Patrzcie, patrzcie!“ Podniosła nogę w górę i dotknęła stopą głowy. Nie miała na sobie majtek. Inna dziewczyna zawołała: „Teraz ja pokażę“, „Nie, ja“. „Tylko jeden raz“.

„Macie tu świetne pokazy w tym lokalu, senatorze“, rzekł obcy jegomość.

Siostra Anny wtrąciła: „U nas, w Filadelfji panny się tak nie zachowują“.

„Oczywiście“, odparł jegomość. „Ktoby w Fila-

delfji na coś podobnego pozwolił? Albo w Bostonie“, ciągnął po chwili dalej. „Dzisiaj w Bostonie toby się stać nie mogło, prawda, senatorze?“

„Nie,“ odparł senator. „Dzisiaj bezwarunkowo nie“. Senator był bardzo pijany.

„Dzisiaj w Bostonie odbywa się coś lepszego“, rzekł jegomość. „Prawda, senatorze?“

„Niechże pan powie“, rozkazała siostra Anny. „Co się dzisiaj w Bostonie odbywa?“

„Tak“, rzekł senator. „Niech pan nam opowie, co się ma stać dzisiaj w Bostonie“.

Jegomość zaczął się śmiać. Poklepał Jima po plecach i oparł dłonie na kolanach. „Niech mnie djabli porwą“, zawołał. „Państwo się chcą dowiedzieć, co się ma stać? Co to pana obchodzi, senatorze? Przecież to wszystko dzieje się nie w pańskim Stanie“.

Wszyscy spojrzeli na jegomościa, który w tej chwili przestał się śmiać i rzekł bardzo powoli:

„Zaraz państwu powiem. Dzisiaj w Bostonie mają być zamordowani dwaj ludzie“.

„Ach tak“, wybełkotał senator. „Od siedmiu lat byli już na to przygotowani. I tak żyli zbyt długo“.

„Naturalnie“, zauważył jegomość. „Panby nie miał nic przeciwko temu, gdyby ich powieszono nawet przed ukończeniem procesu“.

„W ten sposób proszę nie mówić“, zawołał senator i nagle się zakrztusił. „Nie, tego nie chciałem powiedzieć. Przecież to byli Czerwoni, prawda? Bolszewicy? Dla takich niema u nas miejsca“.

„Takich trzeba wieszać, prawda, senatorze? Wieszać, palić, usuwać z drogi. Mają inne poglądy, niż my i dlatego trzeba ich zabijać“.

Paddy stał obok i przysłuchiwał się rozmowie. W pewnej chwili wtrącił:

„Złamali prawo. Są winowajcami. Poco ich bronić? Cały świat nic na tem nie straci, jeżeli się skarże dwóch łotrów na śmierć“.

„Muszą służyć przykładem“, wyjaśniał senator. „Nie wolno takich ludzi wypuszczać na wolność. W naszym kraju to się nie pokaże“.

„Wytoczono im proces“, rzekł Paddy. „Sprawiedliwość udzieliła im wszelkich możliwych szans. Nie grano z nimi w zamknięte karty. Znam wielu uczciwych ludzi, których wykoleił jeden fałszywy krok. Napewno nie byli bardziej winni od tamtych“.

Jim także postanowił wtrącić się do rozmowy:

„Pewna moja znajoma została dzisiaj poturbowana na Union Square przez policję. Lekarz musiał jej zeszywać skórę na głowie. Stało się to podczas wiecu protestacyjnego w sprawie tych dwóch łotrów“.

„Postawiłbym armatę i rozstrzelałbym cały tłum“, zauważył Paddy. „Niechby mi dali kilku marynarzy i dwa działa do rozporządzenia, pokazałbym im, że wieców urządzić nie wolno“.

„Ja myślę“, odparł jegomość. „I pan senatorby się na to zdobył. Szmugler alkoholu i pijany senator“.

„Jeżeli się panu nie podoba, może pan stąd wyjść“, zawołał Paddy, podchodząc bliżej do jegomościa. „Ja pana nauczę...“

Senator podniósł się i patrzył na nich w przerażeniu. „Tylko bez kłótni“, zawołał, poczem zwrócił się do jegomościa:

„Zdenerwowany jest, i to wszystko. Nic złego nie myślał. Prawda, że pan nic złego nie myślał?“... zapy-

tał Paddy'ego. Przewrzenie jego wzrastało z każdą chwilą.

Jegomość wstał i rzekł ze śmiechem. „Potęga prasy. Ale prasa pańskiej potęgi nie potrzebuje. Prasa się nie boi utraty stanowiska. Bądź pan zdrow, senatorze. Zobaczmy się niedługo. Mam nadzieję, że do tej pory alkohol wywietrzeje panu z głowy”.

„Co za bezczelność“, zawołała siostra Anny. „Jak on śmie tak do pana mówić? Jaby się nie zdobyła na taką cierpliwość. Jaby mu pokazała”.

Senator nie rzekł ani słowa.

„Daj spokój, Flossie“, prosiła Anna. „On nie wie, co robi“. Senator usiłował się uśmiechnąć. „Nie troszcz się o rzeczy, których nie rozumiesz“, ciągnęła Anna dalej. „Przecież nie zajmujesz się polityką”.

„Ach tak“, oburzyła się Flossie. „Przyjechałaś z Filadelfji i chcesz tu mną rządzić, co? Zaczynam żałować, że cię zaprosiłam do siebie”.

„Mogę wyjechać“, odparła Anna, podnosząc się z krzesła. „Nawet teraz. Nie pozwolę sobie na podobne uwagi od nikogo, a tembardziej od ciebie”.

Jim wstał również. Pokój hotelowy, on i Anna. Anna się rozbiera. Anna naga leży w łóżku. „Chodźmy“ rzekł. „Odprowadzę panią, dokąd pani zechce”.

„Nie powinnaś się zaraz obrażać“, zawołała Flossie. „Nic złego nie myślałam. Nie zwracaj głowy. Siadaj i napij się czegoś. Jesteś przecież w New Yorku”.

„Niech pani siada“, rzekł senator. „Jeszcze bardzo wcześnie. Pójdziemy jeszcze dokądś. Ale się kłóć“, zwrócił się do Jima. Jim uśmiechnął się. „Istotnie“. Zerknął na senatora i usiadł znowu.

Dostrzegł wychodzącą Helenę. Szła w towarzystwie jakiegoś młodzieńca, otaczającego ją czule ra-

mieniem. Kapelusze trzymała w ręku. Dzięki Bogu, że się jej pozbył.

„Może się pan napije na mój koszt, senatorze?“ zapytał Paddy. „Postaram się poczęstować państwa najlepszym trunkiem, jaki posiadam. A co panie piją?“

Zamówili i Paddy zniknął z sali bufetowej. Senator ujął znowu dłoń Flossie, usiłując spojrzeć jej w oczy, gdy ona tymczasem wciąż unikała jego wzroku. Głowy ich zbliżyły się ku sobie i senator szepnął jej coś do ucha.

„Nie, Parkie“, odparła siostra Anny. „Nie dzisiaj“. Skinieniem głowy wskazała Annę, spoglądała na senatora i powtórzyła: „Dzisiaj nie“. Senator oparł się o poręcz krzesła i wkładał papierosa do cygarniczki. Siostra Anny podała mu ogień.

Jim trzymał pod stołem dłoń Anny i ścisnął ją mocno. Ona odwzajemniła mu się równie gorącym uściskiem. Od czasu do czasu obdarzała go spojrzeniem, a on w pewnej chwili położył rękę na jej biodrze. Suknia podsunęła się nieco w górę i przez przezroczyste pończochy widać było pulchne jej ciało. Jim zapragnął go dotknąć, uszczypnąć, wszystkie jego myśli kierowały się teraz w tę stronę. Oczy zasłzyły mu mgłą. Najprzód ujrzał dwoje nagich kolan, potem czworo i cały szereg kobiecych nóg, ginących gdzieś w nieskończoności. W głowie miał dziwny chaos, dzwoniły jakieś dzwoneczki i nie wiedział, co się z nim działo. Czuł się bardzo niedobrze. Chętnieby wstał i wyszedł trochę na świeże powietrze. Ale właściwie nie mógł tego zrobić. Pragnął Annę uszczypnąć, cośkolwiek z nią uczynić. Chciał wyjść, nie widzieć nikogo, położyć się gdziekolwiek w ciemnościach w spokoju, z zamkniętymi oczami. Chciał spać, tańczyć, krzyczeć.

Ten wieczór nigdy się chyba nie skończy. Znowu napełniono szklanki. Senator podnosi szklankę, przykładając do ust. Flossie nie chce już pić więcej. Anna dotyka ręki Jima. Paddy się śmieje. Jim nie chce pić. Nie wypije już ani kropki.

„Za pomyślność“, woła Paddy i wszyscy piją. Wódka jest dziwnie gorzka i kwaśna. „Dajcie mi piwa“, mówi Jim.

„Stoi przed panem“.

„Dobrze“.

Senator spogląda na Flossie. „Chodźcie, dziewczęta. Już dosyć tego“.

„Dokąd idziemy?“

„Chciałybyście potańczyć, prawda? Poszukamy jakiegoś lokalu“.

Jim nie wie właściwie, czy także jest zaproszony. Nie zależy mu na tym, aby pójść z nimi, ale chciałby, żeby go zaprosili. Nie powie ani słowa, tylko będzie siedział spokojnie, oni go napewno zaproszą. Boki go bolą, nie może oczu otworzyć, wie, że nie wstanie. Chciałby teraz leżeć w łóżku, pogrążony w głębokim śnie, a przecież musi iść z nimi.

Pojedzie do domu taksówką. O kolei podziemnej niema mowy. Nie może wsiąść, nie może dojść do dworca, może tylko jechać, leżąc na wygodnych poduszkach, potem szybko na schody, rozebrać się i pod kołdrę. Ach, żeby zasnąć...

„Tutaj, młodzieńcze“, monety brzęczą. Jim otwiera oczy.

„Andy, płacić“.

„Wszystko w porządku, mój panie“, mówi senator.

„Niech mi pan pozwoli zapłacić“, upiera się Jim.

„Już zapłacone“, wyjaśnia Andy.

Niech djabli porwą. Zamyka znowu oczy. Spać.

„Czy on idzie z nami?“

„Oczywiście, Flossie. Nie zaprosiliśmy go?“

„Ale on na tobie zaśnie. Ładne towarzystwo! Ktoś, kogo się nie zna i do tego pijany“.

„W każdym razie pójdzie z nami“, oświadcza Anna.

Anna to bardzo miła dziewczyna. Trzeba będzie coś dla niej zrobić. Kupić jej coś w upominku. Może bransoletkę. Platyna z djamencikami. Mały zegareczek, nie większy od ćwierć dolara. Anno, mam coś dla ciebie za to, żeś pierwszego wieczora była dla mnie taka miła.

„Powieм senatorowi, że go dzisiaj widzisz po raz pierwszy“.

„Zrób to, Flossie. Wtedy ja powiem, żeś pojechała z Teddy do Atlanticu“.

„No, dziewczęta. Gotowe?“

Jakaś dłoń dotyka ramienia Jima. Dziwnie mu trudno otworzyć oczy. Cichy głos:

„Pójdzie pan z nami?“

Wstaje i depta potłuczoną szklankę. W sali już niema takiego mnóstwa ludzi. Ciszej jest. Na podłodze leżą krzesła. Pod ścianami rozmawiają jacyś mężczyźni.

„Tak, idę“.

Postępuje kilka kroków naprzód, nie otwierając oczu.

„Tędy“, mówi Andy.

Jim spogląda nań. Rachunek wynosi dziewięć pięćdziesiąt. Wyjmuje pieniądze, daje Andy'emu jedno naście dolarów.

„Uprzejmie dziękuję“, mówi Andy.

„Dobrej nocy, senatorze. Dobrej nocy, szanownym paniom. Dowidzenia, Jim. Proszę odwiedzić mnie znowu“.

VII

W TAKSÓWCE

Auto, senatorze?

Tutaj, panie. Tak, panie, auto. Natychmiast. Auto. Auto. Auto.

Państwo tu zaczekają, a ja zawołam taksówkę. Tutaj, panie senatorze.

Już dobrze, chłopcze. Tu jest taksówka. Wszyscy wsiądziemy.

Pytam cię raz jeszcze, poco go bierzesz z sobą? On ci zaśnie. Dlaczego go tu nie zostawisz?

Och, przestań, nie troszcz się o moje sprawy. Mam szaloną ochotę ciebie tu zostawić. Nudzisz mnie, rozumiesz? Daj mi spokój i weź pod ramię swego Parkie'ego.

Wsiądź, skarbie. Niech twoja siostra także wsiądzie ze swoim przyjacielem. O tak, teraz w porządku.

Dzięki, panie senatorze. Dobrej nocy senatorowi.

Na Siódmą Avenue. Co panu jest, mój młody przyjacielu?

On się źle czuje. Za dużo lemoniady wypił. Jego filadelfijski żołądek nie może znieść takiej lemoniady. Zdałoby się trochę mleka.

Ha-ha-ha-ha.

Oj!

Hi-hi-hi-hi.

Oszalałaś chyba.

Ona mi zazdrości mego przyjaciela. Pan jej nie wystarcza, senatorze. Co się panu stało? Nie może być pan trochę uprzejmiejszy? W ten sposób się traktuje kobietę z Filadelfji?

Ha-ha-ha-ha.

Oj!

Już ja ci pokażę.

Mów głośniej. Senator dzisiaj trochę nie dosłyszysz. Przecież jesteśmy wszyscy razem. Niech djabli wezmą opinię, nie tracimy czasu. Hurra!

Przysuń się, Flossie. Podaj mi rękę, skarbie. Słodka, maleńka senatorska kochanko.

Już panu lepiej? Może otworzyć okno? Naprawdę dobrze się pan czuje? Proszę oprzeć głowę na mojem ramieniu. O tak.

Kochana, słodka Flossie. Przysuń się. Tak. Słodka Flossie, skarb senatora.

Ach, to djabelskie światło. Wybaczcie mi, moje panie, ale to światło. Dziś wieczorem miałem pecha i jeszcze dotychczas mnie nie opuszcza. Blask lamp nie przestaje mnie prześladować.

Flossie, czy kochasz senatora?

Flossie oszalała na pańskim punkcie. Flossie oszalała na punkcie wszystkich. Flossie jest djabelnie szczęśliwa. Flossie wskoczy do rzeki ze szczęścia.

Co się stało, skarbie? Co cię tak denerwuje? Przysuń się, maleńka...

Zabierz te swoje obrzydliwe ręce. Nie dotykaj mnie. Nie jestem twoim przedmiotem, z którym się można w ten sposób obchodzić. Potrafię się upomnieć o swoje prawa. Niech ci się nie zdaje, żeś mnie kupił.

Skarbie... Skarbie...

Nie jestem twoim przedmiotem. Powiedziałam ci

już: dzisiaj nie. Jak będę miała ochotę, to ci sama powiem. Zrozumiano?

Miła zakochana para. Słodka senatorska kochanka. Mój Boże, gdybym miała tak prowadzić życie, wołałabym się otruć.

Wysiadam. Proszę się zatrzymać.

Dobrze, proszę pani.

Ani minuty dłużej nie zostanę. Mam już tego dosyć. Myślisz, że mnie możesz traktować, jak pierwszą lepszą ulicznicę. Pozwól mi wysiąść.

Anno, niech ją pani trzyma. Ona jest pijana.

Ja ją trzymam. Niech ją pan weźmie pod rękę. Uspokój się.

Masz rację. Jestem pijana. Powiadam wam, dajcie mi wysiąść. Niech was djabli wezmą, dajcie mi wysiąść.

Może ja pomogę, łaskawa pani?

Nie, nie, wszystko w porządku.

O mój Boże, co ja mam robić? Co ja mam robić?

O mój Boże. Jezu Chryste! Boże Wszechmocny!

Cicho... Cicho...

Spójrzcie na tego pijanego bękarta, jak on leży. Powiedziałam, że zaśnie. Powiedziałam ci: jak jesteś ze mną, musisz się zachowywać spokojnie. Powiedziałam ci, że senator nie lubi awantur. Co ona robi? śmieje mi się prosto w twarz. Po raz pierwszy zabrałam ją z sobą, a już przyczepiła się do jakiegoś pijaka i wlecze go z nami. Niech pan spojrzy.

Gdybyś nie była pijana... Mój Boże, cóż ja złego robię?

Jezu, jak mi niedobrze. Pojadę do rygi. Puśćcie mnie. Och!

Nie na poduszki mojego auta. Proszę wysunąć głowę przez okno.

Nie na moją suknię. Pozwólcie jej wysiąść. Niech się wychyli przez okno.

Kochana Flossie będzie wymiotować. Słodka kochanka senatora wyrzyga się i będzie się czuła lepiej.

Nie krępuj się. Nikt nie patrzy.

O... O... O...

Panie wybaczą, że się wtrączę, ale siedzenia są całkiem nowe i bardzo drogie. Nie mogę przecież za każdym razem dawać nowego pokrycia, jak...

Już dobrze.

Przecież i państwo nie chcieliby wsiąść do taksówki, w której siedzenia byłyby zaplamione. Nie mogę dawać nowego pokrycia za każdym razem...

Czy pan prowadzi auto, czy pan dysputuje z pasażerami?

Panie wybaczą...

Jak się teraz czujesz?

Flossie usiądzie na kolanach senatora i już jej będzie lepiej. Tak, na kolanach senatora.

Niech pan uważa, żeby nie spadła. Niech pan ją mocno trzyma. Byłam pewna, że w New Yorku już nauczyła się pić.

Mogę prowadzić auto i mogę mówić zarazem. Jednocześnie mogę zwracać uwagę na siedzenia. Gdybym tego nie robił, byłbym złym szoferem.

Mówiłam, żeby wyrzucić tego durnia z auta. Nie lubię jechać z pijakami. Jestem z senatorem, bo mi to sprawia przyjemność. Jestem z moją siostrą, bo muszę. Ale nie chcę patrzeć na tego pijaka, którego się brzydzę.

Przecież on nie rzyga na każdego, jak ty.

Jak płacę taksówkę, mogę rzygać ile mi się podo-

ba. Mogę zarzygać wszystko. Taka głupia gęś, jak ty, nie powinna mi zwracać uwagi. Poco go taszczysz z sobą? Przecież on jest pijany, nie widzisz? Leży tam za twojami plecami.

Znowu to światło.

Pocałuj senatora, skarbie.

Nie chce mi się w tej chwili całować. Czyż nie mam własnych praw? Muszę cię koniecznie całować i wyprawiać z tobą najrozmaitsze historie, jeżeli nie mam do tego ochoty?

Ja cię tylko proszę...

Mówmy poważnie. Przecież ja do ciebie nie należę, prawda? Przecież nie kupiłeś mnie na własność. Oddaję ci się małymi dawkami. Dzisiaj nie mam chęci. Sklepy zamknięte. Jestem wolna i zupełnie obojętna.

Pocałuj go. Przestań gderać.

Wcale nie gderam. Upominam się tylko o swoje prawa. Ze mną tak łatwo nie idzie. Ja...

Jesteś pijana. Jutro będziesz żałować i napiszesz liścik. Słodki, mały Parkie. Przyjdź dzisiaj wieczorem. Flossie jest zupełnie sama.

Djabła napiszę.

Dokąd mam państwa zawieść?

Dosyć już tego. Ja chcę do domu.

Możesz chcieć. Pojedziemy dalej, prawda, Parkie?

Jak się czuje pani młody przyjaciel?

Zupełnie dobrze. Powietrze mu ulżyło. Zaraz się przebudzi.

Dobrze. Jedziemy do Tommy Murphy. Jedź pan dalej, powiem panu, gdzie mamy stanąć.

Dobrze. Kocham się w mojej Klarze, chętnie gram na jej gitarze. A kiedy mam jej dość, wnet przychodzi inny gość. Gdy wyrażam uczuć moc, sypia ze mną całą

noc. Znow się kocham w mojej Klarze i wraz z nią gram na gitarze.

Och, nie łechtaj mnie. Och, ja tego nie zniosę. Ha-ha-ha-ha.

Och, pocałuj mnie, pocałuj, moja Kiziulko.

— *Słuchajcie państwo, nie wytrzymam dłużej. Gdzie się mogę wyrzygać? Prędko.*

Cicho. Tutaj. Za moją suknią. Po tej stronie. Niech pan opuści głowę. Tylko nie na moje nogi. No, już.

Co mu się znowu stało?

Pilnuj swego Parkie. Nie wtrącaj się w moje sprawy.

Słyszysz pan?...

Och, przestań.

Chodź tutaj, skarbie, jeszcze raz pocałuj.

Już dobrze?

— *Tak, doskonale. Ulżyłem sobie. Myślałem, że nie dojdzie do tego. Państwo się kłócili, prawda?*

Cicho. Tak. Ona chciała pana wyrzucić. Niech pan teraz cicho mówi. Jak panu na imię?

— *Jim. Mój Boże, jaka pani miła.*

Nie. Nie teraz. Niech pan zaczeka. Później.

— *Oni nie zobaczą. Ona jest odwrócona do nas plecami. Zajęta jest senatorem. Boże, żebyś cię mógł mieć!*

Nie możesz mówić ciszej? Ona o tobie i tak nic nie wie. Ale ja się jej boję. Pragnę zostać w New Yorku, a matka nie pozwoli, jeżeli siostra będzie miała coś przeciwko temu.

— *Powiedz jej, żeby poszła do djabła. Przecież nie jesteś już dzieckiem, żebyś musiała się wszystkim opowiadać. Możesz jej powiedzieć, co o niej myślę.*

Cicho. Ona jest moją siostrą. Już dobrze. Dobrze. Wszystko...

— *Tak.*
 Wszystko... Rób dalej. Jeszcze. Och...
 Kiziulka, senatorze. Kiziulka, Parkie. Teraz Flossie
 tobie...
 Ta uliczka. Niech pan spojrzy.
 Przestań, on patrzy.
 — *Chodź na moje kolana. On nic nie zobaczy. Skąd
 wpadłaś na myśl, żeby mnie zabrać?*
 Podobałeś mi się. Jesteś niezadowolony?
 — *Ależ strasznie! Pocałuj mnie. Tak.*
 Gdzie się mam zatrzymać?
 Jedź pan jeszcze dalej.
 Gdzie tu jest światło? Gdzie moja torebka? Flos-
 sie, pożycz mi lusterka. Już się dobrze czujesz?
 Tak. Bardzo źle wyglądałam?
 Byłaś pijana. Chciałaś wszystkich powyrzucać.
 Hi-hi-hi-hi. Jak ty wyglądasz!
 Czekaaj, zaraz się poprawię.
 Dobry wieczór, szanowni państwo. Witam senato-
 ra. Państwo pozwolą do nas?
 Tak. Dużo tam ludzi?
 Jak zwykle. Zamówię dla państwa wygodny stolik.
 Jesteście gotowe?
 Niech pan zaczeka chwilę.
 — *Pan pozwoli, że ja zapłacę.*
 Ja płacę, mój przyjacielu.
 — *Nie, pan pozwoli mnie tym razem zapłacić.*
 Niech zapłaci. On ma więcej pieniędzy od ciebie.
 — *Nie, ja chcę zapłacić.*
 Młodzińcze, powiedziałem, że ja zapłacę.
 — *Panu nie wolno. Hej, panie szofer.*
 A co będzie z siedzeniami?
 Z jakimi siedzeniami?

Z temi, co je państwo zabrudzili.
 — *O czym pan mówi, u diabła?*
 Zaraz się pan dowie, o czym mówię. Proszę mi
 dać dwa dolary za zapaskudzone siedzenia, bo zawołam
 policjanta.
 — *Jak pan to robi, to my...*
 Ej, szofer, tu są dwa dolary.
 — *Posłuchaj pan, przyjacielu. Może pan mieć z se-
 natorem inne obrachunki, ale za taksówkę ja płacę. Myś-
 my poduszek nie zabrudzili. Pierwszy lepszy szofer...*
 Jim, chodź już. Zostaw to. Robisz nam tylko nie-
 przyjemności. Pozwól mu zapłacić. Stać go na to.
 — *Nie pozwolę, ja płacę taksówkę.*
 Nie płacisz. Jesteś naszym gościem, rozumiesz?
 Schowaj pieniądze.
 — *Teraz w porządku?*
 Tak, panie. Dziękuję panu. Dobrej nocy.
 Ten chłopak jest niemożliwy. Powinien być szcze-
 śliwy, żeśmy go zabrali.
 Milcz. Nie zwracaj na nią uwagi, Jim. Ona jest
 zdenerwowana.
 Tak? Zaczekaj trochę. Na schodach będzie wię-
 cej światła.
 Nie. Nie teraz. On zobaczy. O, nie.
 — *Pocałuj mnie prędko.*
 Cicho. Nie.
 •Dobry wieczór, panie senatorze. Dobry wieczór,
 łaskawe panie. Witamy.
 Usiądziemy w barze i napijemy się piwa. Tam bę-
 dzie przyjemniej. Nie zostaniemy tu długo. Panie Mur-
 phy, jesteśmy strasznie zmęczeni i chcemy się tylko na-
 pić piwa.
 Cztery piwa.

Cztery piwa.

Dobrze.

— Zatańczymy?

Nie, ja tańczę z senatorem. Zatańcz z Flossie i udobruchaj ją.

— Pani zatańczy?

Och, pan może tańczyć?

— Czy mogę? Spróbuję.

Pan nie powinien tego, co powiedziałam w aucie, brać na serjo. Strasznie się źle czułam. I senator...

— Niech się pani przysunie.

Czy ja tańczę tak dobrze, jak Anna?

— O Baby. Niech się pani pszysunie.

Nie powinien pan zwracać uwagi na to, co mówiłam w aucie. Musiałam tak mówić, bo senator był przy mnie. On jest strasznie zazdrosny. Nie lubi, jak jestem miła dla kogoś, kto jest w moim wieku.

— Mnie tam wszystko jedno. Pani jest miła i pani siostra jest miła.

Tak, ale ja jestem milsza. Pan sobie nie wyobraża, jaka umiem być miła. Czy tak?

— Niech się pani przysunie.

Co ty wyprawiasz z moim przyjacielem? Dlaczego nie trzymasz się swego senatora?

— Uwaga. Ja płacę. Niech diabli wezmą takie piwo. Chcemy się czegoś napić. Proszę przynieść cztery szkockie i piwo. Anno, zatańczymy?

Nie. Pan woli moją siostrę, prawda? Pan się z nią lepiej bawi.

— O, Anno, nie rób głupstw. Sama kazałaś się z nią zaprzyjaźnić.

Kazałam się zaprzyjaźnić, ale nie włączyć jej pod spódnicę.

— Chodź, Anno, zatańczymy. Słodka Anna. Miła Anna. Na twojej siostrze wcale mi nie zależy. Anno, chodź tańczyć.

Już dobrze. Ale patrz na mnie. Nie błądź oczami po sali.

— Anno, co ci się stało?

Nic.

— Anno, co ci się stało, u diabła?

Proszę mnie puścić.

— O Jezu. O Boże. Znowu to samo. Pani wyba-
czy. Bufetowy...

Ze mną będzie ci dobrze. Namysł się, dziecko. Mógłbym cię nawet pokochać. Gdybym nie miał żony, połączyłbym się z tobą na zawsze. A jak mi pozwolisz wejść do łóżka, nie pożałujesz tego, dziecino. Przysięgam ci to Hugo Smith. Zwykłem dotrzymywać obietnic. Nie obiecuję ci brylantów, bo nie mam na to pieniędzy, rozumiesz? Oboje o tem wiemy. Ale jakąś małą drobnostkę, tańszą od brylantów, co będziesz chciała. Będzie ci ze mną dobrze, dziecino, rozumiesz?

— Jedną szkocką.

I piwo?

— Do diabła z piwem. Proszę mi dać jedną szkocką.

Już dobrze. To jest szkocka. Niech się pan nie denerwuje.

— Wcale się nie denerwuję. Powiedziałem panu czego chcę.

Hugo, pan jest naprawdę aniołem, ale ja się nie mogę z panem umówić. Ojciec się gniewa. Powiada, że niema sensu spotykać się z żonatymi. Muszę się zastanowić. Ojciec mówi, że mu wszystko jedno, ale jak mi ktoś zrobi krzywdę, to powinien ją naprawić, a pan

przecież nie może, Hugo, bo pan jest żonaty. Rozumie pan?

Dziecino, nie słuchaj swoich starych. Ojciec nie ma o niczem pojęcia. Ma staroświeckie zasady. Stary jest już i dlatego tobie broni. Jestem pewien, że młodość miał bardzo burzliwą. Dziecino, ja ci znajdę posadę lepszą od tej, którą masz teraz. Nie kupię ci brylantów, ale dam ci wszystko, co będziesz chciała.

Nie, Hugo. Hugo, nie tutaj. Ludzie patrzą. Och, ja nie chcę.

— *Proszę mi dać jeszcze jedną szkocką.*

A ja mogę się czegoś napić?

— *Dla pani także jedną szkocką.*

Pan się na mnie gniewa, Jim?

Jim.

— *Co?*

Niech pan się na mnie nie gniewa, Jim. Widzi pan, Flossie ma wszystko, a jak ja tylko znajdę przyjaciela, to już tak robi, żeby ode mnie odszedł. Och, Jim...

— *Już dobrze, Anno. Niech pani wypije szkocką.*

Jim, niech się pan przysunie. Niech pan posłucha. Chcesz zostać moim przyjacielem, Jimmy? Nie często przyjeżdżam do New Yorku, ale postaram się teraz jak najczęściej. Mam posadę, chcę jednak przekonać siostrę, aby mnie zabrała na stałe do New Yorku. Flossie, to dobra dziewczyna, może się zgodzi. Będziesz mnie wtedy odwiedzał. Wyślę Flossie i będziemy zupełnie sami. Zgadzasz się, Jimmy?

— *Wypijmy Anno.*

Nie chcę pić. Niedobrze mi. Nienawidzę Filadelfji, nienawidzę Flossie, nienawidzę jej senatora. On jej daje sto pięćdziesiąt dolarów tygodniowo i pilnuje, żeby siedziała w domu, i żeby się kładła z nim do łóżka.

Flossie ma psie życie. Zakochana jest w jakimś bałwanie, z którym od czasu do czasu jeździ do Atlantu, jak senatora niema w New Yorku. Byłaby stracona, gdyby senator się dowiedział. Dlatego się upija, i robi awantury, a senator myśli, że szaleje za nim. Ona go nienawidzi, bo jest za stary...

— *Napijemy się czegoś, Anno. Hej, proszę nam dać dwie szkockie.*

Jim, potrzeba ci pieniędzy? Mam trochę z sobą. Mam dwieście dolarów. Mogę ci dać, Jim.

— *Jesteś pijana.*

Wcale nie jestem pijana. Powiedz tylko, że chcesz pieniędzy, a dostaniesz. Weź na wszelki wypadek. Masz. Schowaj.

— *Kto u diabła chce twoich pieniędzy? Schowaj je, pókim dobry.*

Chcesz zostać moim przyjacielem, Jim?

— *Tak, chcę być twoim przyjacielem. Będę dbał o ciebie.*

Pocałuj mnie, Jim. Tu, przy ludziach.

Para gołąbków. Chodź Parkie, wypijemy z gołąbkami.

Jak się pan czuje, młody przyjacielu?

— *Całkiem dobrze, a pan, senatorze? Wszyscy muszą wypić. Ja funduję. Hej! Pan usiadł na miejscu tej pani.*

To nie miejsce tej pani, tylko moje.

— *Niech pan wstanie.*

Co? Myśli pan, że mnie pan do tego zmusi?

— *Naturalnie. Proszę wstać. Prędko.*

Idź pan do diabła. Słyszane rzeczy...

SZLAG TRAFIŁ!

Niech mnie pan odwiezie do domu, Hugo. Niech

mnie pan odwiezie do domu, bo tracę przytomność. Hugo, jak przyjdzie policja, mój ojciec się o wszystkim dowie i wyrzuci mnie. Co ja wtedy pocznę? Hugo, ja chcę być porządną dziewczyną, nie chcę tego, bo ojciec się dowie. Och, Hugo, co ja pocznę?

To była wina tego jegomościa, panie Murphy. Zajął miejsce mojej siostry, a ten pan poprosił bardzo grzecznie, żeby wstał. Wtedy ten łotr powalił mego przyjaciela na ziemię, panie Murphy.

Murphy, proszę wyrzucić tego durnia. On sprowadzi nieszczęście. Nie chcę być zamieszany w jakiś skandal z policją.

Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, senatorze. On jest pijany.

Posłuchaj pan, siedziałem tam cicho, jak mysz pod miotłą. Niech pan mnie puści. Nie mówiłem ani słowa. To ten bałwan. Puśćcie mnie, póki jestem... On powiedział: „Wstań pan z mego miejsca“. Siedziałem tam i piłem piwo.

Panie, pan musi wyjść.

Co ja zrobiłem? Panie Murphy, nie powiedziałem nikomu marnego słowa. Ten idjota...

Proszę się nie upierać. Jest pan w moim lokalu, a ja nie chcę pana widzieć. Proszę wyjść spokojnie.

Djabli mnie nadali...

Mówiłam tobie i senatorowi, ale nikt mnie nie słucha. Jak idziesz z pijakiem, możesz się wszystkiego spodziewać.

Teraz jesteś taka wielka, a dziesięć minut temu przytulałaś się do niego. Gotowa byłaś zedrzeć z siebie suknię.

Milcz. Nie widzisz? Parkie.

Mam już tego dosyć. Mam już dosyć ciebie i twojego Parkie. Nie...

Pan musi wybaczyć, senatorze. I tak mam straszne zmartwienia. Codziennie oczekuję katastrofy. Jeszcze jedna taka awantura, a gotowi zamknąć mi interes.

Jimmy, jak się czujesz?

Dajcie mu trochę whisky, zaraz przyjdzie do siebie. Upił się i nie wie, co się z nim dzieje. Tamten był silny. Dziwne, że go nie zakatrupił.

Pan go musi stąd zabrać, senatorze. Gotów wywołać awanturę. Nie znoszę awantur w moim interesie.

Dajcie mu kieliszek mocnej. Pomóżcie mu wstać. Niech usiądzie. Wyciągnij mu nogi. Trzymać krzesło. Tak, siadaj pan. Wypij pan to.

Dziennik poranny. SACCO I VANZETTI NIE ŻYJĄ. Zostali straceni. Dziennik poranny. Proszę bardzo.

Wynosić się. Ile razy mówiłem, żeby tu nie krzyczeć? Wynosić się, pókim dobry.

Nie denerwuj się pan. Chce pan gazetę? Przed godziną zostali straceni. Dopiero przed godziną. SACCO I VANZETTI NIE ŻYJĄ. Dziennik poranny. Kto kupi...

Proszę się tak nie gapić, jakby się naprawdę coś stało. Za chwilę przyjdzie do siebie. Proszę wrócić do baru. Na swoje miejsca, panowie. Lękam się policji. Proszę wrócić.

Pomóż mi, Flossie. On się chwieje na nogach. Weź go pod rękę.

Mój Boże, tyś zwarjowała. Dokąd go mamy zabrać?

Przecież go nie zostawimy na ulicy. Odwieziemy go tam, skądśmy go zabrali, Parkie, dobrze się pan

czuje? Jakżeby to wyglądało, gdybyśmy go zostawili na ulicy.

Już dobrze, weź go pod rękę, skarbie. Trzymajcie mocno.

Wszyscy jesteście pijani.

Bardzo mi przykro, senatorze, że nie mogę państwu pomóc, ale oczekuję policyjnej kontroli. Miałbym dużo nieprzyjemności, senatorze.

Nie szkodzi. Sami pogrzebiemy nasze trupy. Ha-ha-ha, Murphy.

Hi-hi-hi, senatorze, dobrej nocy. Dobranoc, łaska-we panie. Mam pomóc znieść go ze schodów?

Nie, wszystko w porządku. Dobranoc.

Już tysiąc razy mówiłam...

Och, daj spokój. Czy nigdy nie miałaś podobnych historyj z kimś, co był z tobą?

Kto jest ze mną? On napewno nie jest ze mną. Ze mną jest senator. Odrazu powiedziałam, że to pijak i ciągle tak myślę. Za dwa centy...

Za dwa centy gotowam wydrapać ci oczy. Jak nie zamilkiesz, napewno to zrobię.

Auto, panie, auto.

Tak. Pomóżcie nam tego jegomościa...

Już dobrze. Posadź go tam. Ja usiądę przy nim.

Skarbie, usiądziesz senatorowi na kolanach?

Wsiądź i siadaj mu na kolanach.

Komu rozkazujesz?

Tobie. Jutro jadę do domu i nie chcę cię więcej widzieć.

Dokąd mam jechać?

W górę Siódmej Avenue. Przy Czterdziestej szóstej zatrzymacie się.

Dobrze, panie. Czy ten pan jest chory?

Tak, źle się czuje.

I ja się źle czuję, łaskawa pani. Od dwóch tygodni jeżdżę co noc, a moja stara nie pozwala mi w dzień spać. Powiada, że wysypiam się i tak, czekając na pasażerów. Prosiłem szefa, żeby mi pozwolił jeździć w dzień, ale we dnie zarabia się tak mało, że trudno wyżywić żonę i dziecko. Nie mogę spać ani w dzień, ani w nocy, bo w dzień za mało zarabiam i to mnie trapi. Źle jest na świecie.

Istotnie ma pan pecha.

Anno, kto widział rozmawiać z szoferem?

Słuchaj, Floscie, jak powiesz jeszcze jedno słowo, to zobaczysz. Mówię zupełnie poważnie. Nie masz prawa mi rozkazywać.

Słusznie, pani się należy trochę swobody. Państwo myślicie, że nie można porozmawiać z szoferem? Szofer też jest człowiekiem, łaskawa pani i bardzo mu przyjemnie, jak z nim ktoś pogada.

Niech pan mówi dalej. Posiedzę tutaj przy panu.

Pani jest dla mnie bardzo łaskawa. Oddawna już marzę o czyjś towarzystwie. Mógłbym wtedy pracować i nie byłbym senny. Próbowałem już zagadywać pasażerów, ale wszyscy kiwali tylko głowami i szepotali: „Ten biedak jest pijany. Wsiądźmy lepiej”. Oczywiście w takim wypadku nie zarabiałem prawie wcale, a gdy wracałem do domu, stara robiła mi awantury. Proszę mi wybaczyć, jeżeli byłem dla pani niegrzeczny. Bogaci ludzie powiedzieliby „arogancki”.

Niech pan mówi dalej. Proszę się o mnie nie troszczyć. Jestem niczem.

Tak już jest, łaskawa pani. Niektórzy ludzie pragną umrzeć, jak ja na przykład. Mnie tam wszystko jedno, czy żyję, czy nie. Mam już tego dosyć. Czasami

chętnie odebrałbym sobie życie. Patrzę z uśmiechem na uliczników, którzy w ostatniej chwili uykają z pod mego auta. Teraz jeszcze jeżdżę ostrożnie, ale przyjdzie taki dzień, kiedy będę miał wszystkiego dość i przejadę jakiegoś dzieciaka. Tak, z rozpacz.

Ale niech pan teraz tego nie robi.

Tak, łaskawa pani, są ludzie, którzy nie chcą umierać. Naprzykład ci dwaj w Bostonie, których dzisiaj w nocy stracono. Całe siedem lat walczyli o swoje życie. Jedni mówią, że byli zbrodniarzami, inni znów utrzymują, że nie. W restauracji, w której się stołuję, bywa także jeden jegomość, który twierdzi, że ci, co się nazywają anarchistami, nigdyby nie zabili biednego robotnika. A przecież tamtych o to obwiniono. Ten jegomość powiada, że anarchiści lecą tylko na bogaczy, którzy przez cały dzień siedzą w miękkich fotelach i jedynie odcinają kupony. Poco im taki biedak? Podobno to byli bardzo porządni ludzie. Właściwie w klasie robotniczej nikt nie wierzy, że to oni mogli zamordować. Ten jegomość w restauracji powiada, że to wszystko tylko walka klas. Ja tam się na tem nie znam. Wiem tylko, że oni nie chcieli umierać. Walczyli o wolność i nie udało im się. Znam jednego Włocha, który co tydzień dawał dziesiątkę, choć zarabiał bardzo mało, by tylko móc uwolnić tych dwóch biedaków. W gazetach też piszą, że winą nie jest dowiedziona. Różne państwa starały się ich uwolnić. Nie można zapomnieć, że oni chcieli żyć. Ostatnie miesiące w więzieniu musiały być okropne. Gdzie się mam za-
trzymać?

Na Czterdziestej szóstej ulicy.

Dobrze. Proszę pani, czy mogę dalej mówić?

Niech pan mówi. Dzisiaj nie niedziela, ale do kościoła można pójść i w powszedni dzień.

O takich rzeczach w kościele nie mówią, łaskawa pani. To nie daje pieniędzy. Ja sam dokładnie wszystkiego nie rozumiem. Ale jak się tak jedzie i walczy ze snem, to różne myśli człowiekowi przychodzą do głowy. Ja naprzykład chętniebym oddał swoje życie za tych biedaków. Nie mam żadnych widoków na przyszłość. W pierwszym roku naszego małżeństwa było mi z żoną dobrze. Nie było takiej rzeczy, którejbym dla niej nie zrobił. Ale po pewnym czasie ludzie się do siebie przyzwyczajają i nie jest już tak miło razem. Nie biorę jej tego za złe, że nie pozwala mi spać w dzień, bo przecież dzieciak musi mieć swobodę. Ciągłe mi radzi: Poszukaj sobie takiej pracy, żebyś był zajęty w dzień i żebyś mógł spać w nocy. Szukałem, ale nic nie znalazłem. Wracając do tamtych biedaków, już dzisiaj wieczorem pomyślałem sobie, żeby pojechać do Bostona i powiedzieć sędziom: Przecież sami nie wiecie, czy tamci są zbrodniarzami. Sami nie macie pewności. Jeżeli chcecie kogoś zabić, to mnie lepiej zabijcie.

Ten szofer oszalał. On jest niebywały...

Zawsze jestem taki senny, że mi wszystko jedno, czy żyję, czy nie. Jak mam raz na dwa tygodnie wolny dzień, to sam się z siebie śmieję i mówię tak, jak państwo: Zwarjowałeś chyba.

Weźmy inną taksówkę. Wsiądźmy, chodźmy pieszo.

Nie. Już będę spokojny. Ponieważ tamci dwaj i tak nie żyją, ponieważ nie mogę znaleźć innej roboty, ponieważ nie mogę spać, ponieważ...

Fiu-fiu-fiu-

Już dobrze. Dobrze. Zaraz staniemy.

Hej, zatrzymać się. Dokąd, u diabła, jedziecie? Co robicie u licha? Kto, u diabła...

Policjant.

Proszę pokazać prawo jazdy.

Policjant.

Tracę oddech.

Powiedz mu, Parkie, kim jesteś.

Nie wie pan, że tak prędko jeździć nie wolno?

Policjant.

Chce pan pójść do komisariatu? Nie słyszy pan, że rozmawiam z szoferem?

Panie posterunkowy, jestem senator Parker. Oto legitymacja. Spieszmy się, żeby odwiedzić chorego do domu.

Przepraszam, panie senatorze. Nie wiedziałem, że to pan. Bardzo mi przykro, że pana niepokoiłem, sir. Już dobrze, panie szofer. Można jechać. Dobrej nocy panu senatorowi.

Ja nie chcę jechać dalej tem autem. Szofer jest pijany. Musimy wysiąść.

Nie, łaskawa pani, nie jestem pijany. Jestem tylko trochę senny. Proszę się uspokoić, odwiozę państwa na miejsce. Na miłość boską, więc mamy w taksówce senatora. Gdyby nie senator, zabraliby mi prawo jazdy, bo już raz miałem protokół. Widać, przeznaczono mi jeździć tym wozem do Sądneho Dnia.

Przyjemny wieczór. Wychodzę z siostrą i senatorem, chcemy potańczyć i napić się odrobinę. Po drodze przypętał się jakiś pijak i robi awantury. A potem na dodatek dostajemy jakiegoś zwarjowanego szofera, który nam prawi morały. Jestem już teraz na wszystko przygotowana.

Jeszcze nie jedno pani przeżyje, łaskawa pani.

Nie do pana mówię. Proszę milczeć.

Widocznie nikt mi już nie zechce dotrzymać towarzystwa. Pechowy ze mnie człowiek. Jesteśmy na Czterdziestej szóstej ulicy. Gdzie się mam zatrzymać?

Jeszcze trochę dalej. Boże, jaka ja będę szczęśliwa, jak się pozbędziemy tego pijaka. Będziesz miała nauczkę, moja panno, nie czepiać się obcych ludzi. Tutaj, niech pan stanie. Panie, proszę zobaczyć, czy brama otwarta.

Pomóżcie mi go podnieść.

Wstań pan. Nie jest pan wcale taki chory, pan udaje.

Nie, łaskawa pani, brama zamknięta.

Pomóżcie nam z tym jegomościem. Położymy go na chodniku. On tu mieszka. Za chwilę odzyska przytomność i pójdzie do domu. Podnieść go w górę. Tak, teraz proszę go trzymać.

Już dobrze, łaskawa pani. Trzymam go. Chodź pan, młody panie. Trzymaj mnie pan mocno za szyję.

Anno, zostaniesz w taksówce, niech ją pan trzyma, senatorze.

Anno, pani zostaje. Prześpi się pani, a jutro o wszystkim pani zapomni.

W porządku, łaskawa pani. Leży na trotuarze. Jeszcze jeden tam leży. Ładny to musi być lokal. Dobrze, więc dokąd mam teraz jechać...?

VIII

W MLECZARNI

Wszystkie mięśnie go bolały, w ustach miał pełno piasku, próbował otworzyć oczy, lecz nie mógł unieść

ociężałych powiek. To też zamknął je znowu, odechnął głęboko i uczuł nagle dotkliwy ból w piersiach. Wąski promień światła tańczył pod przymkniętymi powiekami. Uniósł je odrobinę, aby móc zobaczyć uliczną latarnię. Zamknął znowu oczy, mocno je zacisnął i usiłował zapaść w nicość. Leżał na czemś twardem, co mu sprawiało ból. Czuł się okropnie. Powołał wsparł się na łokciach i znowu rozchylił powieki.

Przed nim stał długi szereg wysokich kamienic, pograżonych w ciemnościach, tylko w jednym oknie na górze płonęło światelko. Na rogu ulicy stało samotne auto. Poprzez gęstą mgłę nie mógł widzieć perspektywy ulicy, tylko dostrzegł światło pobliskiej latarni. Za nią druga latarnia i jeszcze jedna. Pozatem nic więcej. Gdzieś w dali odezwał się głos samochodowej trąbki i głośnie kroki na chodniku.

Nie mógł sobie przypomnieć, skąd się tu wziął. Nie mógł zrozumieć, dlaczego go bolą plecy, dlaczego głowa jest taka ciężka i dlaczego nadewszystko w świecie pragnie przymknąć oczy. Chciał zebrać myśli, ale ból był coraz dotkliwszy i wszystkie myśli kierowały się w tę stronę. Sięgnął do kieszeni po papierosy. Znalazł je, wyjął jednego, poszukał zapalek, zapalił. Piersi go bolały przy każdym wdychaniu dymu, ale czuł się już lepiej. Oparłby się chętnie o coś. Odwrócił się i ujrzał kogoś leżącego pod murem.

Kapelusz tego kogoś leżał na ziemi, a ten ktoś spał.

Mój Boże, przecież to Eddie Mitchell.

W tej chwili uprzytomnił sobie wszystko dokładnie. Helena i Eddie Mitchell w lokalu Paddy'ego, Helena tańczy z Mitchellem, potem całe towarzystwo pi-

jane. Eddie woła: Wy! Wyniesiono go z lokalu. Spojrzał ku bramie. Znajdował się tuż przed wejściem do lokalu Paddy'ego. Ten sukinsyn nie wsadził nawet Eddiego do auta i nie odesłał go do domu, poprostu najzwyczajniej zostawił przed bramą. Przeklęty bękart. Z chwilą, gdy odebrał od ludzi pieniądze, było mu wszystko jedno, co się dalej działo.

„Eddie“.

Niema odpowiedzi. Eddie odycha wolno. Jim klęka nad nim i podkłada mu ramię pod głowę. Ręce Eddiego opadają. Głowa chyli się ku ziemi. Jest nieprzytomny.

„Eddie, wstań“.

Jim szturcha go, trzęsie nim, wstaje i usiłuje go podnieść, Eddie jest ciągle jeszcze nieprzytomny. Kolan ma zgięte, głowa leży na trotuarze. Ktoś idzie przez ulicę. Może policjant, tembardziej Eddie musi się obudzić. Jim trzyma go mocno w ramionach, ścisną pięść i uderza Eddie'go w brzuch. Eddie zaczyna coś mamrtać, potem zasypia znowu. Istotnie, to policjant. Jeżeli Jim nic nie powie, obydwaj zostaną zaaresztowani.

„Panie posterunkowy, ten jegomość jest nieprzytomny. Niech mi pan pomoże go obudzić“.

„Dobrze, przyjacielu“, odpowiada policjant. Podchodzi bliżej, podnosi Eddiego, potrząsa nim mocno. Eddie budzi się, zaczyna kląć. Policjant mówi:

„Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jak go uderzę? Obudzi się napewno“.

„Dobrze“, odpowiada Jim.

„Niech go pan trzyma“, rozkazuje policjant i uderza Eddie'go w plecy. Eddie budzi się, spogląda na policjanta i zaczyna kląć na nowo. Policjant śmieje się, i mówi: „Coby on zrobił, gdyby nie był pijany“. Z te-

mi słowy oddala się. Jim woła: „Dziękuję“. Policjant odwraca się z uśmiechem:

„Niema za co dziękować, przyjacielu“.

„Dlaczego on mnie uderzył?“ pyta Eddie.

„Stul pysk“, odpowiada Jim. Bierze Eddiego pod ramię i prowadzi go przez ulicę.

Jakiś garaż. W bramie stoją mechanicy, pomocnicy i szoferzy, rozmawiając głośno. Czarne błyszczące auto zatrzymuje się na chwilę i wjeżdża do garażu. Szofer woła: „Hallo“. Jim i Eddie przystają na chwilę. Eddie jest coraz cięższy, w międzyczasie zasypia znowu. „Chodźże“, mówi Jim. Eddie odpowiada: „Idę już“. Idą dalej. Jim wsuwa ramię Eddiego pod swoje ramię. drugą ręką trzyma mocno jego dłoń. Gdy Eddie się chwieje, Jim przytrzymuje go mocniej, potem Eddie coś mruczy i idą dalej. Przed bramą, na której dużymi cyframi wypisany jest numer, stoi jakiś jegomość. Speakeasy. W zakładzie fryzjerskim światło, umieszczone nad kasą, pada na mosiężne okucia, na flakony i lustra. Jeszcze jeden garaż. Wejście do rosyjskiego nocnego klubu. Potężny jegomość z wąsami stoi u bramy, wyglądem swym nie wzbudza zbyt dużego zaufania.

„Chcę temu durniowi powiedzieć dzień dobry“, oznajmia Eddie.

„Djabłu powiesz dzień dobry“.

Eddie upiera się: „On mi się bardzo podoba, więc muszę mu powiedzieć dzień dobry“.

Jim ściska go mocno za rękę. Eddie uczuwa ból i idzie dalej.

„Zdałaby ci się teraz filiżanka kawy“, mówi po chwili Jim.

„Nie chcę kawy. Chcę spać“.

„Właśnie, że napijesz się kawy. Rozumiesz?“

Doszli do rogu. Szofer, którego auto stało tuż przy chodniku, wyskakuje z wozu, otwiera drzwiczki i mówi: „Auto?“ Jim potrząsa przecząco głową, rozgląda się po ulicy w poszukiwaniu jakiejś mleczarni. Nad miastem przejeżdża kolej napowietrzna i wszystko milknie w łoskocie kół. W tej samej chwili z piersi Eddiego wydiera się nieludzki krzyk, lecz turkot pociągu wszystko zagłusza.

„Spróbuj jeszcze raz“, odgraża się Jim. „Zobaczysz, co wtedy będzie“.

„Puść mnie, muszę się wyrzygać“, oznajmia Eddie.

Wyrywa ramię z uścisku Jima, pochyla się nad chodnikiem i wymiotuje. Jim przymyka oczy, starając się nie słuchać. Głowa go boli, ale czuje się zupełnie dobrze. W ustach ma dziwny jakiś smak. Eddie pyta: „Masz papirusa?“ A gdy zapalają obydwaj i idą dalej, mówi znowu: „Nie trzymaj mnie tak mocno. Już mi jest zupełnie dobrze“.

Jim wypuszcza dłoń jego z uścisku i obserwuje go z pod oka. Eddie jest teraz zupełnie trzeźwy.

„Napijesz się kawy?“

„Bardzo chętnie“.

Idą wzdłuż Szóstej Avenue.

„Alkohol jest coraz gorszy i gorszy“, oświadcza Eddie i po chwili dodaje: „A może to na mnie tak źle działa“.

Jim milczy, Eddie ciągnie dalej: „Byłeś z bardzo miłą dziewczynką, co się z nią stało?“

Jim odpowiada: „Ta głupia gęś zupełnie mnie nie interesuje“.

„Ale mimo wszystko była bardzo miła. Skąd ją wzięłeś?“

Jim nie daje odpowiedzi. Eddie mówi: „Chętnie-
bym ją znowu zobaczył”.

Jim odpowiada głucho: „Pracuje w mleczarni, w
gmachu mego biura. Zwyczajna głupia gęś. Niech ją
djabli wezmą.

„Zdaje się, że jej przypadłem do gustu”.

„Chodź tam na śniadanie, to zobaczysz, jak to
wszystko wygląda”.

„Może to i zrobię”.

„Tylko spróbuj”.

Idą dalej, poczem Jim mówi:

„Spójrz na mnie przy świetle. Czy mam podbite
'oko?’

Eddie przygląda mu się.

„Nie”.

„To widocznie musieli mnie stuknąć w szczękę.
Twarz mnie strasznie boli”.

„Dokąd idziesz właściwie?’

„Nie pamiętam”.

„Czyś od Paddy'ego wyszedł?’

„Nie wiem. Zaczekaj chwilę. Tak, wyszedłem. Sie-
działem w taksówce i jechałem dokądś. Jakaś dziew-
czyna przy mnie rzygała. Potem kolporter przyleciał
z gazetami. Były wiadomości o tych dwóch, co dzisiaj
w nocy zostali straceni”.

„Już nie żyją?’

„Przypuszczam. Bo co?’

„Sam nie wiem. Ot, tak pytam”.

„Jak się czujesz?’

„Marnie”.

„Mnie głowa boli. Musieli mnie uderzyć w szczękę.
Czuję straszny ból”.

„Nie znajdziemy, u diabła, żadnej mleczarni? Ma-

rze o filiżance kawy i talerzu fasoli. Fasola zawsze mi
dobrze robi”.

„Gdybym dzisiaj w nocy zobaczył talerz fasoli,
chybabym umarł”.

„I ja tak kiedyś myślałem. Dawno to było. Ale
pewnej nocy poradził mi ktoś porcję fasoli, spróbowa-
łem i po zjedzeniu czułem się wyśmienicie. Jeżeli czło-
wiek chce się wytrzeźwić, niema nic lepszego, niż talerz
gorącej fasoli”.

„Już dobrze. Mówmy teraz o czymś innym”.

„Musi ci być jeszcze niedobrze. Dlaczego nie wło-
żysz palca do ust?’

„Już zwróciłem wszystko, co miałem zwrócić. Re-
szta musi zostać”.

Z ciemności wyłoniła się postać kobieca. Była go-
dzina trzecia po północy. Młoda kobieta szła zdecydo-
wanym krokiem wzdłuż ulicy. Wreszcie minęła ich. Jim
i Eddie obejrzel się za nią.

„Musi to być niczyja siostra, bo tak późno zna-
lazła się sama na ulicy”.

„To widocznie gospodyni jakiegoś nocnego klu-
bu”.

„Może telefonistka”.

„Gdzie tam. Nie ma nawet kapelusza”.

„Jakieś miłe stworzenie”.

Szli dalej.

„Gdzież tu, u licha, jest jakaś mleczarnia? Umie-
ram z pragnienia”.

„Filiżanka kawy, w najgorszym razie szklanka wo-
dy”.

„Tam, na rogu stoi jakieś auto. Może tu coś znaj-
dziemy”.

„Prędko”.

Stragan z owocami.

„Zjadłbyś jabłko?”

„W każdym razie coś”. Jim wziął ze straganu dwa duże, czerwone jabłka, zapłacił, podał Eddiemu jedno, sam ugryzł drugie.

„Och, żeby szklankę wody”.

KAWIARNIA ATENSKA. Stoliki dla dam. Potrzebni pomywacze.

Światło nad bufetem, klosze z pomarańczami, winogrona. Zapach palonej kawy.

Stoliki zajęte. „Zaczekaj chwilę”. Jim przeszedł przez salę w stronę bufetu, nalał szklankę wody i wypił. Jedna szklanka, potem druga i trzecia. Z niechęcią potrząsnął głową, spoglądając na dwóch mężczyzn, siedzących nad pustymi filiżankami i rozmawiających ze sobą szeptem. Jakiś jegomość, pochylony nad stolikiem, znużona samotna kobieta. Zbliżył się znowu do bufetu. Przy jednym ze stolików siedziało czterech mężczyzn, wszyscy obejmowali młodą dziewczynę o zaspanych oczach. Dziewczyna chichotała głośno i spoglądała wokół błędnym wzrokiem. Włosy miała rozwichrzona, sukienkę podniesioną do góry. „Chodź tutaj”, zawołał Eddie. Przy bufecie było tłoczno, ale tuż obok Eddiego zauważył Jim wolne miejsce.

Pod szklanymi pokrywami drobne ciastka, pasztet i smażone owoce, nie wzbudzające zaufania swym wyglądem. „Coby tu zjeść, u diabła?” wymamrotał Jim. Jakiś jegomość tuż przy nim jadł sucharki i pił mleko, inny pochłaniał szynkę z jajami i smażone kartofle, trzeci zjadał pasztet. „Porcję fasoli”, zamówił Eddie.

Bufetowy, obsługujący gości, miał jasną czuprynę i bladą twarz. Nawet o tak wczesnej godzinie sprawiał

wrażenie człowieka umytego i wyświeżonego. Uśmiechnął się, pokazując dwa rzędy białych zębów.

„Filiżankę czarnej kawy”.

Nad miastem przejeżdżał pociąg. Mężczyzna, stojący obok Jima, rzekł: „Mnie tam wszystko jedno, co robią, albo co się stanie, ale niech mi dadzą trochę swobody”. „Pan ich do tego zmusi”.

„Jeżeli nie zrobię tego”, rzekł mężczyzna, „to się stanie coś piekielnie niemiłego”.

„Jest pan przecież mężczyzną”.

„Kozumie się”, oznajmił jegomość z dumą.

Bufetowy z uśmiechem postawił kawę. „Chętnie bym go strzelił w mordę, żeby nareszcie przestał się śmiać”. Eddie nie słuchał. Polewał fasolę sosem pomidorowym, potem nasypał trochę soli i pieprzu. Zabrał się do jedzenia. Jim rozglądał się po sali, skosztował kawy i mruknął coś niewyraźnie.

Był strasznie zmęczony. Usiadłby chętnie nawet na twardej podłodze. „Możebyśmy usiedli przy jakimś stoliku”, proponował. Zapalił papierosa, zaciągnął się raz dymem i cisnął papierosa na podłogę.

Przez uchylone drzwi wniknął do sali ciepły powiew z ulicy. Jakiś mężczyzna zbliżył się do bufetu, rozepchnął Jima i Eddie’go, skinął głową bufetowemu i rzekł: „Niech mi pan poleci jakiegoś szofera, którego pan zna. Mam na ulicy antałek piwa”.

„Już trochę późno”, odparł bufetowy.

„Wiem, ale bardzo mi się spieszy. Dam pięć dolarów”.

Bufetowy odparł: „Niech pan zaczeka chwilkę”, zdjął marynarkę i wyszedł z sali. Jegomość poszedł za nim.

Spać. Boki strasznie bołą. Łóżko. Mój Boże, jeszcze godzinę, albo dłużej.

„Wypiłbym chętnie szklankę dobrego zimnego piwa“, oznajmił Eddie. „Może znajdziemy jeszcze jakiś otwarty lokal“.

„Ja idę do domu“.

„Nie spiesz się“.

„Posłuchaj, nie chodź jeszcze do domu. Napewno znajdziemy jakiś otwarty lokal“.

Coś z trzaskiem upadło na podłogę. „Ha-ha-ha-ha“ zaśmiał się jeden z mężczyzn, siedzący w towarzystwie dziewczyny. „Strąciła ze stołu talerz“. Hi-hi-hi-hi, chichotały dziewczęta.

Jim miał wrażenie, że ktoś mu przejechał smyczkiem skrzypcowym po kiskach. Ręka skrzypka posuwała się tam i napowrót. „Wii-wii-wii-wii“, jęczał smyczek.

W sali śniadaniowej panowała cisza. Nikt nie rozmawiał. Tylko elektryczny wentylator furczał zawzięcie, kręcąc się to w jedną, to w drugą stronę. Na wentylatorze powiewały wąziutkie czerwone i zielone wstążeczki. Z kuchni dochodził brzęk zmywanych naczyń. Jakaś dziewczyna zachichotała znowu „Hi-hi-hi-hi“. I znowu ten smyczek skrzypcowy.

Eddie zjadł porcję fasoli i zapalił papierosa. Bufetowy wrócił, włożył napowrót białą marynarkę, uśmiechnął się w stronę sali śniadaniowej i począł sprzątać brudne talerze. W pewnej chwili zwrócił się do Eddiego: „Pan sobie jeszcze czegoś życzy?“ „Poproszę o lody“, odparł Eddie. „Mamy waniljowe, czekoladowe i poziomkowe“, oznajmił bufetowy.

Nad miastem przejeżdżał pociąg. W sali było coraz goręcej. Jim rozluźnił krawat i odpiął kołnierzyk.

Kapelusz wilgotny był od potu, więc zdjął go, wytarł chustką i znowu włożył na głowę.

„Nie żyją“, mówił ktoś w sali. „Wszystkie nasze przemowy nie przywrócą im życia“.

„Ale nie rozumie pan, że takie jest prawo?“

„Zamknij pan gębę. Ja mam dość tego gadania i zastanawiania się, czy byli winni, czy nie. Mam pozbawić się snu? Mam pozwolić każdemu trąbić do ucha, że zabito dwóch niewinnych ludzi? Cóż mnie to obchodzi? A czy na wojnie nie padają miliony i nikt na ten temat nie wrzeszczy? Czy tamci, co padli na wojnie, byli większymi winowajcami od tych? Czy wiedzieli, za co się biją? Wyciągnęli ich z domów, zamordowali i wszystko w porządku. Co mnie obchodzi prawo? Czy prawo wogóle istnieje? Idzie człowiek, kupuje takie prawo, albo sprzedaje, a jak chce, to może je nawet podarować własnej żonie. Spróbuj pan zważyć je ze swoim pugilaresem, zobaczy pan, po której stronie będzie przewaga. Spróbuj pan wynająć salę i krzycz pan na temat prawa, to zobaczymy, ilu będzie słuchaczy. Dajmy temu spokój i lepiej nie poruszajmy tego tematu. Umarli, powiadam. Poszli do piekła. Jeszcze dużo ludzi zginie, zanim się dowiemy, czym jest właściwie prawo“.

Jedna z dziewcząt zaczęła znowu chichotać. Wszyscy podnieśli głowy, przysłuchując się wywodom jego mościa. Zaraz jednak powrócili do swych filiżanek z kawą, szynki z jajami i lodów.

„Mądry chłop“, zauważył Eddie.

Jim milczał. Mądry chłop mówił dalej, ale nikt go już nie słuchał. Mówił dalej, podniecony nieco, mówił coraz głośniejszym głosem, uderzał pięścią w stół i przerywał temu, który z nim rozmawiał. Nikt na to nie zwracał uwagi.

Bufetowy niespokojnie obserwował twarze gości, potem podszedł do stołu perorującego jegomościa i szepnął mu coś do ucha. Tamten rzekł: „Dobrze, jeżeli nie wolno mi mówić głośno, to sobie pójdę”. Obydwaj z przyjacielem wstali, zapłacili i wyszli. Bufetowy objaśnił: „Strasznie jechało od niego wódką. Był zupełnie pijany”, poczem uśmiechnął się znowu.

Służący zaczął ustawiać krzesła na stolikach. Zamiatano salę. Wentylator furczał dalej, a furkot ten łączył się z łoskotem kół przejeżdżającego pociągu. Zadrżały szyby w oknach. Z kuchni wyszedł pomywacz z papierosem w ustach. Twarz miał bladą i czerwone oczy.

„Jesteś gotów?” zapytał Jim.

„Idziemy teraz na piwo”.

„Nie. Zjedz te lody. Ja idę do domu”.

Posługacz wymiatał z pod krzeseł. Nie mówił nic, tylko zdecydowanym ruchem popychał szczotkę. Kupa śmieci na podłodze zwiększała się z każdą chwilą. Wśród kurzu sterczały niedopałki papierosów, skrawki papieru i połamane zapalniczki.

„Nie mogę przecież codziennie przychodzić do biura zaspany. Wyrzuć mnie wkońcu”.

„Co cię to obchodzi?” zdziwił się Eddie. „Powiedz szefowi, co o nim myślisz. Zawsze znajdziesz posadę”.

„Ja tam nie mam szczęścia”, odparł Jim. „Nigdy jeszcze nie dostałem podwyżki. Za każdym razem albo sam dziękuję, albo mnie wylewają. Widocznie nie jestem nic wart”.

„Nie bądź głupi”.

„Mówię zupełnie poważnie, Eddie. Do niczego się nie nadaję. Nie mogę awansować. Sam nie wiem, u diabła, co się ze mną dzieje”.

„Przydałby ci się alkohol”, rzekł Eddie. „Podwójna szkocka. Zarazbyś się czuł dobrze”.

„Nie chcę pić. Eddie, posłuchaj. Sam nie wiem, czego chcę. Jestem niezadowolony, nie mam zupełnie przyjaciół...”

„Kto twierdzi, że nie masz przyjaciół?”

„Eddie, mówię poważnie. Nikt mnie nie rozumie. Nawet dziewczęta nie mogą przy mnie dłużej zostać. Jestem dla nich miły, funduję im, a jak tylko znajdzie się inny, taka pierwsza lepsza zostawi mnie na koszu”.

„Jim, to musi być jakaś głupia gęś. Nie myśl o tych idjotkach. Chodź ze mną, napijemy się”.

„Nie będę pił”.

Posługacz przyniósł kubetek i ścierkę, umoczył ścierkę w wodzie i wziął się do roboty. W sali było coraz mniej ludzi. Bufetowy zgasił niektóre lampy. Wszedł policjant, oparł się o bufet i zapalił papierosa.

„Mam siostrę”, mówił Jim. „Ona zawsze wie, czego jej potrzeba. Nigdy nie potrafiłbym tak żyć, jak ona, ale jest o wiele szczęśliwsza ode mnie”.

Wzrok jego spoczywał teraz na posługaczu, zajętem myciem podłogi.

„Mam matkę, najidealniejszą kobietą na świecie. Jednakże polecę zawsze za pierwszą lepszą ulicznicą, zamiast zostać w domu i później czuję się tak, jak dzisiaj”.

Eddie spojrzał nań uważnie. „Co się z tobą stało?” zapytał.

„Łotr ze mnie”.

„Oczywiście”, odparł Eddie. „Ja jestem taki sam. Co nas to wszystko obchodzi?”

„Ty tego nie rozumiesz. Ja jestem jeszcze gorszy, niż sobie wyobrażasz. Wogóle nic nie jestem wart”.

„Może się przeziębiłeś.

„Głowa mnie boli i czuję się okropnie“.

„Słuchaj“, szepnął Eddie. „Na Sześćdziesiątej piątej ulicy mam dwie przyjaciółki. To siostry, niejednokrotnie robiłem im różne grzeczności. Możemy pójść do nich i zostać. Nie posiadają specjalnego temperamentu, ale można wytrzymać“.

Jim odparł: „Dzisiaj nie dotknąłbym żadnej kobiety“.

„To mógłbyś się położyć na kanapie i przespać trochę. Obydwie są bardzo miłe i chętnie się tobą zaopiekują“.

(Pójdiesz do domu, to jest jedyne, co możesz zrobić mądrego).

„Sam nie wiem“, namyślał się Jim.

„Oczywiście, że pójdiesz ze mną, zadzwonię do nich, żeby się upewnić, czy nie znaleźli się jacyś konkurenci“.

Wyjął z kieszeni dziesięć centów i ruszył w stronę budki telefonicznej.

Dziewczyny wciąż chichotały po kątach. Jedna z nich włożyła męski kapelusz i zaczęła robić śmieszne miny.

Posługacz podszedł do drzemiącego jegomościa, szturchnął go w bok, potem podniósł z krzesła i popchnął ku drzwiom.

(Jak nie pójdiesz do domu, jesteś zgubiony. Już pół do czwartej. Matka na ciebie czeka. Nie położy się, dopóki nie wrócisz. Ranek stracony. Niema roboty, niema pieniędzy. Musisz wracać do domu).

Wyjął z kieszeni ćwierć dolara. Wrócić do domu, czy zostać? Rzucił monetę na stolik i spojrzał na nią ciekawie. Orzeł. Natychmiast wraca do domu.

Czuł się nieco lepiej. Był jeszcze zmęczony, ale głowa go mniej bolała. Poprawił się na krześle. Samotnie siedząca kobieta spojrzała w jego stronę i spojrzenia ich na chwilę się spotkały. Całkiem miłe wygląda. Mój Boże, co za twarz. Dwaj mężczyźni szepotali ciągle z sobą, pochyleni nad pustymi filiżankami po kawie. Tamci czterej wyszli. W kącie pod oknem mężczyzna rozmawiał cicho z kobietą. Ona potrząsnęła głową. On pochylił się ku niej nad stołem, podniósł w górę wskazujący palec i zaczął ją znowu przekonywać. Kobieta uparcie mówiła: nie. Jim spojrzał w inną stronę. Samotna kobieta otworzyła torebkę, wyjęła z niej brudną chusteczkę i wytarła nią twarz. Gdy podniosła znowu głowę, Jim patrzył już w inną stronę.

W tej chwili wrócił Eddie. „Wszystko w porządku“, oznajmił. „To miłe dziewczęta. Za pół godziny mamy być na miejscu“.

Jim odparł: „Ja z tobą nie idę“.

„Mój Boże, przecież nie zrobisz mi zawodu teraz, kiedy już wszystko załatwiłem?“

Jim spojrzał nań uważnie. „Idę do domu“.

„No, a co ja mam robić z dwiema kobietami?“

Do domu. Spać. Niech diabli wezmą, ja chcę do domu.

„Już dobrze“, rzekł Jim. „Niech i tak będzie“.

„Odrazu wiedziałem, że się zdecydujesz“.

Zapłacili. Bufetowy uśmiechnął się i szepnął nawet: Dziękuję. „Pójdziemy pieszo. Mamy dosyć czasu“.

Jim rzekł: „Właściwie sam nie wiem, dlaczego idę. Nie chce mi się dzisiaj kobiety. Pragnę tylko domu, miękkiego łóżka, pragnę rano pójść do biura i wszelkimi siłami utrzymać się na posadzie. A jednak idę“.

„Gdybyś się tak nad tem wszystkim nie zastanawiał, byłoby o wiele lepiej“, zauważył Eddie.

Na ulicy powietrze było czystsze. Jim oddychał głęboko, wciągając świeży powiew w płuca. Piers mu miarowo falowała. Z każdym krokiem czuł się lepiej, tylko nogi mu drżały nieco, i ten ból w boku nie opuszczał ani na chwilę. Od czasu do czasu przychodziło mu na myśl, żeby się z Eddie'm pożegnać, wsiąść do kolei podziemnej i pojechać do domu, a potem zebrać resztki sił i pójść o zwykłej godzinie do pracy. Czuł, że z każdym krokiem zapada coraz głębiej i głębiej w otchłań, z której się nigdy już nie wydobydzie. Matka stracona, posada stracona, wszystko stracone. Proszę, pozwól mi pójść do domu, błagał w duszy, ale tego nikt nie słyszał. Ja nie chcę iść dalej, nie chcę się spotkać z temi kobietami.

Usiłował przypomnieć sobie jakąś modlitwę, która go może wyratowała. Niech djabli porwą, pomyślał po chwili. Och, ratuj mnie, wołał w duchu. Przecież ktoś musi mnie uratować.

Szedł coraz szybszym krokiem. Był wyższy od Eddie'go i dlatego tamten nie mógł mu nadążyć.

„Czego się spieszysz?“ pytał Eddie. „Powiedziały przecież, żebyśmy przyszli dopiero za pół godziny“.

Opodal zakład pogrzebowy, wewnątrz światło nad małym kontuarkiem i napis: Sygnał nocny. Tutaj sklep kolonialny, tam dworzec kolei napowietrznej. Na jezdni stoi kolporter i woła rozdzierającym głosem: „Kupujcie ranne wydanie. Wszystkie szczegóły egzekucji“. Tu znów kwiaciarnia o opróżnionych wystawach. Pośrodku sklepu stoją tylko dwie samotne palmy. Dookoła wszystko tonie w ciemności, tylko gdzieś tam zabłyśnie jakieś

światelko. A co się dzieje wewnątrz domów? „Chodźmy na Broadway, tam więcej ludzi“.

Jakaś przecznica. Mała mleczarnia, gdzie sprzedają owoce i przekąski. Wysoki mężczyzna kupuje orzechy. Tu znów specjalny hotel aktorów, w którym przez cały dzień ludzie śpią, z kim chcą, albo błądzą po hallu. Opodal mała piwiarnia w ogródku, za nią prawdopodobnie potajemne Speakeasy. Obok zamknięty sklep z przyborami piśmiennymi.

Tuż przy chodniku przejeżdża otwarte auto. Siedzi w niem towarzystwo kobiet i mężczyzn. Wszyscy roześmiani. „Ej, wy“, woła jedna z kobiet w stronę Jima i Eddie'go. „Dobrze się czuje w samochodzie przy boku przyjaciela“.

„Napewno zakończą noc w Harlemie. Tam są cudowne gabinety! Muzyka gra dyskretnie, a pary trą się w tańcu o siebie“.

„Musimy choć raz pójść do Harlemu. Nie trzeba zabierać z sobą kobiet, tam jest ich dosyć“.

„Wynajmiemy auto“.

„Może któregoś dnia w przyszłym tygodniu.“

Harlem, piękne kobiety, nagie dziewczęta, z krągłymi pulchnymi biodrami. Muzyka gra upojnie, drżą nagie piersi dziewcząt.

Z jakiejś bramy wyszedł pijany i taczając się, począł iść w ich stronę. Gęsknie zawodził jakąś melodję: „Brawo, Baby. Ja wam pokażę“.

Broadway, wszędzie ciemno, niema tramwaju, niema ludzi. Na Times Square cicho i mroczno. Dwa puste auta, w nich śpiący szoferzy.

A teraz wyobraź sobie, wchodzisz do eleganckiego domu. Windziarz śpi. Budzisz go, zawozi cię na jakieś wyższe piętro. Dzwonisz. W mieszkaniu hałas, potem:

„Proszę zaczekać chwilkę. Jesteśmy jeszcze nie gotowe“. Czekasz chwilę, potem drzwi się otwierają. Ciemny przedpokój, mały pokój mieszkalny. W sypialni cichutkie szepty. Staną przed tobą dwie dziewczyny w szlafrokach, narzuconych na nocne koszule. Może koszule są czarne? Odpowiednia pora do składania wizyt! Zapala się papierosa, wszyscy siadają na kanapie, mówią o pogodzie, każdy stara się objąć swoją dziewczynę. Może szklaneczkę, albo dwie. Jeden z przyjaciół przyniósł nam butelkę. Stoi jeszcze nieotwarta. Szklanki, korkociąg, śmiechy. Pani pozwoli, że ja butelkę otworzę. Alkohol sączy się do gardła. Czujesz się lepiej, rozmawiasz w ożywieniu. Dziewczęta krzyżują zgrabne nóżki. Można gramofon nakręcić? Zapóźno, wszyscy wokoło śpią. Co nas to obchodzi? Stół usuwa się pod ścianę, dywan się zwija. Chcecie tańczyć?

Albo, światła pogaszone. Dziewczęta rozebrane, czekają.

A może to jakieś stare panny? Poco tam idę? Co mi z tego przyjdzie? Daj mi spokój. Mam ci dać coś w łapę? Co chcesz przez to powiedzieć? Czy te dziesięć dolarów nic ci nie mówi? Och, weź te pieniądze, ja ci i tak ufam.

„Eddie“, zawahał się, „Eddie, czy będziesz zły na mnie, jak pójdę do domu? Jestem strasznie zmęczony. Eddie!“

Eddie mruczy:

„Idź do domu, prędko. Jesteś niemożliwy z tem swoim spaniem. No, na co jeszcze czekasz? Idź do domu“.

„Na miłość boską, nie bierz mi tego za złe. No, zresztą, jak ci się podoba. Mnie tam wszystko jedno“.

„Dobranoc“, mówi Eddie.

IX

ZNOWU W DOMU

Pociąg rusza z miejsca. Konduktor wszedł do przedziału, siada, czyta gazetę. Pociąg biegnie przed siebie z głośnym turkotem. Pędzi coraz szybciej, kołyszac się nieco na zakrętach. Drugi pociąg przebiega w przeciwną stronę. Pasażerowie podnoszą się. Tamten pociąg zniknął w oddali. Znowu ciemności. Znajdują się teraz pod Szóstą Avenue.

Mógłby się przespać w tym pociągu. Przecież to pociąg lokalny i będzie szedł pewnie z godzinę. Akurat słońce zacznie wschodzić. Kilka godzin w łóżku, a potem znowu wstać, znowu do kolei podziemnej i do pracy. Byle prędko.

W przedziale mało ludzi. Podłoga brudna, zarzucona papierami, starymi gazetami i srebrem od czekolady. Ze skrawka dziennika zdawało się uśmiechać jedno wielkie słowo: VANZETTI. Jim kopnął skrawek nogą. Nagle ujrzał drugi skrawek dziennika i dużymi literami: SACCO.

Jakiś mężczyzna palił papierosa. O tej porze w pociągu wolno było palić. Jim wyjął z kieszeni paczkę papierosów i trochę drobnej monety. Przeliczył pieniądze i począł szukać w kieszeni banknotów. Miał czterdzieści centów, a przecież wieczorem miał jeszcze dwadzieścia dolarów; miałby trzydzieści, gdyby nie to, że zgłupiał i matce dał pieniądze. Teraz musi powiedzieć: „Mamo, daj mi pięć dolarów“. Matka napewno to zrobi, a Daisy, która oczywiście usłyszy jego prośbę, powie z ironicznym uśmiechem: „On niedługo moimi pieniędzmi będzie robił interesy“.

Czterdzieści centów po całym tygodniu pracy. A chce przecież być wojażerem i namawiać ludzi do kupna towarów, chociaż będzie to wbrew jego woli.

Schował czterdzieści centów do kieszeni i miał wrażenie, że powinien się teraz czuć nieswojo, ale postanowił nie zwracać na to uwagi. Zapalił papierosa, zaciągnął się dymem, spojrzał na plakaty przez otwarte okno, spojrzał na ludzi w przedziale, ale właściwie dokładnie nic nie widział. Zaczął gwizdać.

Popęłni samobójstwo. Pojedzie windą na najwyższe piętro gmachu Woolworth, potem wydostanie się na taras, spojrzy w dół na mosty, na rzeki, na domy, na ludzi i na samochody. Wyciągnie ramiona i skoczy...

Traci przytomność. Podskakuje nagle, zaczyna krzyczeć, rzuca się na sąsiada, bije go kulakami, ciska nim o podłogę, depcze, zamyka oczy, rozdziera na sobie ubranie i biegnie oszalały przed siebie.

Zamordował. Gdy ofiara odwróciła się doń plecami, zanurzył w jej ciele długi błyszczący nóż. Potem wyciągnął go i patrzył jak krew ścieka rzęsistymi kropkami. Widział krew na nożu, a jednak zanurzył go po raz drugi w ciele ofiary.

Ofiara dostaje drgawek, zaczyna krzyczeć chrapliwie, potem umiera.

W głowie mu szumi, wszystko się kręci wokoło, w skroniach uczuwa ból. Całe ciało jego sztywnieje, w gardle coś zatyka, podnosi głowę. „Mamo”, szepcze.

Znajdują się pod Piątą Avenue. Pociąg zwalnia biegu. Mężczyzna, siedzący przed Jimem, rzuca papierosa i wychodzi z przedziału. Jim wstaje, trzyma się mocno ławki i próbuje postąpić parę kroków naprzód. Kolana mu słabną, głowa opada na piersi. Wreszcie

trzymając się rzemiennych pasów, z trudem dociera do drzwi.

Drzwi się otwierają. Konduktor woła: „Uwaga”. Jim wysiada i powoli kroczy przez peron. Nowy pociąg podjeżdża na stację.

Do pociągu Wschodniej dzielnicy trzeba było przejść jeszcze przez trzy bloki tunelem. Tam będzie musiał czekać. Przez most, potem przez tunel, wąskim korytarzem i windą. Przystanął, wsparł się o filar i spojrzał w lustro, wiszące na automacie z gumą do żucia. Ujrzał dwie twarze, obydwie zielone. Pod dwiema parami oczu sine podkowy. Wogóle wszystko widział podwójnie.

Bardzo pięknie, ale w takim stanie nie może przecież wrócić do domu. Trzeba się trochę opanować. Potrząsnął głową, odlepił się od filara i poszedł dalej. Dworzec był pusty, na peronie nie było prawie nikogo. Zaczął gwizdać, nie pomyślawszy nawet, że ktoś może usłyszeć.

(Naturalnie, gwizdź na wszystko. Niech mu przeprowadzą ładną dziewczynkę, kołyszącą się w biodrach, a zaraz będzie zdrow, zaraz się do niej zabierze).

Powinien był pójść z Eddie Mitchellem i obejrzeć te dziewczyny. Może jakieś ładne. Ale wraca do domu, bo tak mu się podoba.

(Nie wiem, ktoby w to uwierzył).

Był już pod mostem w ciemnym tunelu. Po jednej stronie szyny, drewniane podkłady kolejowe, między deskami szpary. Usiłował iść po jednej desce, co mu się udawało przez chwilę, ale potem nagle deski stały się jakieś nierówne i nogi mu się rozsuwały. Był przecież pewien, że żyje, ani na chwilę nie mógł o tem zapomnieć, ani na chwilę nie mógł pozbyć się tej myśli. To, co robi

zwykle i o tem, że teraz żyje, będzie pamiętał zawsze, ale pewnego dnia o wszystkim zapomni.

(I tak aż do domu obłąkanych).

Gdyby się starał, możeby zawsze pamiętał, co robi. Poprzez wszystkie następne lata, kiedy stanie się solidnym człowiekiem, znajdzie miłą dziewczynę, poślubi ją i będzie patrzył z uśmiechem, jak dzieci dorastają. Wtedy zawsze...

Ożenić się, to niezła myśl, ale musi znaleźć przede wszystkim dziewczynę, musi ją polubić, musi z nią przebywać zawsze, aż do starości i nigdy nie wolno mu będzie spojrzeć na inną kobietę i nigdy nie wolno mu będzie robić tego, co chce.

Jeszcze jedno słowo, a gotów się rozplakać. Biedny ten, kto się martwi o to, co się stanie, jak dziewczyna go porzuci. Nieszczęśliwy, zmartwiony i smutny. Nigdy nie powie już ani słowa. Nigdy nie będzie wiedział, które łóżko jest jego, niechętnie będzie wracał do domu i będzie pił, aby zapomnieć; nie jak teraz, dla przyjemności.

Najlepiej byłoby stoczyć się w przepaść. Ktoś, kto mówi: Musisz to uczynić, a tego ci robić nie wolno, musisz tyle i tyle oszczędzać, bo inaczej będzie źle. Jemu potrzebne były różgi, a nie ludzkie tłumaczenia, bo te nie pomagały, żadnego wrażenia na nim nie wywierały. Niema sensu dysputować z kimś, kto nie słucha; kto postanawia, potem postanowienie zmienia; kto nawet nie potrafi powiedzieć, że kogoś lubi.

Po przeciwległej stronie zamajaczała jakaś postać. Echo kroków odbijało się w głuchym tunelu. Postać zbliżała się, nie dostrzegła go, była całkiem blisko, przeszła. Teraz słyszał już kroki za sobą, z początku głośne, potem cichsze i cichsze, aż wreszcie zamarły

zupełnie w łoskocie kół przejeżdżającego pociągu. Nad nim huczała ulica, tramwaj przejeżdżał przez most. Zdaleka dochodził odgłos mknącego auta. Podszedł do pustego kiosku z gazetami. Czerwone, żółte i zielone tygodniki za szybą zamkniętego okna. Przed nim tunelowa winda i murzyński chłopak. W windzie jakaś młoda para. Kobieta, widocznie zmęczona, wsparta na ramieniu mężczyzny. Gdzieś w dali przejeżdża pociąg. Jim opiera się o filar, patrzy na zegarek, zbiega szybko po schodach i wreszcie dowiaduje się, że to nie był jego pociąg.

Chodzi po peronie tam i zpowrotem, powtarzając sobie w duchu: Jak mi ktoś zastąpi drogę, to albo musi usunąć się na bok, albo go pchnę. W pewnej chwili przystaje u podnóża schodów i obserwuje parę, schodzącą nadół. Widzi pod suknią obnażone nogi kobiety, a nad nogami jeszcze coś, ale sam nie wie co. Mężczyzna dostrzegł jego wzrok. Jim idzie dalej. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Wygląda teraz, jak włóczęga, nocujący stale w kolei podziemnej i lękający się wszystkiego, co napotka na drodze. Dostrzega nagle dwóch młodych Włochów, przechylonych przez balustradę schodów, ale oni nie patrzą w jego kierunku. Stara się kroczyć jak najgłośniej po kamiennym peronie, żeby go usłyszano. Młodzi Włosi zbliżają się doń, a on przechodzi obok, nie patrząc na nich zupełnie. Tak się powinno zawsze robić, nigdy nie przeproszać, brać to, co się podobą, nie oglądając się. (Jesteś zatraconym głupcem). Już dobrze, dobrze, zmęczenie nie pozwalało mu myśleć. Simson może wstać ze swego fotela. On, Jim, jest nowym dyrektorem. Ma sto dolarów tygodniowo, kochankę, auto i mały apartamencik, o którym kochanka nic nie wie i do którego zaprasza inne dziewczęta, spędzając w ich

towarzystwie rozkoszne wieczory. Niech Daisy już raz wreszcie wyjdzie zamaż i przestanie go męczyć. Właściwie jest słuszość w tem, co mówi. On jest łotr, ale trzeba pozwolić mu żyć tak, jak chce. Pozatem Daisy wie dobrze, że matka i tak go kocha.

Gdyby zaproponował matce, aby mu oddała sumę ubezpieczeniową do ostatniego centa, napewnoby przystała na jego propozycję. Wcale niegłupia myśl. Dostałby kilkaset dolarów, mógłby otworzyć jakiś lokal, gdzie przyjaciele piliby i grali w kości. Obok sklepu byłby mały pokój dla spędzania czasu z przyjaciółkami. Nie miałby żadnego ryzyka, bo tylko przyjacieleby przychodzili. Pieniądze zarabiałby lekko, a ubezpieczenie matki tak samo byłoby pewne, jak w banku.

(No, dajmy na to...).

Już dobrze. On tego i tak nie zrobi. Niema sensu o to się kłócić. Całkiem dobra myśl i nic się nie ryzykuje. Pieniądze matki niech zostaną u niej. Nie tknie ich. Ale dobra myśl na przyszłość.

(Odrzucić tę myśl. Dla ciebie niema nic świętego. Niema człowieka, którego byś nie oszukał, nie oszczędzisz nawet własnej matki. Jeżeli pragniesz spokoju, jeżeli masz nadzieję, że zostaniesz kiedyś człowiekiem, to lepiej wybij to sobie z głowy. Nie myśl o pieniądzech matki. To nie dla ciebie. Matka musi przecież z czegoś żyć. Z takiego syna, jak ty, napewno nie będzie miała pociechy. Na miłość boską, zapomnij o tem).

Po co się tak przerażać? Przecież i tak nie weźmie pieniędzy. Naprawdę nie weźmie. To był tylko żart. Pomysł, który nigdy się nie ziści. Chyba wolno mu o tem marzyć, prawda? Przecież to nikomu krzywdy nie robi?

(Wszystkie twoje myśli są jednakie, ale niema ani

jednej prawdziwie uczciwej. Gotów jesteś wszystko postawić na jedną kartę, nawet życie własnej matki).

Nadjechał pociąg, drzwi otwierano z trzaskiem. Pasażerowie rozciągnęli się na ławkach, osłonięci kapełuszami i chustkami od strony rażącego światła. Prawie wszyscy spali. Jim znalazł jedno miejsce w kącie, usiadł, naprężył mięśnie i opuścił ręce na kolana. Drzwi zamknęto. Pociąg zakolysał się i ruszył naprzód.

Anna. Boże, zupełnie o niej zapomniał. Śliczna, pulchna, jasnowłosa Anna, której się tak podobał, która kłóciła się ze swoją siostrą, aby mógł przy niej zostać, z siostrą, co jest kochanką senatora. Czy miał jej adres? Zaczął przeszukiwać pugilares, wyciągnął parę starych listów, reklamę atramentowej bibuły, jakąś pocztówkę i wszystko przeglądał uważnie. Gdzie był adres Anny? Pamiętał, że mówiła: Niech pan do mnie zadzwoni. Gdzie, u diabła, miał jej numer telefonu? Anna.

Nie miał numeru, ani adresu. Przeszukał wszystkie kieszenie, wyrzucił pieniądze, przekonał się raz jeszcze, że ma czterdzieści centów i z największą ochotą cisnąłby je przez okno. Może mu wogóle nie powiedziała numeru. Tak, napewno. Już więcej nigdy jej nie zobaczy. U Paddy'ego napewno nie, bo ona więcej tam nie przyjdzie, zresztą przecież stale mieszka w Filadelfji, a po takiej nocy, jak dzisiejsza, napewno ją stąd zabiorą.

W takiej dziewczynie można się naprawdę zakochać. Poznała go zaledwie, nic o nim nie wiedziała, tylko podobał się jej i była już przygotowana na wszystko. Chciała mu oddać wszystko, nawet pieniądze. To nie jakaś pierwsza lepsza ulicznica, jaką się okazała Helena. Ot, tak sobie, poprostu: Ty jesteś ty, ja jestem ja, bądźmy przyjaciółmi.

Przeklęty pech, że ją tak prędko utracił. Jakże można chcieć odnaleźć kogoś, kogo się zaledwie raz widziało? Chodzić po New Yorku i krzyczeć: Chcę zobaczyć moją Annę. Podobą mi się ta dziewczyna, więc muszę ją widzieć. Anno!

Nigdy już nie będzie miał takiej sposobności. Nigdy nie będzie mógł powiedzieć, że dawne błędy minęły i że teraz będzie już żył, jak człowiek. Zechce zmienić posadę, to okaże się, że ostatnie świadectwa są złe. Poprosi o podwyżkę, powiedzą mu, że ostatnio zaniedbywał pracę. Zechce zostać wojażerem, nie będzie mógł, bo nie ma zaoszczędzonych pieniędzy. A jak już raz poznał nareszcie dziewczynę, to właśnie był pijany, zachowywał się strasznie, a potem wyrzucono go z auta i nie miał czasu nawet upomnieć się o numer telefonu.

Najdziwniejsze, że coś, co się działo, nigdy nie przychodziło mu na myśl w chwili, gdy się działo, a zawsze potem, kiedy już nie było okazji naprawić zła. Zawsze obiecował poprawę, jak się tylko nadarzy następna okazja, a jak się nie nadarzy, to i tak gwiżdże na to. Był prawie pewien, że nigdy nie zmieni swego usposobienia. Ma teraz czterdzieści centów w kieszeni i czuje się okropnie, ale niechby mu ktoś dał pięćdziesiąt dolarów i zaproponował spotkanie z ładną dziewczyną, napewnoby poszedł bez zastanowienia.

(Nie, tak źle znowu nie jest. Zrezygnowałeś z tamtych dwóch, które ci ofiarował Eddie. Nawet matce dałeś dziesięć dolarów, a od Anny nie chciałeś przyjąć pieniędzy).

Pozatem nie ograbiłeś jeszcze banku, nie zgwałciłeś niczyjej babki, nie uderzyłeś w twarz dwuletniego dziecka. Jeszcze możesz się poprawić.

Sędzia pyta: Ma pieniądze w banku?

Nie, odpowiada Jim, ale...

Żadne ale, mówi sędzia. Dalej.

Matka stoi za plecami sędziego cała w bieli, ze złotą szarfą na biodrach. Pochyla się nad sędzią i szepcze mu coś do ucha. On uśmiecha się, a Jim jest zły, że wszyscy traktują sprawę tak lekko. Chce coś powiedzieć, ale ma usta zamknięte i właściwie niewiele mu na tym zależy.

Obrońca jego jest bardzo zdenerwowany: Protestuję, woła. Tutaj sala sądowa, nie buduar. Wszyscy szepczą i śmieją się. Możliwy pomyśleć, że przyszli tu dla przyjemności. Musimy przejść do rzeczy.

Ja nie szeptałam, wyjaśnia matka. Tylko coś powiedziałam.

Kto, u diabła, jest przewodniczącym? pyta sędzia. Pan, czy ja? Czy pan pierwszy raz jest w sali sądowej?

Orkiestra zaczyna grać, matka obejmuje sędziego i oboje puszczają się w wir tańca. Andy przynosi trunki. Wszyscy piją, oprócz Jima. Odrazu przewidywałem, tłumaczy obrońca, że oni nie są pewni pańskiej winy. Proszę polegać na mnie, wszystko będzie w porządku.

Nic nie będzie w porządku, odpowiada Jim. Pan jest tylko dobrym adwokatem. Za dwa centy mogę pana uderzyć w pysk.

Pan, i kto jeszcze?

Ja sam. Tylko, żeby panu pokazać.

Ale pięść odmawia mu posłuszeństwa, mięśnie się rozluźniają, a obrońca śmieje się głośno. Wszyscy jesteście tacy sami, mówi. Chcemy wam pomóc i za to mamy taką nagrodę. Mam nadzieję, że w więzieniu będzie się pan czuł lepiej.

Matka i sędzia ciągle tańczą. Przytulają się do sie-

bie, a matka w tej chwili prześlicznie wygląda. Jim chciałby poklepać sędziego po ramieniu, ale matka robi taką minę, jakby mówiła: Pozwól mi z nim tańczyć, potem będziesz wolny. Jim nie chce być wolny, chce tylko tańczyć z matką, ale ona razem z sędzią oddala się powoli od niego.

Teraz tańczą dwaj policjanci, za nimi dwie nagie dziewczyny, które wreszcie nikną Jimowi z przed oczu. Jim dostrzega, że niema butów; oczywiście, bez butów nie może tańczyć. Zwraca się do adwokata: Nie wie pan, gdzie podziałem buty? Nie, odpowiada adwokat, ale zaraz wszystko będzie w porządku. I znika także, przedzierając się przez tłum.

Jim stoi przed wystawą między Piątą Avenue i Czterdziestą drugą ulicą, oparł się o kamiennego lwa i ciągle jeszcze jest bez butów. Tuż obok niego przechodzi jakaś dziewczyna. Jim mówi: Śpię i dlatego mogę robić, co mi się podoba. Obudzę się, jak dziewczyna zawoła policjanta. Rzuca się na dziewczynę i woła: Daj mi swoje buty, ale w tej samej chwili okazuje się, że wokół niego niema nikogo. Kobiety chodzą tam i zpowrotem, a on biegnie za każdą. Postanawia pójść do hotelu i położyć się do łóżka w pierwszym lepszym pokoju. Jeżeli będą chcieli mnie aresztować, to udam, że śpię. Jedzie elegancką windą, wysiada na jakimś piętrze, przechodzi z pokoju do pokoju, widzi kobiety, ale nigdzie nie może znaleźć butów. Ma już tego dosyć i siada na ławce.

Najgorsze to, że gdy zakrywa stopy rękami, ludzie widzą jego twarz pełną przyszczy, a gdy zakrywa twarz, pytają: Co pan zrobił ze swymi butami? Leży skurczony na ławce, zasłaniając twarz kolanami i przykrywając dłońmi nagie stopy. Nikt go już teraz nie zo-

baczy. Taka pozycja nie jest wygodna, ale specjalnie go nie męczy.

Nagle zdaje mu się, że nie może ruszyć rękami, ani wyciągnąć ich przed siebie. Próbuje podnieść w górę ręce i nagle czuje jakiś elektryczny prąd, który staje się coraz silniejszy. Najprzód było przyjemnie, teraz zaczyna boleć. Chce się uwolnić, wyswobodzić ręce, ruszyć palcami, pozbyć się tego straszego prądu. Nie może. Pali go. Za chwilę umrze. Natęża wszystkie mięśnie i budzi się.

Pociąg stanął. Światła pogaszone, tylko płoną jeszcze małe lampki w czterech kątach przedziału. Pasażerowie wstają i biegną ku drzwiom. Jakiś mężczyzna mówi: „W samą porę ten tłok“. Jim wstaje, przeciąga się, siada znowu i próbuje zasnąć.

Jakiś pijany mówi do pasażerów:

„Za dużo mamy polityków“, objaśnia, chwiejąc się na nogach. „Żołnierzy nam potrzeba. Nie jesteśmy dość silni. Zbrodniarze mają za dużo swobody. Potrzeba nam silnego prawa. Komu się nie podoba, niech idzie do diabła“.

Pijak usiadł na chwilę i podnosi się znowu.

„Niech pan siada“, woła ktoś. „Jeszcze pan upadnie“.

„O mnie niech się pan nie martwi“, odpowiada pijak. „Myśl pan lepiej o Republice. Mnie się nic nie stanie. Ale nam? Ma jakiś obcy naród nami rządzić? Ma nasz wielki kraj...?“ Pociąg rusza z miejsca i pijany pada na ławkę. Wszyscy się budzą i uśmiechają. Pijak próbuje wstać, ale nie może, usiłuje mówić, ale słowa mu grzęzną w gardle. Zamyka usta i oczy i opuszcza głowę na piersi.

Jegomość, siedzący obok Jima, rozmawia z jakimś innym.

„Coby było, gdybym stanął w przedziale i zakomunikował tym ludziom, że stała się wielka niesprawiedliwość, o jakiej świat nie słyszał? Niech pan sobie wyobrazi, że nagle stoję na ulicy przed teatrem i wołam: Nie patrzcie na scenę, patrzcie na mnie. Opowiem wam coś mrozącego krew w żyłach. Powiem wam, co to jest niesprawiedliwość. Ludzie i tak nie rozumieją. Przez chwilę będą mnie słuchać, bo wszystkiego słuchają, a potem, gdy usłyszą nazwisko SACCO i nazwisko VAN-ZETTI, odwrócą się i pójdą. O, już wiemy. To ci dwaj, co zostali straceni. Czytaliśmy o nich w gazetach. Ktoś tam starał się ich uwolnić, ale inni znów uważają, że to byli mordercy. Komu na tem zależy?“

Głos jegomościa stawał się coraz bardziej podniecony.

„Znajdź pan sposób podziałania na ludzi. Spróbuj pan zainteresować ich czemś. Słowa nie mają dla nich żadnego znaczenia. Słowa, to sposób stary i dziś już nie używany, nie odniesie on żadnego skutku. Fałszywy sąd w meczu bokserskim, to także niesprawiedliwość. Zbrodnią jest, gdy bandyta zabija bootleggera i wstydem, gdy ktoś wyjdzie w połowie sierpnia na ulicę w słomkowym kapeluszu. Gazety pisały o tem całe kolumny. Ludzie czytali i patrzyli w inną stronę. Kobieta, złapana na gorącym uczynku, oskarża swego kochanka. Prasa krzyczy. Kasjer kradnie pieniądze bankowe — w gazetach całe kolumny. Dwaj ludzie zostali skazani na śmierć — znowu długie kolumny. Ciągłe jedno i to samo. Rubryka sportowa jest o wiele ciekawsza, a dział humorystyczny o wiele weselszy. Poco czytać to, co nie sprawia przyjemności?

Poco czytać gazety? Poco udawać przez chwilę, że się coś czuje? Dlaczego cierpieć na świecie za innych? Jeżeli będziesz takim, to cię wyśmieją. Spróbuj im przemówić do rozsądku, to śmiać się będą jeszcze głośniej. Komu na tem zależy?

Znajdź sposób, aby słowa twoje przeniknęły do wnętrza ich dusz. Mów do nich tak, żeby cię zrozumieli“.

Pijak wstał nagle z miejsca, wskazał palcem dwóch rozmawiających mężczyzn i zawołał:

„Niech pan jeszcze coś powie. Już dosyć się nasłuchałem o tych dwóch idjotach. Niech pan objaśni to, co pan mówił. Jesteśmy tutaj, słuchamy was, nie rozumiemy tylko, o co wam chodzi. Wy chyba wiecie, na czem cała rzecz polega. Nadarza się wam okazja. Mówcie“.

Wszyscy w przedziale wybuchnęli głośnym śmiechem. Ktoś gwizdnął głośno, ktoś inny mruknął pod nosem. „Pozwólcie im mówić“, wołał pijany. Ktoś z kąta dorzucił: „Pozwólcie mu mieć mowę“.

Dwaj mężczyźni podnieśli się, zbledli, podeszli do drzwi i przeszli do następnego przedziału.

„Głupie szczekanie“, zawołał pijany.

Zerwały się oklaski. „Nadymali się, nadymali, aż ich wydeło“.

Pociąg zatrzymał się na Sto trzeciej ulicy i po chwili ruszył dalej. Jim zapragnął nagle spokoju. Anna, gdzież ona była? Kochana, słodka Anna. Co ona teraz robi? Czy myśli o nim? Cudna Anna. Anna w Speakeasy, Anna pijąca, śmiejąca się, kłócąca się z siostrą, a potem, w aucie — całująca pieszczotliwie.

Sacco i Vanzetti także kochali swoją Annę. Sacco i Vanzetti nie powinni być pokazywani w kinie. Zostali straceni za zamordowanie płatniczego. Byli winni. Sędzia

nie chciał ich uwolnić. Sacco i Vanzetti byli szlachetni, za szlachetni, aby żyć. Zostali straceni i teraz są albo w niebie, albo w piekle. Sacco i Vanzetti nie potrafiliby skrzywdzić muchy. Jeden z nich był handlarzem ryb, drugi był szewcem. Vanzetti sprzedawał ryby, Sacco robił buty. Najwyższy sędzia Najwyższego Sądu Stanów Zjednoczonych nie chciał ich uwolnić. Podobno byli winni. Opowiadano rozmaite o nich historie. W Argentynie, w Paryżu i w New Yorku na Union Square, gdzie małą Jenny uderzono gumową pałką w głowę. Senator powiedział, że byli winni i że na wszelki wypadek powinni byli umrzeć. Reporter mówił, że są niewinni, i że ta egzekucja jest zwykłym morderstwem. Młody szofer twierdził, że chętnieby oddał za nich swoje własne życie. Zostali straceni i pochowani. Zostali zabici.

Przecież cośkolwiek stać się musiało. Może Jim powinien jechać do Bostonu i zapytać tamtejszych ludzi, jak mogli pozwolić na stracenie dwóch nieszczęśliwych, którzy nie skrzywdziliby nawet muchy? Może powinien udać się do gubernatora i powiedzieć: „Pan jest napewno bardzo mądrym człowiekiem, ale nie wie pan jeszcze wszystkiego i skoro opinia publiczna jest przekonana, że tamci dwaj nie popełnili zbrodni, dlaczego pan się upiera?” Gubernator napewnoby odpowiedział: „Idź pan do diabła, bo zawołam policję”. „Dobrze, niech pan woła. W New Yorku są ludzie, którzy chętnieby oddali życie za uwolnienie Sacco i Vanzettiego. Tacy się nie boją pańskiej policji”.

Takiego gubernatora trzeba nazwać łotrem i kłamcą i powiedzieć mu, co się o nim myśli. Trzeba go spoliczkować, albo zaciągnąć przed oblicze prawa. Niech ma nauczkę. A potem stanąć przed sędzią i wyjaśnić: „Możliwe, że sam dokładnie nie znam szczegółów, ale

jeżeli wszyscy wierzą, że tamci są niewinni, dlaczego wy w to uwierzyć nie możecie? Dlaczego nie zamknęliście ich w więzieniu i nie czekaliście chwili, gdy będą mogli udowodnić swą niewinność, a wy będziecie się mogli przekonać, że jesteście w błędzie?”

Nie. Gubernator jest mądrym człowiekiem. Nie przyzna się do popełnionego błędu i aż do śmierci będzie twierdzić, że miał słuszość, pozwalając zabić tamtych. Z chwilą, gdy zostali straceni, coś może opinii zależeć na tem, czy byli winni, czy nie? Ludzie i tak zapomną o wszystkim, a gubernator zostanie nadal na swoim stanowisku. Taki już jest porządek rzeczy.

Zresztą, nie było powodu do zdenerwowania. Codziennie zabija się ludzi i nikt nie ma nic przeciwko temu. Naprzykład, ten zatracony kretyń, Eugene, wstąpił do wojska, bo sam nie wiedział, co ma robić. Znalazł się na wojnie, został zabity i nikt na ten temat ani słowa nie pisał. Nawet gazety nie podały tej wiadomości. Zabito na wojnie tysiące takich głupców, jak Eugene, a nawet żaden pijak nie upominał się o nich. Stracenie tamtych dwóch było bezwarunkowo niesprawiedliwością, chociaż niektórzy twierdzą, że jednak byli winni. Wreszcie, co komu do tego? Mimo wszystko, Jim rano pójdzie do biura i dalej będzie wierzył, że Simson jest wielkim człowiekiem, a o tamtych dwóch strażnikach napewno zapomni przy pracy.

O tylu przyjemniejszych rzeczach można było przecież myśleć. Chociażby o Annie, o niej nigdy nie zapomni. A w południe pójdzie do mleczarni, poprosi Helenę o filiżankę gorącej kawy, jakby się nigdy nic nie stało. Potem wyjdzie, nie zostawiwszy jej codziennego napiwka. Będzie tak postępował codziennie, aż jej to zbrzydni i opuści mleczarnię. On będzie

codziennie obserwować jej powabne piersi, a niech tylko Helena spróbuje się odezwać jednym słowem, zaraz Jim pójdzie do Greka i poskarży się na arogancką kelnerkę. W najgorszym razie poszuka sobie innej mleczarni. Tak długo będzie siedział w milczeniu i obserwował jej piersi, aż wreszcie doprowadzi ją do szału.

Jemu to dobrze robi. Codziennie, w przerwie między ranną i popołudniową pracą, będzie doprowadzał Helenę do ostateczności. Nigdy nie spojrzy na nią czulej, nigdy nie powie dowidzenia, nigdy nie da napiwka. Tylko zupełnie zimno i obojętnie: Proszę mi podać to, proszę mi podać tamto i ciągle patrzeć będzie na jej piersi.

Papieros, który zapalił przed chwilą, dziwnie mu nie smakował, dotkliwy ból w boku ustąpił zupełnie. Nie był już teraz senny. Pragnął, aby nadeszła godzina ósma, aby musiał pójść do biura i aby to spotkanie z Heleną nastąpiło jak najszybciej. Napewno będzie bardzo zaspana po tem piciu, po przejażdżce autem i po nocy, spędzonej z owym durniem, którego zabierała do domu. Jak zobaczy Jima, wchodzącego do mleczarni, będzie przygotowana do sprzeczki z nim, ale on całkiem obojętnie usiądzie na wysokiem krześle, zamówi kanapki i kawę i w milczeniu będzie na nią patrzył.

Ta jego obojętność z pewnością wyprowadzi ją z równowagi. Helena odrazu nie zrozumie jego obojętnego spokoju. Ale on ma dość czasu. Gotów przez całe lato w milczeniu z nią walczyć. Nawet w biurze będzie pracował pilniej, aby go, broń Boże, nie oddalono i aby miał okazję codziennie widywać się z Heleną. Już on jej zapłaci za ten stracony wieczór.

Musi to wszystko doprowadzić do porządku. Musi zaprzestać spotykania się z dziewczętami, których dokładnie nie zna. Teraz każdą postara się poznać bliżej. Zobaczę się z tobą chętnie, nawet ci coś zafunduję, ale muszę przedtem wiedzieć, co za to dostanę? Nie chcę być narażony na takie przykrości, jak tej nocy. Wydał pieniądze, głowa go djabelnie boli i przez cały dzień będzie nieprzytomny.

Każde przedsięwzięcie należy przedtem dokładnie obmyśleć. Jeszcze gotowa uwierzyć, że się z nią ożeni. On miał zupełnie inne zamiary. Chętnie potańczę z tobą, chętnie cię popieszczę, ile tylko zechcesz, ale... będę cię miał potem?

(Wszystko powinno się odbywać tak, jak w sklepie kolonialnym. Proszę dolara, chcę kupić za to kilo cebuli, kilo mięsa i dwa kilo chleba. W ten sposób należy postępować z dziewczętami. Wówczas osiągniesz, co będziesz chciał. Albo ci się roześmieje w twarz, albo się na wszystko zgodzi. Jeżeli nie masz mieć żadnych korzyści, to lepiej zaniechaj wszelkich randek).

Tak się powinno postępować. W przeciwnym razie nie warto tracić nocy, nie warto zastanawiać się nad byle głupstwem. Przedewszystkiem najlepiej się wyspać. Najlepiej przespać osiem godzin, potem pójść do biura, czuć się doskonale i tak pracować, żeby się sam Simson zadziwił.

Anna, gdzie ona jest teraz? Może z siostrą swoją, a może z jakimś frajerem...

(Zupełnie jak w tekście piosenki...).

Właściwie, czego Jim od siebie wymaga? Poco się wtrąca w to wszystko? Jeżeli mu się nie podoba dotychczasowy tryb życia, to dlaczego nie umie go zmie-

nić? Jeżeli nie chce spędzać bezsennych nocy, to dlaczego nie potrafi bardziej odpowiednio zappełnić wolnego czasu? Co ma, u diabła, robić? Może wstąpić na jakieś kursy wieczorowe?

Jeżeli jest łotrem, to dlaczego nie potrafi stać się porządnym człowiekiem? Czy uczuwa lęk przed samym sobą? Dlaczego lęka się każdej zmiany? Dlaczego nie zatrzyma się nad samą krawędzią przepaści? Dlaczego sam nie dba o swoje jutro? Czyż nie jest na wszystko przygotowany? Czy nie chciałby swego trybu życia naprawić? Czy nie chciałby mieć zupełnego spokoju?

Ależ nie. Z chwilą, gdy nawet przychodził mu jakiś mądry pomysł do głowy, zawsze usiłował się przekonać: Nie możesz tego uczynić. Nie jesteś jeszcze dość silny. Nie posiadasz ani odrobiny siły woli. Zbyt łatwo ulegasz wszelkim wpływom. Nigdy nie przekonywał siebie: Oczywiście, staniesz się inny, potrafisz się opanować. Uspokoisz się. Trzeba tylko mieć nadzieję, a wszystko da się zrobić.

(...)

Milcz. Teraz ja mówię. Teraz ja jestem panem. Będę wolny i będę robił, co zechcę. Jak będę chciał wyjść wieczorem, to wyjdę, nie zwracając uwagi na jakiś wewnętrzny głos: Dlaczego wychodzisz? A w pewnym momencie wezmę się uczciwie do pracy, chociaż to coś będzie krzyczeć we mnie: Aha, masz już dosyć lenistwa, pomyślałeś wreszcie o swojej przyszłości.

Anno, ratuj. Niech mi ktośkolwiek pomoże.

(Jesteś wielkim głupcem. Nie wierzysz sam w siebie. Patrzac na ciebie, można umrzeć ze śmiechu).

Konduktor pochylił się nad jakimś małym chłop-

cem. Chłopak mógł mieć najwyżej dziesięć, jedenaście lat. Konduktor obudził go i zapytał:

„E, dokąd jedziesz?”

Chłopak otworzył oczy i spojrzał z przerażeniem.

Konduktor zwrócił się do któregoś z pasażerów:

„Ten dzieciak już od północy tak podróżuje. Gdzie mieszkasz, mały?”

Chłopiec nie dawał odpowiedzi.

„Czy nie masz domu?”

Chłopak wyglądał tak, jakby miał się rozplakać za chwilę.

„Myślisz, że kolej podziemna, to dom noclegowy?”

Ktoś się wtrącił do rozmowy:

„Daj pan spokój temu małemu”.

„Kto tu jest konduktorem? Proszę nie mieszać się w nieswoje sprawy. Chłopcze, co mam z tobą zrobić?”

Chłopak zaczął płakać coraz głośniejsze.

„Czemu wrzeszczysz? przecież cię jeszcze nie dotknąłem?”

Chłopak płakał, a rzęsite łzy spływały mu po policzkach.

„Ulica Sto dwudziesta piąta”, zawołał konduktor i pobiegł ku drzwiom.

Jim wyszedł za konduktorem. Owionął go podmuch świeżego powietrza. Usłyszał za sobą sygnał dzwonnika pociągu, który się już oddalał. Jim wolno wstępował na schody, potem zaczął biec prawie. Wszedł na peron, zappełniony już ludźmi, spieszącymi do pracy, a potem po trzy stopnie w górę.

Czy słońce już wzeszło? Czy było już widno? Czy zaczynał się nowy dzień? Słońce nie powinno wscho-

dzić, dopóki on nie będzie na górze. Prędko, pospiesz się.

Latarnie uliczne były pogaszone. Wszędzie panowały jeszcze ciemności, tylko na wschodzie rozjaśniało się trochę. Jim zadrgał. Była to najciemniejsza godzina nocy. Powietrze było zimne i wilgotne. Podniósł w górę kołnierz, nasunął kapelusz na czoło i począł iść szybko w stronę domu.

Teraz naprawdę nie wiedział, dokąd właściwie idzie. W wilgotnym mroku nikt chyba nie miał własnego domu, nikt nie miał ciepłego mieszkania, wygodnego łóżka i nikt nie miał matki, któraby na niego czekała. Wszędzie panowały tylko ciemności, wszędzie panowała wilgoć, a Jima przejmował zimny dreszcz nieznanej trwogi. Poza nim była długa noc, pełna awantur, rozpusty, pijaństwa, wrzeszczących policjantów, nagich rozwyrzonych kobiet i dotkliwego bólu głowy. Przed nim nie było nic, oprócz mgły, nie było domu, nie było spokoju, nie było matki. Jim miał ochotę biec teraz, ale nie mógł, miał ochotę krzyczeć, ale nie śmiał.

Och, trochę światła, trochę powietrza, trochę ciepła. Och, żeby już być w domu, żeby nie uczuwać tego lęku. Och, za wszelką cenę przestać myśleć. Choć odrobinę słońca, odrobinę ciepła.

Opodał sklep, małe światelko nad budką telefoniczną, do której weszła jakaś kobieta. Sklep Joe'go, mały chłopak sprzedaje już dzienniki, gdy tymczasem Joe wysypia się jeszcze ze swoją grubą żoną. Pod ścianą stoi pusty wózek. Po przeciwległej stronie ulicy przechadza się policjant. Ogląda zamki u drzwi sklepów, uderza pałką w żaluzje. Tutaj rzeźnia koszerna, a tam dom.

Jim spojrzał w górę. W jednym z okien na trzecim piętrze płonęło blade światelko. Biedna matka. Spojrzał na wschód, tam gdzie powinno ukazać się słońce. Żłocistej tarczy słonecznej jeszcze nie było. Jim przystanął. Przypomniawszy sobie coś nagle i rzekł: „Mój Boże, oni już nie żyją“. Wszedł do wnętrza domu.

KONIEC.

111/1990/66

